Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu.
4119 D

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu.
1419 D

przeczyt
Nr 830

KATORŻNICY

Przez

Juliusza Turczyńskiego

HIPOLIT CZERNYSZEW.
RODZINA PARYASÓW.

BIBLIOTEKA
URZĘDN. TOW. [illegible] W KRAKOWIE
SEKCYA IV.

LWÓW
Z DRUKARNI M. SCHMITTA I SPÓŁKI
1908.

A-19447

1000173589

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Regał 13a

K1160/56/6061

PRZEDMOWA.

Po całym szeregu obrazów i powieści huculskich, osnowanych na tle życia ludu tego najbardziej charakterystycznego naszych Karpat — zabrał się autor do kreślenia obrazów i powieści sybirskich. Pierwszą powieścią jego sybirską byli „Wygnańcy“. Jest to obraz naszej martyrologii w pochodzie kaziennym od strasznej twierdzy sybirskiej Omskiej przez wiorst tysiące aż do samej głębi Syberyi zabajkalskiej. Oddane są tu męczarnie naszych więźniów w tamtejszych kopalniach i katorgach. Utwór ten wychodził najpierw w fejletonach *„Dziennika Polskiego“* w r. 1894; potem wyszedł w osobnej książce w tym samym roku. Następnie drukowany był w amerykańskim *„Sztandarze“*, i jeszcze raz wyszedł w osobnej

książce w Chicago w r. 1896. Drugą powieścią sybirską, osnutą na tle naszej martyrologii, była „Nasza Golgota“, która najpierw wychodziła w Dodatku literackim *„Dziennika Polskiego“*, a potem drukowaną była w osobnej książce w r. 1901. Utwór ów skreślony został na podstawie rzeczywistych faktów historycznych. Przeor bowiem Bazylianów w Owruczu na Polesiu wołyńskiem ksiądz Sierociński i lekarz Sokalski są to osoby historyczne, a losy ich, przejmujące grozą, oddane są tu na podstawie wypadków rzeczywistych, jak i cały, znany z naszej martyrologii sybirskiej, spisek Omski. Tragiczny koniec bohaterów powieści nie jest jeno utworem fantazyi autorskiej, lecz został skreślony tak, jak się wydarzył rzeczywiście w Omsku za strasznych rządów cara Mikołaja I. w r. 1839.

Obecnie teraz w książce niniejszej drukowane dwie powieści: „Hipolit Czernyszew“ i „Rodzina Paryasów“, możnaby uważać jako drugą seryę powieści autora sybirskich: kreślą one znów obraz innego szczepu męczenników caratu. I tak, „Hipolit Czernyszew“ daje obraz znęcania się caratu nad własnymi, rodowitymi Rosyanami, dążącymi z żelazną wytrwałością a poświęceniem do wol-

nej Rosyi, za ponurych czasów Aleksandra III., które po pierwszej jutrzence początkowych reform Aleksandra II. posępną mraką zaległy kraj nieszczęśliwy. W „Rodzinie Paryasów“ występują znów czasy dawniejsze za strasznego autokraty i despoty Mikołaja I., którego rządy zawisły długoletnią zmorą nad wszystkimi już szczepami caratu.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Burza i zawieja na dworze — wiatr pędził tumanami śniegu. Z burzą i zawieją przyjechał żandarm do osady katorżnej — pośród pustoszy sybirskiej — na dalekiej północy.

Wjechawszy do osady, składającej się z nielicznych chat, ledwo wystających nad ziemią, śniegiem zasypanych, w których skazańcy pędzili dni smutne, bez jutra, kazał się zawieźć przed dom isprawnika.

Stojący na warcie kozak, zobaczywszy oficera żandarmeryi, chwycił za broń, salutując po formie — żandarm zaś wszedł do środka.

Stanąwszy przed isprawnikiem podał mu pismo od gubernatora z nakazem z Petersburga.

Isprawnik przeczytał je raz i drugi... następnie zamyślił się.

Żandarm patrzał na niego uważnie.

Nareszcie odezwał się isprawnik: — Jak to?... Teraz o tej porze?...

— Bez zwłoki... tak stoi — krótko odpowiedział żandarm.

— Dlaczegoż mają go stąd zabierać? — rzekł isprawnik — skazany przecież „na osiedlenie“, nie zaś do twierdzy?... Czy może co więcej wykryto w Petersburgu, że taki rozkaz wydał Jego Wysokobłagorodje?

— Nie wiem — odpowiedział żandarm. — To już rzecz nie moja.

— No, tak — dodał isprawnik — ale ja sądziłem, że sprawa z nim dawno skończona. Wszak już trzeci rok pozostaje „na osiedleniu“ wraz z innymi skazańcami?... Nie wydawał mi się nawet, jakby to był taki zatwardziały zbrodniarz... Jako pisarz, wydawca artykułów tajnych... prawda, że był niebezpiecznym w Europie... No, ale stąd nie będzie redagował pism tych podziemnych, podżegających lud przeciw władzy prawowitej.

— Pisarze rewolucyjni — rzekł stanowczym głosem oficer żandarmeryi — to klasa ludzi nader niebezpieczna... daje ona wiele do czynienia policyi i żandarmeryi. Rząd musi się o tego Nestorowa obawiać.

Isprawnik zamyślił się, potem dodał: — Ależ on jest przecież pod okiem bacznem mojej policyi?... Dwa razy dziennie go odwiedzają. Stąd nie uciecze. A zanimby przebrnął nasze puszcze, jeśliby nie zamarzł, zginąłby z głodu. Pan widziałeś świat nasz, nimeś tu dojechał? —

— Ha! widziałem... Po obu stronach drogi puszcze bez końca... Nie zdybywałem ludzi... jeno zdala z puszczy

od czasu do czasu słyszałem wycie zwierza. Wasza miejscowość bardzo daleko odbiegła na północ.

— Ha! jak dla politycznych osiedleńców, niebezpiecznych, którym powrót na zawsze zamknięty. Pan widzisz, że tu niewesołe mieszkanie. Ale... tam w górze... może nie dowierzają naszej policyi?... Przecież stąd jeszcze nikt nie uciekł?... No, to kiedyż pan go masz z sobą zabrać?...

— Zaraz — bez zwłoki. Tak przecież stoi?

Isprawnik, spojrzawszy jeszcze raz na pismo, rzekł niechętny: — Tak!... prawda... ono tak tu stoi... Ale jakżeż pan go w taką porę wieźć będziesz?

I wpatrzył się uważnie w oficera żandarmeryi.

— Taki jest przykaz.

Ale... to wielka odpowiedzialność za takiego przestępcę? — dodał isprawnik, cedząc zwolna słowa swoje.

— Od czegoż kajdanki i sztuciec nabity żandarma?... Ma on i rewolwery. Kogo żandarm zabiera, ten się z rąk jego nie wydrze.

— Zresztą każę nań mocne nałożyć okowy — dorzucił isprawnik.

— Żandarm na wasze okowy nie spuszcza się — rzekł dobitnym głosem oficer żandarmeryi. Takie dobre być mogą na miejscu tutaj, ale nie wtedy, gdy się wiezie skazańca... Mam ja tu na niego swoje.

I wyjął małe kajdanki — stalowe — bardziej misternej roboty.

— Jednakże jak pan teraz dojedziesz z nim do Jakucka?...

— Tak samo, jakem stamtąd tutaj dojechał. Skoro rozkaz, żandarm się nie może oglądać. Gdyby kazano, odwiózłbym go tak samo aż do Petersburga.

— Prawda-ć, prawda-ć... teraz i to się zdarza. Bo pełno ich dzisiaj, co chcieliby podminować rząd nasz prawowity. W Europie tam ma być teraz okropnie... Dokąd się zwrócisz, wszędzie ta podziemna robota zbrodniarzy.

— Będzie ich miało Wasze Błagorodje więcej teraz tutaj.

— Wtedy jednak muszę dostać jeszcze z jeden oddział kozaków — dodał isprawnik — i z kilkunastu żandarmów.

— Wasze Błagorodje nie tak wielu ma teraz skazańców „na osiedleniu“ ?... Zdybywałem chaty z rzadka... z pod śniegu ledwo widzieć je było można...

— Dlatego właśnie, że dziś zawieja srożyła się na dworze, nie mogłeś pan wielu zobaczyć... Ale mam tu nawet takich kilkunastu, którzy odbyli już katorgę kilkunastoletnią w Jakucku, Werchnoudyńsku... innych zaś, co po krótszej katordze poszli „na osiedlenie“, takich będzie tutaj niemało. Do tego i osada Jakutów liczy tu nieco luda... Ale... pan na to nie ciekawy... Co ja mu będę o tem prawił?... Pan jesteś dziś zziębnięty po takiej drodze... ot! napijemy się czaju.

— Jeśli łaska, ja-ć nie od tego... bo droga do was daleka i dyabelska. Gruda po grudzie — same zaspy — aż w oczy szczypało.

Isprawnik, zawoławszy na kozaka, będącego na usłudze, kazał wnieść czaj. Jutro rano przyjdzie dalej jechać oficerowi żandarmów — a droga o tej porze w okolicach nad Leną — to nielada podróż.

Przy czaju szła rozmowa to o przestępcach, o osadzie tutejszej, to znowu o sposobie życia skazanych, — a chociaż isprawnik ciągle od tego odbiegał przedmiotu, niechętnie o tem mówiąc, oficer żandarmeryi ciągle do tej materyi wracał, bo to taka widać jest natura żandarmska, że się o wszystko rada pyta, jak gdyby wszystkiego śledzić chciała.

Isprawnik nie miał wcale ochoty zdradzać się, i o tem wiele prawić, gdyż jako czynownik, mający może niejeden grzech na sumieniu, nie bardzo ufał oficerowi żandarmeryi, przypomniawszy sobie, że żandarm wiózł już nie po raz pierwszy nawet i czynownika w szarym płaszczu aresztanckim.

Isprawnik czekał tylko, póki się oficer żandarmeryi nie posili, ażeby się już raz zakończyła gościna dzisiejsza.

Gdy się zakończył poczęstunek, żandarm posiliwszy się ułożył do snu.

Nie zaraz on jednak usnął. Zapewne i w nocy musiał nad tem rozmyślać, jak ma sobie ze skazańcem jemu oddanym postąpić, bo ten Nestorow, to nie mały zbrodzień, a w związkach rewolucyjnych nie lekką odgrywał rolę... miał bowiem być nawet jednym z głównych redaktorów pism rewolucyjnych: wiele on szkodził rządowi piórem swojem. Teraz nie będzie już pisywał stąd korespondencyj, ani odezw do wytłaczania w tajnych ich drukarniach!...

Isprawnik również do snu się ułożył. Lecz jakoś nie mógł dziś zasnąć. Dziwiło go ciągle, iż o takiej porze i to tak nagle każą zabierać skazańca... Zali dziś czynownikowi, takiemu, jak on, już nie dowierzają?... Albo może tam na jakie nowe natrafili ślady, że go kazali

oficerowi żandarmeryi przystawić do Jakucka?... Czy stamtąd dalej go powiozą, do jakiej silniejszej jeszcze warowni... może aż do Schlüsselburga?... Choć to silna twierdza... lecz i te, co na Sybirze, trzymają dobrze. I dlaczegoż-to oni go tak pilno potrzebują?... Ha! — dodał sobie isprawnik — co nam nareszcie wchodzić w mądre zamiary rządu?...

Mimo to miał dziś noc niespokojną — i chwilami nawet nie mógł przyjść do zgody ze sobą i z żądaniami żandarma.

Kiedy już nastał ranek, oświadczył teraz oficerowi żandarmeryi, że jemu — dla bezpieczeństwa — dwóch doda do konwoju kozaków swoich.

Żandarm spojrzał na isprawnika i sucho odpowiedział:

— A! dobrze. Lecz jeśli ja go nie ustrzegę, pańscy kozacy pewnie mi go nie upilnują... No, ale wtedy będzie dla mnie lepiej, gdyż część odpowiedzialności zostanie i na panu...

To się nie bardzo podobało isprawnikowi, żeby wydawszy skazańca z pod swojej opieki miał jeszcze zostawać za niego odpowiedzialnym. Odezwał się też, patrząc tamtemu w oczy:

— Bo pan widzisz... wielka jest odpowiedzialność oddawać ważniejszego przestępcę... Byłbym raczej zdania, żebyś się pan zatrzymał tutaj z parę dni, zanim nie polepszy się droga, bo mogłaby was jeszcze zawieja zasypać, a wtedy nie łatwo upilnować wiezionego. A możeby nawet lepiej było wpierw wysłać sztafetę do gubernatora z zapytaniem, czy teraz puszczać się w taką drogę z przestępcą tej kategoryi?...

— Toby Wasze Błagorodje w takim razie sam wziął na siebie odpowiedzialność za niewykonanie rozkazu wyższej władzy. Uważaj Wasze Błagorodje, czem to grozi. Rozkaz jest na piśmie jasny i stanowczy — a my nie mamy wchodzić w zamiary rządu. Pan isprawnik ma wydać przestępcę — ja mam go odwieźć, i za to tylko odpowiadam. Mnie zaś gdyby kazano i pana wziąć w swoją opiekę — dodał z przyciskiem oficer żandarmeryi — toby mi się i isprawnik z rąk moich, oficera żandarmeryi, pewnie nie wydobył.

Isprawnik popatrzył z pewną obawą na żandarma — i zdało mu się w tej chwili, jak gdyby go ten człowiek chciał na prawdę zabierać z sobą. Żandarm nie zawsze bywa dla isprawnika miłym gościem.

Isprawnik rad był przynajmniej, że choć przyszła mu myśl dodania żandarmowi dla konwoju dwóch kozaków, którym na boku osobne dał zlecenie.

Następnie kazał przywieść Nestorowa, i obwieścił mu, że ma się zebrać natychmiast, albowiem powiezie go stąd dalej oficer żandarmeryi.

Nestorów zatrwożył się, nie mogąc pojąć, co z nim dziś zamyślają robić. Tak daleko zapędzono go, nieledwo na sam koniec nieschodzonej Syberyi — a teraz dokąd go oni dalej powiozą?... Lecz wnet pomyślał sobie, iż cokolwiek z nim się dziś stanie, opuści przynajmniej posępne owo miejsce swego osiedlenia, gdzie godzina za godziną okropnie się wlecze, dni są przydługie, mimo że tutaj już z południa wieczór nastaje — noce zaś nie mają końca. Jeśli do kopalń go zawiozą, to niechby już było i do kopalń... Tam może pracą zajęty i umęczony,

nie będzie przynajmniej potrzebował ciągle myśleć nad swoim stanem, z którego dziś niema żadnego wyjścia.

Oficer żandarmeryi popatrzył na przestępcę przenikliwie, jakby chciał wyczytać z tego oblicza, o ile ono groźnem być może caratowi, — następnie odwrócił się, nie mówiąc ani słowa — zajęty tylko swoją służbą.

Nestorów poszedł się zebrać.

Żandarm, czekając na wyjazd ze skazańcem, rozglądał się tymczasem po więzieniach i osadzie, z czego nie bardzo był rad isprawnik, bojąc się oczu przenikliwych żandarmskich, ażeby one tu czego nie zachwyciły, w czemby isprawnik nierad dał się wyszpiegować człowiekowi jawnej a może i tajnej policyi, tembardziej, że żandarm niejedno tu krytykował, tłómacząc isprawnikowi, że tutaj nie wszystko jest takiem, jakiem być powinno. Dziwi się nawet, że isprawnik nie boi się za niejedno odpowiedzialności. I tak, niektóre n. p. zarządzenia czynownika uważał jako niezgodne z dzisiejszym duchem rządu, gdyż minister teraźniejszy jest liberalnym, i nie pozwala na zarządzenia tchnące czasy dawniejszymi, które męczą osiedleńców, a nie wiodą wcale do celu.

Isprawnik ze zdziwieniem słuchał tego z ust człowieka policyi; poznać jednak musiał, iż sam w samej rzeczy daleko jest za światem, dokąd nowe zamiary rządu nie tak łatwo dochodzą.

Oficer żandarmeryi nad niejednem też tutaj zarządzeniem ruszał tylko głową, dając isprawnikowi do poznania, że tu wiele brakuje tego, co gdzieindziej na Syberyi już zrobiono ku wygodzie przestępców: bo dziś Europa uważa na wszystko, a gazety zagraniczne o wszystkiem, co się w Rosyi dzieje, piszą bez ogródki, — rząd

zaś dzisiejszy, liberalny, na to jest drażliwy. Isprawnik wypatrzył się, a chcąc o niejednem usłyszeć od człowieka, który przybył ze stron, pozostających w bliższym stosunku z centrum państwa, wypytywał się tegoż o wiele rzeczy. Oficer żandarmeryi nie szczędził mu też wskazówek. Isprawnik zdumionem okiem patrzał na oficera żandarmeryi, lecz musiał poznać, że dziś inna z góry wiać poczęła atmosfera. Był też z siebie i ze rządów dzisiejszych „liberalnych“ niekontent. Ale skoro oficer żandarmeryi podobnie mówi, to bardzo już daleko rząd musiał dziś zabrnąć w owym liberalizmie. Przeklęta owa Europa, na którą dziś oglądać się musi carat, który dawniej na nic się nie oglądał!

Nareszcie było już wszystko do drogi gotowe — i przywiedziono Nestorowa z jego rzeczami.

Oficer żandarmeryi wyjął kajdanki i zaczął je nakładać na przestępcę; a kiedy nakładał, nie mógł patrzeć w oczy więźniowi. Zdawało mu się nawet, iż ręka jego drży: on, choć żandarm, czuł, że zakuwa człowieka, lecz czynił to jako znający swoją służbę.

Oficer żandarmeryi dał pokwitowanie isprawnikowi, iż odebrał w swoje ręce skazańca. Isprawnik, zawsze niespokojny, że wydać musi z rąk swoich przestępcę politycznego, powtarzał jeszcze na boku zlecenia kozakom swoim, grożąc im, że to oni głową odpowiedzą, jeżeliby skazaniec uciekł z drogi.

II.

Gdy się sanie już oddaliły, rzucił jeszcze raz okiem oficer żandarmeryi na opuszczoną osadę katorżną, która zdawała się teraz niknąć w tej bezimiennej dokoła się rozciągającej pustoszy śniegowej. Ktoby się teraz domyślił, że tam w tych nikłych chatach, jak gdyby tylko kretowiskach pokrytych śniegiem, tyle zakopało się życia dawniejszego, że tam pędzą dziś smutne, posępne dni, bez wyjścia, bez nadziei, oczekujący jeno śmierci ludzie, którzy zamierzali niedawno jeszcze temu od końca do końca podminować carat!

Sanie mknęły coraz dalej, dwaj kozacy pędzili po bokach, pilnując skazańca... śnieg skrzypiał — wiatr od czasu do czasu powiewał — a mróz zdawał się dnia tego mocniej jeszcze srożyć.

Żandarm i więzień do siebie nic nie mówili, jakby unikali swego nawet wzroku. Po chwili zapytał tylko żandarm, jako powierzonego swej opiece, więźnia, nie patrząc nań, czy mu co nie dolega, i czy wytrzyma długą drogę, która czeka go w takie ostre mrozy...

Więzień popatrzył się, zdziwiony nieco troskliwością człowieka żandarmskiej policyi: on wcale do tego nie był przyzwyczajony. Domyślił się jednak, że go żandarm chciałby żywym dowieźć do Jakucka.

Kozacy blizko sani się trzymali, bo im kazał isprawnik, ażeby mieli zawsze więźnia na oku.

Sanie pędziły po śniegu skrzypiącym, to po grudach. Cicho i pusto było dokoła. Od czasu do czasu zawył wilk z poblizkich lasów, a wtedy sanie mknęły z większym

pospiechem. Żandarm uważniej pozierał na więźnia i — zdawał się — jak gdyby chciał mówić, lecz wnet urywał.

Po południu chmury zaczęły się zbierać, białe, śniegowe, i wiatr ruszał się coraz silniejszy. Ręce i nogi ludziom kostniały. Kozacy pozierali raz po raz w górę, z widocznym niepokojem, jak gdyby przeczuwali co złego w przyrodzie; żandarm zaś rzucał okiem to na więźnia, to na kozaków chwilami, jak gdyby usiłował poznać, czy w razie szalonego jakiego wysiłku ze strony więźnia o takiej porze oni temuby zapobiegli. Tymczasem tylko lepiej okrył więźnia, woźnica zaś jego ledwo co mógł utrzymać lejce w rękach skostniałych. Konie niespokojnie się oglądały po za siebie raz po raz prychając.

Żandarm zwrócił się teraz do woźnicy, dając temu jakieś wskazówki, których nie rozumiał więzień, tem mniej zaś kozacy.

Wiatr ruszył się większy — kozacy wołali, że będzie źle... a stąd do stacyi daleko. Żandarm mimo to był spokojny — jakby się nie bał zawiei.

Ale wkrótce wiatr rozszalał, smagając mrozem, jak gdyby biczem, szczypiąc i gryząc w lice — chmury śniegu ze strasznym pędem nadbiegły, wszystko do koła zakrywając... Konie stanęły — i nastała straszna zawieja syberyjska.

Nagle, zeskoczywszy z rumaków swoich, kozacy zabrali się czemprędzej do wyprzęgania koni ze sani. Koniska, jakby na komendę, ustawiły się same łbami do siebie — ludzie skupili się stretwieni do środka, zarzuciwszy na siebie koce i kożuchy, jakie były w saniach.

I tak skupieni, żandarm i więzień, kozacy i woźnica, czekali, póki nie przejdzie syberyjska zawieja.

Wiatr huczał i piszczał, i wydawał rozmaite głosy. Zdawało się, to jakby stado zawyło wilków, to jakby nastawał lament przerażający jakichś czarnych duchów. A chmury śniegu coraz bardziej okrywały skupione razem ludzie i konie, że już nie poznałby z góry, co się tam kryje pod śniegiem. Zawieja zaś, hucząc i świszcząc, wściekała się nad tą kupą śniegową.

Po paru godzinach, grożących wszystkim tu strętwieniem i śmiercią, zawieja zaczęła słabnąć — potem ustała. Ludzie, strętwieni, zaczęli się z pod śniegu wydobywać — a konie już się rozglądały.

Co tu teraz robić?... Zostać przecież tak niepodobna?... Kozacy próbowali doradzać, żeby wrócono napowrót do osady, lecz żandarm popatrzył surowo, wyrzekłszy tylko, że ani chwili tu nie zostaną, i ruszać muszą dalej, bo taki jest przykaz ostry.

Chcąc nie chcąc zabierano się do dalszego pochodu. Droga stała się bardzo nierówną; grudy i zaspy śniegowe nie dawały jechać. Lecz żandarm napędzał, kozacy musieli raz po raz z koni schodzić i sanie wydobywać ze śniegu, na pół martwi, skostniali, bo mróz był ciągle ostry.

I tak, siląc się i męcząc wśród ciemnego wieczora, dobili się do stacyi gospodnej.

Wszyscy drżeli z zimna. Kozacy ledwo utrzymać się mogli na nogach po strasznej forsie z saniami, które co chwila zapadały w śniegi. Oficer żandarmeryi, uznając też ich wysiłki, kazał im teraz dać wódki. I tu pokazał się hojnym. Jeden też z kozaków wychylił od razu flaszę całą wódki, jakby to pił wodę, drugi również nie dawał sobie mówić dwa razy. Potem jeszcze powtórzono. I ko-

zacy obaj, jak stali, przewrócili się, i wnet zasnęli. Żandarm sam za wódkę zapłacił.

Wkrótce wszystko już spało na stacyi.

Po północy na dworze się wyjaśniło — gwiazdy się wyiskrzały, a księżyc oblał bladem jakby pośmiertnem jakiem światłem okolicę, bielejącą w śniegu.

Wtedy wyszedł nieznacznie żandarm, który nie spał, na dwór — i zaczął się rozglądać... A wróciwszy, udał się, gdzie spali kozacy, i jakiś czas patrzał na nich, nasłuchując. Obaj kozacy spali jak zabici. Wówczas obudził on ostrożnie woźnicę swego, i zaczęli coś szeptać do siebie. Po tej rozmowie wyszedł ostrożnie woźnica i zabrał się do zaprzęgania koni.

Następnie zbudził żandarm więźnia i kazał mu czemprędzej zbierać się. Więzień zaczął się rozglądać, co to znaczy... widać, iż musiał zapomnieć, że on dziś nie w swojej osadzie katorżnej. Żandarm wyjął kluczyk i rozkuł z kajdan więźnia. Ten się zdziwił, lecz żandarm kazał mu czemprędzej wsiadać do sani.

Wyszli po cichu — lecz więzień oglądnął się, a nie zoczywszy koło sani kozaków zapytał się nieco zdziwiony: — A gdzie kozacy?...

— Spią — odrzekł żandarm — i będą spali, póki się nie obudzą. My zaś ruszamy!

Dał znak — woźnica popędził końmi. Sanie pognały, bo droga tutaj była lepszą: widać, że zawieja do tej nie doszła była okolicy.

Więzień nie rozumiał, co to wszystko znaczy.

Żandarm teraz do niego zwróciwszy się odezwał prędkim głosem: — Dziękuj dziś Bogu, Nestorów, że teraz

gonimy, co sił stanie koniom naszym, aby jak najwięcej drogi ujechać. Więzień nie mógł wyjść z zadziwienia.

— Ze żandarmem pojedziesz dziś bezpieczny — tylko nie do Jakucka. Ja cię dowiozę do twoich, którzy na ciebie czekają.

Nestorów popatrzył, dygocąc cały, i zawołał: — Ty... nie żandarm?

— I nie poznałeś, żem przybył do waszej osady katorżnej, aby ciebie z rąk ich wydobyć?... A teraz uciekajmy czemprędzej!

Więzień poznał, że jest w ręku spiskowca. Ciężko, głęboko odetchnął, a potem trząsł się, jakby w febrze. Oblicze jego wyrażało niewymowną wdzięczność.

— Trzymał się ostro, nieprawdaż, jako carski żandarm?... Wywiozłem zakutego i nie rozkułem. Napadła nas zawieja — a ja nie miałem litości — i teraz, kiedy pojawi się ruch jaki na drodze, zakuję na nowo, bo żandarm nie może przecież jechać z takim towarzyszem.

— A ten woźnica? — odezwał się z niejaką ostrożnością więzień.

— To przecież także z naszych.

I podali sobie ręce więzień i woźnica. Nestorów był dzisiaj jakby we śnie.

— Ale teraz gońmy, ile sił stanie!... Po tej prostej drodze będziem pędzić, dopóki jeszcze noc; a kiedy już ranek nastanie — wówczas musim zjechać z traktu w bok, bo gdy się obudzą nasze kozaki, toć już zmiarkują, i pognają za nami... Isprawnik pewnie dał im cichy rozkaz, żeby nas dobrze strzegli, bo on mnie widocznie nie dowierzał — i gdyby nie pismo po formie gubernatora z urzędowa pieczęcią, i nagły nakaz, za którego niewy-

pełnienie odpowiedzialność, byłby nawet odmówił. Kozaki owe też nas strzegli — a teraz im się może śni, że wraz z nami jadą... Błogosławmy owej zawiei! I nie żal było nam zmarznąć: inaczej bydło to carskie nie zapiłoby się tak mocno, iż dotąd leżeć musi jak martwe.

— A więc ty, bracie, jesteś z naszych? — odezwał się Nestorów jeszcze przecierając oczy swoje... A więc to na prawdę nie sen — i ja nie jestem w rękach żandarma?...

— No, no, tylko nie trać teraz przytomności, druhu mój. Ja też wiedziałem, że tak będzie... Inaczej byłbym ci wczoraj jeszcze, zaraz po wyjeździe od isprawnika, odkrył, kto ja jestem, alem się bał twojego wzruszenia, czembyś mnie zdradził wobec kozaków, bo tam isprawnik pewnie wydał im rozkaz, żeby na ciebie, bracie, uważali. Człowiek ciągle miał do czynienia z dozorcami, z policyą i żandarmami — odezwał się Nestorów — iż na prawdę nie może się jeszcze oswoić z myślą, że jest dziś ze swoimi.

— I komuż to ja mam teraz do zawdzięczenia?

— Hipolit Czernyszew, który dziś przyjął rolę żandarma. W Petersburgu postanowiłem ciebie oswobodzić... Do Irkucka dojechałem jako zwykły podróżny... tam wszedłem w stosunki znajomości z tamtejszą żandarmeryą i zjednałem sobie ich zaufanie, przyjęty zostałem do służby jako podoficer. Udało mi się wkrótce dostać formularzy i blankietów urzędowych, napisałem sam sobie pełnomocnictwo, zaopatrzywszy je pieczęcią urzędową i podpisem komendanta. I tu się udałem. Przyjąłem na siebie rolę, aby ciebie wydobyć i wywieźć za granicę. To moja pierwsza rola w związku naszym. Złożę tu dowody, czy

będę miał dość siły i wytrwałości, abym mógł większą może później odegrać rolę. A ty, bracie, nie mogąc już w carstwie, będziesz nam za granicą służył*).

— O! dopokąd życia i sił, których mi nie wydarły jeszcze carskie zbiry i niewolniki, poświęcę wszystko dla naszej sprawy ojczystej.

— No, ale teraz pamiętajmy o tem jeszcze — mruknął Czernyszew — że ja tu żandarm, on zaś woźnica, a ty więzień w mojem ręku. Nawet cię nieraz jeszcze skuję, bo długa czeka nas droga i niebezpieczna...

— O! skuj jak najmocniej!... Miłe-ć okowy od takiego żandarma.

Sanie pędziły — księżyc blady jeszcze świecił — lecz gwiazdy, jedna po drugiej, gasły. Oni zaś się spieszyli.

Okolice oblane bladem światłem księżyca zmieniały się — wzgórza na lewo się zniżały i przechodziły powoli w płaszczyznę — lasy na prawo ciągnęły się zbitą masą czarną.

Nareszcie gwiazdy pogasły, i tylko jedna z nich została — księżyc zaś blednął coraz bardziej — niebawem stał się niby chmurką, która się wnet rozejdzie.

Nestorów teraz odezwał się: — Zali długo, druhu mój, jechać będziesz ze mną w roli żandarma?

— To się pokaże — odrzekł Czernyszew. — Żandarmowi łatwiej, bo go nikt nie odważy się zatrzymywać, i wszyscy nadybani po drodze słuchać muszą. Na żądanie

*) Fakt ten oparty jest na rzeczywistem wydarzeniu w r. 1875, gdy jeden ze studentów instytutu technicznego, Hipolit Myszkin, powziął śmiały zamiar pojechania do Syberyi jako żandarm z rozkazem rządowym, usiłując wydobyć Czernyszewskiego z osady katorżnej Syberyi.

jego dadzą nam popas i nie pożałują żywności na drogę. Ale następnie, gdy już pokaże się trakt główny syberyjski, na którym drut dzisiaj jest telegraficzny, przyjdzie może zrzucić uniform żandarmski — i może bezpieczniej pojedziemy jako ludzie prywatni, jako kupcy, albo niby jacy agenci kupieccy... No, to się potem pokaże... i będzie zależeć od okoliczności...

Sanie wkrótce z traktu w bok zjechały w grudę, aby nie zostawić po sobie śladu — a rozbijając się po grudzie, dopadli po forsie niejakiej potoku, gładkiego, jak szyba, po którym dalej pociągnęli. Lecz niebawem musiano zjechać z niego, gdyż były w nim miejsca nader wązkie i śniegiem zawalone. Sanie zaciągnięto w bok w gęstwinę lasu — lecz teraz musiano wypocząć, bo już konie dalej ciągnąć nie mogły.

Po krótkim popasie koni, o ile starczył zapas zawarty w saniach, dalej ruszono. Najpierw trzeba się było wydobyć z lasu. Ciężka to była praca, lecz traktem nie chciano jechać. Wygramolono się nareszcie z boru, i pokazała się drożynka jakaś boczna, którą się dalej puścili. Lecz wkrótce zgubiła się ona. Znowu nastało ciężkie pasowanie się z tem bezdrożem — a tu konie słabły.

Po dłuższem szamotaniu się w nieznanej okolicy dobili się do szerszej nieco dolinki, w której pokazał się jakiś ułus. Skierowali się tamże, gdzie żandarm niczego nie miał się obawiać. Nałożył czemprędzej kajdanki na więźnia swojego — i z miną surową, urzędową, wjechał do ułusu.

Tu się wnet dowiedział w pierwszej jurcie, że to ułus tunguski. Oficer żandarmski zapytał się ostro, czy tu dawno był jaki czynownik lub żandarm, a gdy mu

odpowiedziano, że jeszcze tamtego roku, przyjął to jako sobie złożony raport — i był rad z tego. Postanowił tu zatem nieco wypocząć, kazał więc sobie nanieść żywności na drogę dla ludzi i dla koni. Tunguzy rozkaz wypełnili.

Wszedł potem z więźniem i woźnicą swoim do środka jednej z jurt, aby się nieco ogrzać. W budzie tej, pokrytej korą brzozową, leżał na kożuchach stary Tunguz śniadawej cery o spłaszczonym nosie, który na widok żandarma czemprędzej zerwał się prawie zalękniony — kobieta zaś brudna zajęta była koło ognia, z którego dym napełniał całe wnętrze, a dzieci w brudnych łachmanach, wystraszone widokiem obcych, poukrywały się czemprędzej. Nasi zaś, skoro weszli, wyjść zaraz musieli, gdyż z dymu zaczęli się krztusić.

Kobieta podała im w garnku gorącej herbaty, sporządzonej z cegiełek, a zabielonej mlekiem i tłuszczem ze śmietany, do tego posolonej, jak ją sobie sporządzają. Nasi chcąc się zagrzać skosztowali, lecz ani sposób było im napić się tego.

Nie zabawiając się tutaj dłużej — naładowali sanie tem, co znieśli na rozkaz posłuszne Tunguzy — i wyjechali z ułusu, wypytawszy się jeszcze lepiej o drogę.

Posuwali się najpierw potokiem zmarzniętym — potem drogą mało ujeżdżoną. Wzgórza z obu stron rozchodziły się nagie, bezleśne, tu i ówdzie bielejące od śniegu, lub czerniejące kupkami tarniny, to głogu. Następnie w bok zjechali — a po krótkim czasie przebywali bór dziki, w którym droga się zgubiła. Ujechawszy z forsą część jego, widocznie zbłądzili, i nie wiedzieli, w którą stronę teraz się udać. Gramoląc się i przeciskając przez miejsca, które może nigdy nie widziały nogi człowieka

ni konia, spostrzegli, iż konie zaczęły parskać nozdrzami i tupać nogami niespokojne. Oglądnęli się po za siebie... a tam prosto na nich pędziły dwa wilki, trzeci zaś nieco zdala gonił za tymi...

Bez zwłoki chwycił Czernyszew za sztuciec swój — i wycelowawszy dał ognia... Wilk jeden padł... drugi zaś stanął chwilę, lecz zaraz poskoczył ku saniom... Koni teraz ledwo co utrzymać można było. Ale Czernyszew obróciwszy w ręku sztuciec, jak skoczy i palnie kolbą po łbie zwierza, ten wnet ogłuszony zaczął się kręcić, jakby pijany... Wtedy dopadli go wszyscy i dobili. Trzeci zaś wilk zwrócił się teraz i uciekł.

Ludzie odetchnęli i zaczęli czemprędzej z forsą wydobywać się z tej pustoszy, w obawie, ażeby tu więcej zwierza tego nie nadbiegło.

Siląc się wydobyć, a raz po raz wychodząc z sani, i rękami podnosząc je z zaspy, po kilku okropnych godzinach, bezsilni, mocno utrudzeni, dobili się do jakiejś osady w szerszej dolinie. Tutaj muszą przeczekać — a nawet pozostać na nocleg.

W tej osadzie ruch powstał niemały na widok żandarma. Była to wieś niedawna jeszcze — moskiewska.

Zebrało się ludzi niemało zaniepokojonych przybyciem do wsi żandarma. Atoli mimo to miny ich wcale nie były pokorne; malowała się na ich twarzach jak gdyby chęć oporu.

Oficer żandarmeryi, przybrawszy minę ostrą, urzędową, zapytał się, co tu słychać... Na to zaczęli mruczeć, stawiając się z pewną zuchwałością, a śmielsi odezwali się, że oni nie opuszczą swojej osady, bo to ich krew, ich praca...

Żandarm zdziwił się na podobne słowa.

Po chwili zaś pokazało się, że ta osada była teraz w zaburzeniu, cała zatrwożona, gdyż przyszedł był do nich niedawno nakaz, że się stąd mają przesiedlić na inne miejsce, ponieważ tam rząd buduje nową szosę: potrzebuje zatem przy niej osad ludzkich.

Nasi odetchnęli. Czernyszew zaś starał się opór ich jeszcze wzmocnić, dawszy do poznania, że on nie przybył tu z egzekucyą, jeno wiedzie drogą służby skazańca... ale za parę tygodni przybędą czynownicy z policyą i kozakami, ażeby ich przesiedlić przymusowo.

— A my się nie damy!... Jej Bohu! — zaczęli mruczeć. — Ta ziemia tutaj nasza, krwią naszą, potem naszym, uprawiona. Mamy już jęczmień i tatarkę... A to nie tak łatwo było karczować takie pustosze!...

— Ale co wy zrobicie?... Tać kto się tam was bać będzie!... Przybędą z kozakami — i, moi ludzie, będą pałki w robocie...

— Ano choćby! — mruczeli — ta niech biją, a my się taki stąd nie ruszymy.

— Ależ car potrzebuje nowej drogi — mówił dalej żandarm — wy macie ręce, będziecie karczować, kochani... No, padnie tam który z wysiłku, to będzie drugi... Ludzi przecież nam nie zabraknie między wami. Zła tam wprawdzie ziemia, nieużyta — same będą kamienie... no, ale bo tak być musi.

Czernyszew miał ukrytą myśl podburzenia ich bardziej jeszcze, ażeby opór większy w swoim czasie stawili. Dodał zatem:

— Zresztą rząd ma na myśli przemienić was w kozaki.

— Co? w kozaki?... Nigdy — nigdy!...

— Nie dacie się?...

— Pewnie, że się nie damy. Ano co mamy do stracenia?

— Jak czasem. Ot! tam, skąd jedziemy, postawili również opór chłopi... I co było?... Przyszło wojsko — i była bijatyka...

— Słyszycie? słyszycie? — mruczeli chłopi. — A żandarm ciągnął dalej:

— Żołnierzy wprawdzie padło trzech, lecz i chłopów padło... dwóch, ale więcej było rannych. Lecz car nasz łaskaw, bo widząc teraz niechęć ludu, kazał dać pokój — i wszystko zostało po dawnemu.

— Słyszycie?... Po dawnemu — coraz więcej podnosiło się głosów. — I z nami tak samo będzie...

Czernyszew poznał, że słowa jego na dobrą padły glebę, — więc dalej w tym samym duchu dogadywał chłopstwu.

— Ale z wami tak nie będzie. Jednym się uda, drugim znów nie... I ja wam radzę, uchylić karku i poddać się, bo co wy zrobicie, gdy wam naszlą dwudziestu, trzydziestu kozaków?...

— Nas tu jest wzwyż pół setki... Mamy także ręce — zresztą są tu i lasy. W lesie... tać niechaj na nas gonią...

Czernyszew widział, że duch oporny coraz więcej się wzmaga — coraz też więcej im jeszcze dodawał ognia. Pomagał mu w tem woźnica jego, a temu, jako człowiekowi cywilnemu, więcej jeszcze wypadało.

Ludzie nawet nabrali ducha, widząc, że żandarm dziś nie taki straszny — do tego i on sam zdawał się powątpiewać o sile tej egzekucyi.

Noc mieli nasi niezłą — nazajutrz dalej ruszyli, zadowoleni, iż dziś jednę z osad do oporu władzom ośmielili. Już to nawet tutaj prawie rozpoczął Czernyszew agitacyę, w myśl dążeń partyi swojej, działając dla idei.

Drogę zrazu mieli dobrą — sanie mknęły po śniegu, choć go nie wiele było. Droga wiodła lasem. Lecz wkrótce ruszył się wiatr ze śniegiem i pozawiewał wszelkie ślady. Niebawem też zmylili drogę — raz w raz musieli nawracać i szukać miejsca, ażeby się wydrapać z puszczy.

Tu ich noc zaskoczyła, i musieli przeczekać.

Gdy się nazajutrz rozwidniało, próbowali posuwać się dalej. Atoli mimo największego wysilenia mało co przez dzień cały posunęli się. Nareszcie i paszy nie stało dla koni, jak i żywności dla ludzi.

Zziębnięci, wygłodniali, musieli zostawić sanie z woźnicą, a sami jeno dwaj, Czernyszew i Nestorów, wyszli szukać drogi, lub też jakiego sposobu, aby się stąd wydobyć.

Pół dnia wlekąc się, doszli do jakiejś wsi, gdzie się dowiedzieli, iż niedaleko stąd jest trakt. Zabrano zatem ludzi, którzy poszli wyciągać sanie z końmi.

Szczęśliwie przyciągnięto do wsi sanie. We wsi był wójt, który się wszystkiem zajął, i przybyłym kazał dobry nocleg przygotować. Ponieważ po takich dnia tego przygodach mocno byli utrudzeni i zziębnięci, przyjęli z chęcią wypoczynek. Wójt ich zapewnił, że skoro przenocują, pojadą stąd prostą drogą.

Nocleg też pierwszy od czasu wyjazdu z osady katorżnej mieli wygodny.

Lecz gdy ranek nastał — usłyszano niejaki ruch na dworze.

Żandarm wyszedł czemprędzej zobaczyć, coby to było... Lecz w tej samej chwili został obskoczony, i zanim mógł pomyśleć o jakiejkolwiek obronie — zarzucono już nań okowy.

To samo stało się i z dwoma jego towarzyszami.

Oni nie wiedzieli, iż tak blizko byli tutaj głównego traktu, po którym szedł drut telegraficzny.

Isprawnik bowiem w osadzie swojej katorżnej po powrocie kozaków, dowiedziawszy się, jak rzecz stoi, wysłał wnet sztafetę do Jakucka, obławy zaś na różne strony. Osady położone bliżej głównego traktu, ciągnącego się od Jakucka, skąd już szedł drut telegraficzny, zostały przeto zawiadomione, że przebrany żandarm wyjechał z katorgi ze skazańcem. Zanim więc nasi do wsi tej dobili się. — wiedział już wójt we wsi o tego rodzaju żandarmie. Z wieczora już zatem dał znać do poblizkiej stacyi, skąd nocą przybył czemprędzej oddział kozaków.

Zakuci teraz, pod silną eskortą, zostali zawiezieni do Jakucka.

Tam ich zaciągnięto zaraz do indagacyi. Choć Czernyszew próbował kręcić, jak mógł, ale tu niepodobna było wydobyć się słowami; o tyle zaś tylko trzymał się, iż nie zdradził nikogo. Wypierał się ciągle, jakoby miał do jakiego związku należeć; tłómaczył się tylko, usiłując zmniejszyć winę, że chciał wydobyć krewnego, o którego niewinności był przekonany, i zawieźć go do kraju, aby jeszcze raz przeprowadzono z nim sprawę, bo będą teraz nowe dowody lepsze. Więźnia swego zaś bronił, iż ten o niczem nie wiedział, będąc pewnym, że go wiezie żandarm — a skoro się dowiedział, że to nie żandarm, miał

się przestraszyć, i błagać nawet, żeby go nazad odwiózł do miejsca jego deportacyi.

Generał gubernator kazał posłać po isprawnika, dla sprawdzenia tożsamości żandarma, jak również i podyktowania do protokołu, jak się rzecz cała miała właściwie.

Tymczasem zamknięto wszystkich trzech przywiezionych w więzieniu, gdzie postawiono silną wartę.

Gdy przybył isprawnik, i zeznał wszystko do protokołu, o co go gubernator pytał — musiał się dowiedzieć, iż go czeka za to ciężka kara pieniężna... On czynownik taki dał się zwieść pozornemu żandarmowi, i to przybyłemu bez asystencyi drugiego, wydawszy tak lekko skazańca, a nie wysłał nawet wpierw sztafety, aby się zapytać gubernatora, jak się rzecz ma właściwie!

Isprawnik, zamiast nagrody — oczekiwał dziś kary, a może i degradacyi.

O całym tym wypadku wysłał zaraz gubernator raport telegrafem do Petersburga.

Niebawem nadszedł ze stolicy telegram, aby wszystkich trzech pod silną eskortą natychmiast odstawić do Petersburga.

Widocznie sprawa to była tego rodzaju, że rzuci dziś światło na innych, będących w indagacyi w stolicy caratu: pozwoli zatem niejedno na wierzch wyprowadzić.

Wszystkich dzisiaj trzech, zakutych, a przebranych w szare płaszcze aresztanckie, zabrano z więzienia, skąd pod silną eskortą jechali teraz do dalekiej stolicy.

BIBLIOTEKA
URZĘDN[illegible]
SEKCJA IV.

CZĘŚĆ DRUGA.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

I.

Po długiej — ciężkiej — prawie dwumiesięcznej drodze — zawieziono ich do Petersburga, gdzie oddano komendantowi Petropawłowskiej twierdzy. Tu ich ulokowano wszystkich trzech w osobnych celach kazamatów tamtejszych, przepełnionych teraz przestępcami politycznymi.

Zanim jeszcze mogli przyjść do siebie po długiej, męczącej drodze — rozpoczęto z nimi śledztwo.

Gdy przywołano do kancelaryi Hipolita Czernyszewa, zapytał go sędzia prowadzący śledztwo, kto mu kazał przebrać się za oficera żandarmeryi podawszy środki na tak daleką drogę?...

— Nikt drugi — odrzekł spokojnie Czernyszew — ja sam miałem przecież środki pieniężne...

— Nie o to chodzi, nie o środki jeno pieniężne... ale winny musi najpierw zeznać, kto mu dał mundur oficera żandarmeryi, jak i resztę wyekwipowania?...

— Sam się o to postarałem uszywszy sobie z kupionego sukna.

— Więc sam go uszył z igły? — odezwał się sędzia z sarkazmem. — No, to ma tęgą wprawę... A jabym przecież nie radził mu ukrywać prawdy, gdyż my i tak wszystko wiemy. Jednakże ja chciałbym słyszeć od niego, gdyż to będzie stanowiło o wysokości winy, a przeto i kary. Uważaj, młodzieńcze, jesteś młody, niedoświadczony, drudzy cię wciągnęli... my nawet wiemy to którzy, bo ich tutaj mamy... Oni sami zeznali... I cóż na to powiesz?...

— Co na to powiem?... Ja powiem tylko tyle, żeby mi ich do oczu postawiono — odpowiedział spokojnie indagowany.

— Stanie się to w swoim czasie. A teraz radzę ci, młodzieńcze, nie kryć prawdy i nie wikłać się. Wierz mi, że mnie żal nawet ciebie... Taki odważny?... Wybrać się w taką drogę, tak długą a niebezpieczną?... I to dla drugiego?... Co za poświęcenie!... Ja to umiem cenić — taką duszę!... Chciałbym go uratować, gdyż inaczej bardzo ciężka czeka kara na tego rodzaju mistyfikacyę — i to w charakterze oficera żandarmeryi. Tu może ulżyć kary wiek jeno młody i przyznanie się do wszystkiego. Zresztą nikomu nie zaszkodzisz, bo my już wszystko mamy spisane.

— I co macie panowie właściwie spisanego?...

— Ależ nie jesteś przecież po to, mój drogi, aby dawać nam zapytania, lecz aby odpowiadać. I dlatego — dodał surowym głosem — w imię cara, naszego kochanego batyuszki, zapytuję go, czy będzie prawdę mówił?... Bo dotychczas chciałem być mu ojcem, a skoro nie chce,

zostanę tylko sędzią na nic się nie oglądającym. I zaraz zapytuję, kto to go wysłał po Nestorowa, aby skazańca wydobyć z miejsca deportacyi?

— Ja sam przecież jechałem?... Sam go stamtąd wydobyłem.

— Ależ my mamy tu innych, którzy w tem mu pomogli, i z którymi był Czernyszew i jest dotychczas w związku. Wkrótce ich zobaczy. A teraz się zapytuję, co go spowodowało tak daleką odbywać podróż, taką niebezpieczną?... Czy ten człowiek bratem jest rodzonym — albo może jeszcze bliższym?...

— On mi nie brat, ale o nim wiedziałem, iż niewinnie był skazany, a został wywieziony na miejsce wygnania o wiorst tysiące, w kraj straszny, daleki, gdzie będzie musiał kończyć... A nie tak łatwo stamtąd go wydobyć!

— Przecież go Hipolit Czernyszew wydobyć potrafił?...

— Niestety! nie poszczęściło mi się. Ale to ja mogę być winnym — on zaś jest niewinny.

— No, tak, on nie jest winny, że wyjechał z osady katorżnej. Nikt mu też tego nie zarzuca... Wszak musiał jechać z żandarmem?... przynajmniej, póki sądził, że go żandarm wiezie... Ale tu nie o to chodzi, to będzie sprawa odrębna... Lecz chodzi teraz o Hipolita Czernyszewa... Dlatego dasz się zapytać, skąd jesteś taki pewny, iż Nestorów nie był winnym?... Przecież to samo wskazuje, żeście byli już tutaj w ściślejszym z sobą związku?...

— Właśnie dlatego — odrzekł Czernyszew — żeśmy byli w ściślejszym związku ze sobą... tylko, że nie w żadnym politycznym... My obaj, jako przyjaciele... jeszcze

ze szkoły byliśmy sobie blizkimi... Ja zawsze znałem wszystkie jego myśli. Nieraz przeto uskarżał się przede mną, że go rząd podejrzywa... że go ciągle szpiegują... ale on mnie zapewnił, mnie, swego przyjaciela, iż on do niczego nie mięsza się, ani mięszać myśli... On przecież pisarz, autor, pisze powieści...

— Wiemy o tem — mruknął z sarkazmem sędzia.

Czernyszew dalej ciągnął: — Ale on nie układa spisków... Jeśli sąd ma jakie jego notatki, a może i pisma dłuższe... to będą tylko koncepta do powieści, może do dramatów jakich — a wyście to zapewne wzięli za artykuły do jakich pism tajnych.

— Zostaw to już nam samym. A ja mu mówię, że się tu tylko wikła, bo my dobrze wiemy, jakiego rodzaju były to artykuły i owe notatki do powieści, i gdzie je drukowano, a w jakim celu. No, tak, lektura; tylko że ona nie była dla ludzi czytających dla rozrywki, lecz dla ludu, dotychczas wiernego władzy, aby go przeciw niej podburzyć?... A w jakim z nim Hipolit Czernyszew zostawał stosunku, tak i to wiemy, jak również, kto jemu dostarczył uniformu oficera żandarmeryi, a nawet i z jakiego magazynu?... Cha, cha! widzisz, że się mienisz?...

— Ja się mienię?... Być może — odrzekł młodzian — ale wcale nie w skutek tego, co tu słyszę... To długa podróż, i opieki te więzienne, tak mnie przysposobiły, iż u mnie dziś same nerwy drgają — a krew na to burzyć się musi.

— Hipolit Czernyszew wiele jeszcze nie doświadczył... on jest dopiero na początku karyery swojej — rzekł z szyderstwem sędzia. — Czy myśli, że my będziem wdzięczni im za to, i dbali jeszcze o ich wygodę, że za-

mierzyli rząd podkopać, i podnieśli bunt na naszego najmiłościwszego imperatora i ojca? Hipolit Czernyszew nie chce dziś mówić, bo się jeszcze z nim obchodzimy z względnością — jednak gdy lepiej pozna się z więzieniem, będzie inaczej śpiewał.

I na dowód tego, kazał więźnia zaprowadzić do ciaśniejszej celi, bardziej ciemnej i bardziej wilgotnej.

A gdy to pokazało się niedostatecznem, usiłował skazańca głodem i pragnieniem przymusić do zeznania i zdrady wspólników.

Głodzonemu dawano żywność przesoloną, a potem nie pozwolono przynosić wody. Więzień czuł palące pragnienie: mimo to trzymał się, jak mógł.

Nestorowa również indagowano; lecz gdy poznali, iż ten od czasu wysłania go na miejsce deportacyi w żadnym nie zostawał stosunku ze spiskowcami w Europie, badali go tylko o tyle, ażeby zeń wydobyć wywnętrzania się prawdopodobne Czernyszewa w czasie drogi ich od isprawnika aż do chwili, kiedy ich złapano. A choć i Nestorowa wcale nie oszczędzano w więzieniu, jednak tu głównie chodziło o Czernyszewa: ten bowiem w bliższym był stosunku ze związkiem, z którego część pewną mieli już w swych rękach. A chodziło tu o cenne wskazówki, ażeby związek szerzej rozgałęziony módz opanować.

Nareszcie dano Czernyszewa do tak ciasnej celi, że się położyć nie mógł w nocy, gdyż była krótszą, niżeli wzrost człowieka, a tak nizką, że więzień nie mógł w niej stanąć.

Gdy tak parę dni w ciasnocie tej męczył się więzień, nie mogąc ani stanąć, ani się położyć — zawezwano go okropnie zmęczonego do indagacyi, zadając pytania coraz nowsze, podstępnie ułożone.

Mimo to więzień bladł z osłabienia i niewczasów, ale trzymał się siłą woli.

Niebawem, jakby znów pokazać, iż ta cela dla jednego jest jeszcze za obszerną i za wygodną — wsunięto tam drugiego.

Ten na prawdę już nie mogąc ani stanąć, ani położyć się, zgrzytał tylko zębami, przeklinając carskie rządy, które ludzi na takie wystawiają tortury. Czernyszew nie znając towarzysza nowego zachował zrazu milczenie. Tamten zaś klął ciągle i narzekał.

— Czy tam rządzą — mruczał ze złością — jeszcze ludzie?... Mnie się zdaje, że chyba szakale. Wpakować dwóch do takiej klatki, gdzie człowiek ani stanąć, ani położyć się nie może — to już złość wyrafinowana. I to są sędziowie nasi?... A kolega tu pewnie jeszcze od dnia wczorajszego?...

— Ja tu już siedzę drugi tydzień.

— Drugi tydzień?... Ja, jeśli wytrzymam do jutra, no, to niechaj Bogu podziękują! Przecież znajdę jaki postronek, by sobie koniec zrobić, albo jeśli nie znajdę, to go ukręcę z odzienia własnego...

I sapał ze złości. Potem znów zaczął:

— Ja wytrzymam... ale oni... ci moi wspólnicy... ha! już bo zeznali niejedno... Zubów... Oryszko...

— Co Zubów — Oryszko? — przerwał Czernyszew zaniepokojony.

— To słabe dusze!... Z nich wyciągnięto...

— Co z nich wyciągnięto? — zapytał Czernyszew.

— Alboż ja wiem? — odmruknął towarzysz. — Sędziowie jednak niejednego od nich się dowiedzieli, jak i od tego skryby Nestorowa?

— Nestorów? — Tu rzucił się Czernyszew. — To nieprawda! Nestorów nie zdradzi. Zresztą on do niczego nie należał...

— A kolega skąd to wie?

Czernyszew wypatrzył się — potem nic już nie mówił. Tamten zaś dodał:

— Ot! skryba! miękka to dusza... Do pióra! redagować tam-ci odezwy, plakaty! ale nie jemu to, gdy chodzi o działanie. A teraz przez takich my tu tak długo... Przekleństwo, żeśmy niejednemu zawierzyli!... A kolega do którego należał oddziału?...

— Ja?... Do żadnego — odpowiedział z niechęcią Czernyszew. — Ja... chciałem tylko uwolnić niewinnego towarzysza szkolnego, który, jak i ja, do niczego nie należał...

Ha! Jeśli tak... no, to ja się mylę... Sądziłem, że tu mam za kolegę człowieka... a teraz... zdybuję... możego jakiego — a pojrzawszy z lekceważeniem, dodał ze sarkazmem — „porządnego" człowieka... może i lojalnego poddanego?... No, to niema co mówić! młody człowiek, a już się kieruje na czynownika! Będzie nas łowił i okradał!

Czernyszew wzdrygnął się, zacisnąwszy pięści na niego; ale się opanował, poznawszy, że ten towarzysz więzienny usiłuje go rozdrażnić, chcąc wydobyć zwierzenia jakie. Nie znając zaś człowieka, i nie wypróbowawszy jego siły woli a wytrzymałości przy torturowaniu — wolał zachować milczenie.

Towarzysz też zamilkł, poglądając na Czernyszewa z widoczną pogardą.

Czernyszew postanowił wytrzymać jeszcze i milczeć.

A gdy noc nastała — nie mogąc się tamten usadowić, kładł się i wstawał, a zginając się w kabłąk zrywał, klnąc ciągle. Czernyszew, skulony, usiłował zasnąć; lecz tamten raz po raz kładł się na niego, szturkając towarzysza; a gdy Czernyszew zasypiał, wtedy tamten nagle się rzucał. Chwilami znów zasypiał, a wtedy czuł Czernyszew gorący jego na sobie oddech.

Na drugi dzień usiłował tamten znowu rozpocząć z towarzyszem niedoli rozmowę: widocznie chciał z niego niejedno wydobyć... Czernyszew poznał nareszcie, że ma tu do czynienia z nasłanym na niego umyślnie — szpiegiem.

— Ha! i na takie-to oni biorą się sposoby? — pomyślał sobie Czernyszew. — Być w takiej ciasnocie, gdzie człowiek ani stanąć, ani wyciągnąć członków zbolałych nie może, i siedzieć jeszcze z drugim — i to ze szpiegiem — i czuć w nocy gorący jego na sobie oddech; i nawet ciepło cielska... a czyjego? Padlca — szpiega!... On nademną tu oddycha i przytula się do mnie, grzejąc mię nadmiarem ciepłoty swego cielska! A ja czuję drgania żył jego — i precz odrzucić go nie mogę!... To męczarnia!

A gdy się pokazało, że pobyt tutaj i trudy tego człowieka były daremnymi, opuścił on niebawem celę, pożegnawszy towarzysza, i życząc mu dni dalszych, a lepszych jeszcze nocy.

Czernyszew popatrzył nań tylko z pogardą.

II.

Wszelkie środki torturujące Czernyszewa nie doprowadziły, ażeby on zechciał zdradzić towarzyszy i wykryć tajemnice związku.

Nie mogąc zatem niczego więcej wydobyć z Czernyszewa, użyto znowu innych sposobów, aby zmusić Nestorowa do zeznania, co ten wiedzieć może o Czernyszewie. Wszak jechał z nim sam na sam, powożony przez woźnicę-spiskowca, po wydostaniu się z miejsca deportacyi, tyle dni się błąkając?... Musieli zatem z niejednem między sobą wywnętrzyć się... Mniejsza o Nestorowa! Ale Czernyszew na pewno wyjawił mu niejedno o sobie samym i o całem sprzysiężeniu. Dręczono też Nestorowa, chcąc z wrażliwego człowieka niejedno wydobyć. Użyto zrazu łagodniejszych sposobów — a gdy te nie pomogły, zmieniono mu celę i zawiedziono do innej, w której zastał już towarzysza niedoli.

Ten, gdy zoczył wprowadzonego Nestorowa, uśmiechnął się pełen jakiejś niezwykłej radości, której zrozumieć nie mógł drugi. Potem odezwał się tamten:

— Wiesz o tem? Trzy dni mamy jeszcze czekać... tak, już tylko trzy dni... Co dziś mamy?... Dziś czwartek... tak... we czwartek było to wtedy, gdyśmy pobili Moskali.. To dzień szczęśliwy... Tym nie wierz, co ci gadali... Moi przyjdą na prawdę... i przyjdą po mnie... a Moskale oddadzą mi moje ziemie... oddadzą mi moich ludzi... Nie wierz tym, że oni padli wtedy wszyscy — pozabijani.

Tu się zbliżył i rzekł Nestorowi do ucha: — Oni żyją... wszyscy żyją.

Nestorów słuchał — i nerwy w nim drgały. Tamten zaś ciągnął dalej:

— Żyją w naszych górach, ach! naszych pięknych... Oni przyjdą po swojego szejka...

Nestorów odwrócił się — tamten ciągle prawił, oczy swe zapadnięte mając zwrócone w jednę stronę. Potem znów uśmiech zajaśniał na jego wychudłej, bardzo bladej twarzy.

— Ty nie wiesz — odezwał się ponownie — co potrafią moi ludzie... To dzielne, rosłe ludzie, chłop w chłopa... a pną-ci się po górach, że ich Moskal nie dosięże... Poczekaj jeno, przyjdą po mnie... a zobaczysz?...

Nestorów poznał z przerażeniem, że go zamknięto z obłąkanym.

Tego jeszcze środka użyto, by ducha jego wrażliwego wziąć na tortury.

Tamten prawił ciągle o Czerkiesach, co przyjść mają po niego, i radził mu, by się zaraz zaciągnął w jego służbę — bo on za dni trzy będzie nazad możnym, potężnym, a cara zwać będzie panem bratem.

Nestorów silił się, by nic nie słyszeć i zachować spokój — lecz zaczynał już bać się o siebie.

W nocy zaś człowiek ten zrywał się wydając dzikie okrzyki. Wtedy Nestorów chwytał się za głowę i zatykał uszy, aby nie słyszeć. Tamten zaś chwilami dobywał się do drzwi wołając jakby na swoich, że on jest tutaj... że zamknięty ich pan, ich szejk... A krzyk jego rozlegał się dokoła. Wówczas drzwi się rozwierały, i przynoszono żelazną koszulę, którą zarzucano na szaleńca i przywiązywano go łańcuchem do tapczanu a ściany. On się pienił

i zrywał — a szamocąc się słabnął nareszcie, i powoli zasypiał.

Nestorów, widząc to, był sam w obawie, ażeby i on nakoniec nie dostał obłędu. Czuł, że z dnia na dzień siedząc z tym człowiekiem, dochodzi do stanu, w którym już umysł się jego rozstraja.

W innych nocach, kiedy chory towarzysz jego w sen zapadł dłuższy, słyszał znów więzień jakieś krzyki i lamenty z cel dalszych, jakby więźniów tam brano na tortury. Wiedziano bowiem, jakich sposobów użyć należy, ażeby znękać duszę pisarza i poety.

Z dnia na dzień coraz gorzej było. Nestorowa już strach nawet napadał, ażeby i jemu nie pomieszało się w mózgu. Chwytał się za głowę, a czasami zdało mu się, że myśli dziś już swoich pozbierać nawet nie jest w stanie.

Nie w lepszym stanie był i druh jego. Próbowano na Czernyszewa coraz innych środków, bardziej dręczących, — nareszcie dnia pewnego zawiedziono go do kancelaryi.

Sędzia tu pojrzał ze szyderstwem na więźnia odezwawszy się:

— Nie wiem, czy jeszcze długo będzie bronił kolegów swoich, gdy oni nie tak uporną mają wolę, i nie tacy są skorzy do poświęceń?... Zrazu usiłowali również odgrywać rolę Mucyuszów rzymskich, co tam chcieli zamordować Porsenę, ale gdy im zabrakło wygody tutaj, wydali wszystko. My już więcej waszych zeznań nie potrzebujem... Sędziowie, czekamy tylko cierpliwie, czy który z was jeszcze czego nie dołoży, coby wpłynęło na zmniejszenie jego kary; ale czyni to się tylko dla formalności, ażeby nam za granicą narody te wasze niby

ucywilizowane nie zarzucały, żeśmy okrutni, że katy, nie sędzie: dlatego jeszcze trzy dni tylko poczekamy — a potem nastąpi już ostateczna rozprawa i zapadnie wyrok.

— I cóż na to powie teraz Hipolit Czernyszew?...

— On już wszystko powiedział, co miał mówić — odrzekł więzień.

— A jeśli jemu teraz pokażę na oczy tego, który wszystko wyspowiadał nareszcie, i który go zdradził — co wtedy będzie?...

— Nie widzę tu... takiego — rzekł Czernyszew nieco drżącym głosem — i wiem, że się taki... nie znajdzie... Musiałby... wtedy... kłamać...

— Zaraz się przekonamy.

— I zadzwonił. Wszedł ordynans.

Sędzia napisał słów parę, a oddawszy przybyłemu dodał:

— Zaniesiesz to dozorcy Nr. 2.

Ordynans odszedł. Sędzia wpatrzył się w Czernyszewa, badając, jakie to zrobi wrażenie. Potem się odezwał:

— Za chwilę pozna Hipolit Czernyszew, że towarzysze jego nie bardzo na to zasługują, aby się za nich poświęcać.

Czernyszew czekał w niepewności. Był nawet niespokojnym na to, kogo tuż obaczy za chwilę.

Sędzia patrzał się ciągle na więźnia badawczo.

Po niejakim czasie drzwi się otworzyły — i dwaj policyanci wprowadzili więźnia.

Czernyszew spojrzał i nieco pobladł. Tamten zaś wydał wyraz zdziwienia.

— A teraz? — zawołał sędzia nie patrząc na żadnego z nich. — Czy go poznaje?...

Czernyszew milczał — tamten zaś drżeć zaczął, nareszcie wzrok pełen gniewu i widocznej pogardy rzucił na Czernyszewa.

Była to niema scena, krótka, ale straszna.

Zanim przyjść do siebie mogli obaj więźniowie, przerwał scenę tę sędzia, zawoławszy czemprędzej: — Już go możecie wyprowadzić.

Przybyły jeszcze raz rzuciwszy drżącym wzrokiem, pełnym goryczy na Czernyszewa, wyszedł z policyantami, jak kazano.

Czernyszew drżał również na całem ciele.

Sędzia rzekł teraz usiłując do ziemi przygnieść nieszczęśliwego:

— Ha! poznałeś teraz swoich?

Lecz Czernyszew rzucił sobą, a wściekłym wzrokiem cisnąwszy na sędziego, zawołał nagle:

Ha! to kłamstwo!... kłamstwa wasze, sędziowie!... On... na mnie ze wzgardą poglądał?... To była komedya!... I my obaj ofiarami piekielnej komedyi. Przekleństwo sędziom, co się takich chwytają środków!

Sędzia zawołał blady z gniewu: — Ha! obraza sądu — bezczelna! Nowa zbrodnia!

I dał rozkaz, aby Czernyszewa odprowadzono.

III.

Nareszcie przyszło już do ostatecznej rozprawy i wydania wyroku. Dzień był wtedy jakiś posępny — gdy się wszyscy zgromadzili w wielkiej sali rozpraw — oświetlonej migającem lamp światłem.

Trybunał zasiadł przy zielonym stole na podwyższeniu, pod obrazem imperatora. Na stole stał krucyfiks.

Po lewej stronie był oskarżyciel publiczny, a niżej nieco przy innym stole obrońca obwinionych.

Wprowadzono więźniów. Jeden z sędziów czytał długi akt oskarżenia i śledztwa prowadzonego. Więźniowie patrzali posępnie. Potem przywoływano świadków, odbierając od nich przysięgę. Śledztwo było już ukończone. Sędziowie zadawali tylko pytania, jak gdyby dla formy. Obrońca coś mówił, lecz ani on sam, ani sędziowie nie przykładali do tego znaczenia. W sali była jakaś pełna grozy posępność — bo dziś ma wyrok zapaść na tylu nieszczęśliwych, którzy się bronić nie mogą.

Wreszcie czytano relacye policyi i żandarmeryi.

Jedni z więźniów od czasu do czasu wzdrygnęli się ciskając okiem pogardy, inni zachowali posępne milczenie.

Zapytywano się jednego po drugim, co ma jeszcze który z nich na swoją obronę.

Kiedy zaś przyszła kolej na Czernyszewa, i zapytano go, dlaczego on się porwał na rząd prawowity i jego prawa — i co ma dziś na swoją obronę — odezwał się więzień:

— Prawa?... Nam właśnie chodziło o prawa, których tutaj niema...

Oskarżyciel publiczny chciał się na to rzucić, lecz przewodniczący trybunału dał znak ręką, ażeby oskarżony dalej mówił.

Czernyszew też dodał:

— Kto tutaj ma prawa?... Czynownik i policya, lecz naród praw żadnych nie ma.

Nastąpiło poruszenie — lecz Czernyszew dalej mówił:

— Sędziowie! Wy mówicie, że my rewolucyoniści, chcieli podkopać Rosyę i obalić państwo. My przeciw Rosyi nie działaliśmy, bo my jej syny, my Rosyanie! Ale nam chodziło o to, aby ta Rosya nie była przekleństwem w Europie, zmorą wiszącą nad światem...

Tu się cały trybunał poruszył, zwróciwszy się do przewodniczącego, lecz ten dał dalej mówić Czernyszewowi, który wnet dodał:

— My chcieliśmy ustaw i praw, których tu nikt nie ma.

— Odpowiednią drogę wybraliście — odezwał się przewodniczący — drogę spisków tajnych i niepozwolonych związków?...

— Bo innych nam nie wolno... Tam w szczęśliwszej Europie mogą się cieszyć wolnością słowa, mogą nawet otwarcie łączyć się w towarzystwa... Poddany rosyjski zaś, to tylko niewolnik...

Na to się oburzali coraz bardziej siedzący przy zielonym stole, lecz Czernyszew dalej mówił:

— Tak, niewolnik — a niewolnikowi pozostawiono już tylko spiskować. Że my spiskować musimy, to nie nasza wina, ale wasza.

Teraz już się odmalowało oburzenie na wszystkich twarzach sędziowskich, a przewodniczący trybunału odezwał się:

— Słuchaliśmy cierpliwie — a teraz nam powie Hipolit Czernyszew, zali wie o tem, że prawa nasze muszą dla nas i dla was zostać zawsze świętością, bo je nadał imperator nasz najmiłościwszy; z tutaj zaś przeprowadzonej sprawy okazało się jawnie, żeście wykroczyli właśnie przeciw tym prawom — więc tylko dziś pozostaje oskarżonym jeszcze dodać, co mają na swoją obronę. O tem może teraz mówić Hipolit Czernyszew.

— Właśnie o tem będę teraz mówił. Jakiekolwiek były moje i nas wszystkich zamiary i cel ich ostateczny, lecz aby czyn jaki był zbrodnią, potrzeba do tego złej woli. To przecież każdy z sędziów naszych nam przyzna, żeśmy tu złej woli mieć nie mogli. Motywa działania naszego nie były egoistycznemi, to nam przyznacie, wszyscy nasi sędziowie! I to jest moją i nas wszystkich obroną. Jeżeli wy, sędziowie dziś nasi, czujecie w sobie jeszcze choć iskrę słuszności...

Ha! co on prawi? — mruknęły głosy. — On się odważa?...

— Jeżeli wy macie dzieci, dla których chcielibyście przygotować lepszą dolę, jak tylko służebników bezprawia albo ciemiężonych — jeśli wy choć trochę kochacie tę Rosyę i pozostała w was jeszcze iskra miłości dla niej, a nie dla waszego bytu tylko — toż się zapytajcie dziś waszego sumienia, czy ci są zbrodniarzami, którzy się poświęcili dla idei. Możecie nie być naszego zdania, możecie być innych przekonań, możecie nas zwać marzycielami... I w samej rzeczy jesteśmy marzycielami, jeśli się do was w ten sposób odzywamy, odwołując się jeszcze do sumienia sędziów. Myśmy zrzekli się szczęścia i ho-

norów, myśmy wszystko poświęcili dla idei, a wy, Rosyanie, nas Rosyan za to katowaliście!

— Czy ma jeszcze co dodać, ażeby powiększyć swoją winę? — odezwał się przewodniczący.

Tu wtrącił nieśmiało obrońca:

— Wysoki Trybunał raczy łaskawie nie pozwolić dalej mówić obżałowanemu, bo pogorsza jeszcze dolę swoją.

— Niechaj mówi — odrzekł złośliwie przewodniczący — Trybunał nasz jest łaskawy, że mówić daje, i cierpliwy, jak przystaje takiemu trybunałowi sędziów.

Czernyszew dalej mówił bardziej rozdrażniony.

— Nie było żadnej męki, żadnej tortury, której-byście dla nas, synów również tej samej Rosyi, nie wymyślili. Trzymaliście nas w śledztwie najokropniejszem, dusili w ciemnych, wilgotnych norach, otaczali szpiegami, chcieli w nas zabić nareszcie wiarę w naszych wspólników niedoli: nie było tortur, jakichbyście na nas nie użyli — a teraz wydacie wyrok, jakiście dawno już ułożyli.

— Więc to jest obrona zbrodniarzy stanu? Tyle macie tylko do powiedzenia na swoją obronę?... Hipolit Czernyszew zaś zapomniał, że jest w przybytku sprawiedliwości, a przed nim sędziowie, co wykonali przysięgę, że bezwzględnie będą sądzili, jak im każe ich wobec cara obowiązek. A czy nie stoi tu krzyż ten na stole?

— Ha! widzę go... ale nie wiem, po co on jest tutaj, gdzie się nie trzymają zasad, które zostawił Ten, co na nim umarł.

— To jest wykroczenie przeciw świętości Trybunału sprawiedliwości. Człowiek ten swojemi słowami pogorszył sprawę własną, która go już musiała potępić. Myśmy

słuchali cierpliwie. i dali mu mówić na swoją obronę — a teraz poznali, jak daleko w nieprawości swej dochodzi. Teraz nic już nie pozostaje: zapadnie tylko wyrok *).

— O! ja wiem — żeście mi dozwolili mówić, aby ubarwić sąd bezprawia i przemocy. Ja wiedziałem, że wasza robota — to podejście, ale ja chciałem wam powiedzieć tu publicznie, bo jeśli mam być skazany...

— Dość już — zawołał przewodniczący, gdy już i wszyscy sędziowie się poruszyli — lecz Czernyszew mówił nie powstrzymawszy się z gwałtownością:

— Niechajże choć naród przynajmniej dowie się, jak wy sądzicie synów Rosyi poświęcających się dla jej dobra...

— Wyprowadzić ich! — krzyknął przewodniczący. — Skończono!

Gdy żandarmi zwrócili się ku więźniom, by ich wyprowadzać — wołał jeszcze Czernyszew:

— Jeśliby w kraju tym panowała sprawiedliwość, to nie my stalibyśmy przed sądem waszym, lecz wy, co kazicie prawo, które jest w sumieniu człowieka, a nie niewolnika!...

Gdy go wyprowadzono i wyprowadzono innych, podniósł rzecz swoją oskarżyciel państwa, wydobywszy wszystko, co tylko ze sprawy przeprowadzonej mógł wydobyć, dodawszy jeszcze do tego słowa obwinionego przed trybunałem wyrzeczone; po nim mówił obrońca, lecz ten sam, jakby nie przykładał żadnej do słów swych wagi, jak również i sędziowie.

Potem odbyła się reszta formalności.

---

*) Rozprawa ta oparta jest na fakcie rzeczywistym.

I zapadł wyrok.

Czernyszew został skazany na dwadzieścia lat katorgi do kopalń zabajkalskich, Nestorów na piętnaście, inni na dziesięć, dwanaście, piętnaście. Wszyscy zaś na pozbawienie praw stanu, i na osiedlenie następne na całe życie w Syberyi.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Po przywiezieniu skazańców na dalekie Zabajkale, do jednej z katorg Karskich — wyprowadzono ich w kilka dni potem do kopalń złota.

Głucho pobrzękiwały żelazne okowy na Czernyszewie i Nestorowie, jak i na innych skazańcach politycznych, gdy ich wyprowadzono na podwórze, po którem kręcili się katorżnicy pospolici z ogolonemi głowami. Następnie podoficer, mający dozór nad strażą, kazał otworzyć bramę, przez którą więźniowie przeszli w porządku przepisanym.

Na trzeci dzień kozacy z ostro nabitą bronią postępowali po obu bokach szeregu więźniów, których pod opieką oficera kozackiego i dwóch żandarmów wiedziono do kopalni.

Minąwszy jeden i drugi z rządowych budynków, ciągnięto następnie obok małych, poczerniałych, pokrytych

dranicami omszonemi, domostw skazańców, którzy byli na wolnej stopie „pod wolną komendą“, ale pod dozorem katorżnej policyi i żandarmeryi.

Kiedy przyszli do stóp góry, z której zboczy kopały już inne partye, politycznych to pospolitych przestępców, piasek z ziarnkami złota — zatrzymano naszych na chwilę; potem wyznaczył dozorca górniczy poszczególne miejsca na kopanie piasku dla każdego z osobna, który taczkami będzie go wiózł następnie do wypłókiwania w potoku. Dwie kompanie kozaków pilnowały tutaj robotników katorżnych.

Więźniowie zabrali się zatem do roboty, jak im kazano.

Zrazu szła ona w głuchem milczeniu.

Następnie odezwał się do Nestorowa Czernyszew:

— Nie żal mi siebie i tej roboty mojej — jam przynajmniej spiskował... ale ty... druhu, czemu ty dziś w tej katordze dzielić masz los taki ze mną?... Ja zawsze i zawsze wyrzucam sobie, żem się stał powodem pogorszenia doli twojej...

— E! daj już temu pokój! — mruknął Nestorów.

— Jak tu dawać pokój — odrzekł Czernyszew — skoro ty byłeś wtedy „na osiedleniu“, a mogły później zmienić się te czasy dla ciebie... Amnestya?... Mogłeś nawet kiedy wydobyć się ucieczką...

— Marne złudzenie! — Tu westchnął Nestorów.

Dokoła zaś rozlegał się głuchy stukot łopat, to spadającego piasku, zmieszany z pobrzękiem broni kozackiej.

Nestorów odezwał się po chwili:

— Ale ty, przyjacielu mój, przecież poświęciłeś się dla mnie?... Przebrać się za żandarma i podjąć drogę

taką do osady najdalszej w Syberyi aż po za Jakuck — ha! toć już do tego trzeba strasznej woli i wielkiego poświęcenia!... Ty to właśnie za mnie skazany jesteś na lat dwadzieścia... Boże! na całe dziś życie... Gdybyś nie był przyjechał po mnie — byłbyś może dotychczas jeszcze gdzieindziej...

— Ty zaś zostawałbyś dziś na osiedleniu — dodał z żalem Czernyszew — a nie w kopalni katorżnej... A! nie słyszysz, jak tam naszych naganiają?...

W samej rzeczy dawały się teraz raz po raz słyszeć głosy dozorców: „*Kripsze! Kripsze!... Ne gawarit!*“ — a dokąd się żandarm który zbliżył, tam już ustawały wraz i szepty.

Czernyszew po chwili znów zagadnął:

— Bo czyś ty nawet wobec tego rządu policyjnego zawinił, żeś dziś tutaj z nami?... czyś ty się ze mną wtedy porozumiewał?... Jam cię wydobył — a czyś ty nawet wiedział, iż to nie żandarm carski ciebie wywozi, jeno spiskowiec?... I gdzie tu twoja wina taka straszna?...

— Dla nich było już przestępstwem — dodał Nestorów — że potem wiedząc, jak rzecz stoi, dałem się wieźć tobie dalej, nie zawezwawszy pomocy na pierwszej stacyi przeciw tobie...

— Tak — przerwał Czernyszew. — I gdzież oni znajdą człowieka, który uwolniony zakładałby na nowo sam na własną szyję obrożę?...

— Ale oni inaczej sądzą — dodał tamten — bo gdybym był zdradziwszy ciebie wydał w ręce policyi, ciebie, któryś mnie ratował, zasłużyłbym się rządowi... a wtedy zmniejszonoby skazańcowi lata kary jego, bo to,

co jest podłością wobec wszystkich, jest obowiązkiem i cnotą wobec tego rządu.

Tu musiał umilknąć, gdyż zbliżał się teraz podoficer kozaków, który niechętnem okiem widział, iż skazańcy rozmawiają.

Gdy się potem oddalił, zaczął znowu zwolna Nestorów:

— Okropne to czasy — okropne, w których zdrady, podłości i przeniewierstwa popłacają — a kto kraj chce ratować, tego dziś zakuwają!...

— I tam posyłają — dodał Czernyszew — skąd się nie wydobędzie. A zacóż to ciebie wywieziono tak daleko? — i umilkł, potem dodał: — Tyś był autor, pisarz, który prawdę pisał, dawałeś jeno rzetelny obraz stosunków w tym kraju...

— No, a odezwy nasze z tajnej drukarni, któreście rozsyłali? — wtrącił Nestorów.

— Odezwy owe — mruknął Czernyszew — ale o to prosili ciebie inni? Za to przecież nie skazuje się na lat piętnaście... tem mniej „na osiedlenie“ na całe życie!... A ciebie zesłano aż na koniec świata sybirskiego w pustosze nad Leną z wyrachowaniem szatańskiem, aby ducha twego znękać i zabić — na zawsze. Ale mnie się nie chce dziś jeszcze wierzyć, że ty masz tutaj skończyć... Nie... nie... To być nie może!... Ty przecierpisz, doświadczysz tu niejednego, przeglądniesz tajemnice caratu — a potem będziesz jeszcze pisał, i ludzie dowiedzą się od ciebie, co tu się dzieje...

— Ach! gdyby tak być mogło — odrzekł Nestorów — wszystkobym wycierpiał, wszystko, a niechajby moje cierpienia były potem nauką dla drugich! Ale to ciężko, ciężko!... Ja nie mam nadziei.

I musiał przerwać, bo się teraz zbliżał żandarm wołając: *Dalsze! ne gawarit!...* a nawet i kozacy, co bliżej stali, najeżyli minę swoją, że ci dwaj rozmawiają tutaj za wiele. Rozgowor uprzyjemnia robotnikowi chwile pracy — lecz dla skazańca nawet i praca winna zostawać karą.

Przestępcy, którzy mieli już napełnione taczki, musieli teraz ciągnąć pod strażą kozacką do potoku. Tam następowało wypłókiwanie złota. Złoto z ich rąk pójdzie do skarbca carskiego i będzie świeciło w jego koronie, a może pójdzie na szlify, na epolety dla wiernych sług jego! Uważajcie zatem, ażeby żadna blaszka nie przylgnęła do rąk waszych, którąbyście usiłowali przekupywać waszych dozorców, bo jeśli chcecie ich przekupywać, to się dzielcie z nimi strawą z ust waszych odjętą!

Kiedy nastał wieczór, i słońce, jakby bez światła w oku, zapadło już za góry tutejsze, nagie, strasznie posępne — pociągnęli teraz więźniowie strudzeni całodzienną pracą do swojej nory.

Tu ich rozkuto. Rzucili się zaraz na tapczany twarde, nieprzyzwyczajeni do tego rodzaju pracy, ani wypoczynku w takiej zadusze a stęchliźnie murów.

I w taki sposób z dnia na dzień pędzono nieszczęśliwych do tej kopalni.

Komendant katorgi nie pozwalał na żadną ulgę dla przestępców politycznych. Tych bowiem uważał on zawsze za gorszych od pospolitych kryminalistów, od rabusiów i morderców, bo gdy ci ostatni krzywdzili tylko poddanych carskich, polityczni zaś przestępcy usiłowali rząd carski podkopać. Czuł też ku nim sługa carski złość większą. Surowy dla pospolitych zbrodniarzy, był okrut-

nym dla więźniów politycznych. Uważał nawet za swoje zadanie, gnębić ich i katować. I z tem się nie krył wcale. Posępniał nawet wtedy, jeśli mu tak dzień przeszedł, iż nie skatował z nich żadnego. Przytem był gwałtowny i nie przebierał w środkach. Gnębił ich, i chciał, ażeby oni czuli i wiedzieli o tem, że on ich chce gnębić, bo na takich zbrodniarzy niema kary: uważał ich jako wyjętych z pod prawa. Jeśli mu kiedy robiono uwagi, podwajał jeszcze karę, a postępowaniem swojem wywoływał wypadki, których starali się roztropnie unikać więźniowie.

Czernyszew, widząc, że bracia jego wystawieni są tu na pastwę, wpływał, jak mógł, na nich, ażeby tego zwierza dzikiego nie drażnić, bo to tylko mogło pogorszyć ich dolę.

Więzienie zaś było stare, popodpierane, ledwo nie walące się, lecz mocno strzeżone, i otoczone wysoką palisadą. Ściany między celami były dość cienkie. Po nocach słyszano też wrzaski i kłótnie pospolitych zbrodniarzy, czasem musiano nawet pałkami uspakajać ich zażartość, kiedy się chwytali za barki, roznamiętnieni grą w karty.

Karty bowiem milczkiem zostawiono zbrodniarzom pospolitym, politycznym zaś przestępcom zabierano książki, bo książki według wyobrażeń policyi psują i robią z ludzi „złych poddanych“, karty zaś są niewinną zabawką, do tego nie sprzeciwiają się dążeniom rządu.

W katordze byli nie tylko skazańcy, ale i skazanki. Dla kobiet z lepszem wychowaniem nie miał komendant żadnej uwagi. Gdy zabrakło miejsca, polityczne skazanki z najlepszego towarzystwa pakowano między pospolite zbrodniarki, między złodziejki i nierządnice.

Wobec kobiet występował on nawet brutalnie, gwałtowność jego i brak wszelkiego taktu nie znały granic. Tak razu pewnego, gdy podle uchybił jednej z wygnanek, a ta rozdrażniona wymierzyła mu policzek: wtedy on kazał skatować ją i wrzucić skrępowaną między najpospolitsze zbrodniarki. Na to oburzyli się już wszyscy, nie tylko więźniowie zaciskali pięści, ale i podwładni jego wojskowi oburzali się, że on do tego doprowadził i jako komendant otrzymał policzek.

Komendant zżymał się coraz więcej, i tracił coraz bardziej na powadze.

Nareszcie musiano go odwołać — i za karę nietaktownego postępowania przeniesiono na wyższą posadę. Był to już bowiem czas ostateczny — gdyż między więźniami zabierało się na coś takiego, coby mogło pogorszyć jeszcze ich dolę.

Aby teraz naprawić złe, co gwałtowny a brutalny komendant narobił, i położenie więźniów uczynić nieco znośniejszem — przysłał dziś rząd na komendanta katorgi człowieka łagodniejszych obyczajów.

Ten zaś unikał wszelkiej gwałtowności, nie myśląc wcale wstępować w ślady poprzednika. Nie pokazywał nawet najmniejszej surowości w obliczu swojem — a głos jego był prawie miękkim i łagodnym. Oświadczył zaraz, iż tu ojcem będzie tylko a dobrodziejem dla zbłąkanych, którzy pod jego opieką i pieczołowitością muszą przeobrazić się na dobrych i „wiernych“ poddanych rządu ojcowskiego.

Ażeby znów los przestępców politycznych złagodzić, a nie żądać od nich ciężkich robót, nie posyłał on ich dzisiaj do kopalni złota. Rządowi zaś zaraportował, że

dwie kompanie kozaków nie są liczbą dostateczną, ażeby upilnować więźniów przy robotach ziemnych, jeśli kiedy którego wzięłaby ochota uciec z katorgi. On znów nie chce być odpowiedzialnym za politycznego przestępcę, zwłaszcza, że liczba tych z dnia na dzień coraz się bardziej powiększa. A nie chciałby więźniów narażać na pogorszenie ich losu przez zamierzoną ucieczkę.

Przestępcy polityczni zostali przeto w budynku więziennym. To im ogłosił komendant jako łaskę i swoją o nich pieczołowitość.

Atoli po kilku wnet dniach poznali oni, że im dziś zabrakło powietrza, a dola ich przez to wcale się nie polepszyła; ruch bowiem na wolnem powietrzu i praca fizyczna dawała im w takich chwilach zapomnieć o ich niedoli, gdy przeciwnie teraz pozostawieni myślom tylko własnym czuli mocniej swoją niedolę.

Czernyszew nawet skarżył się dziś druhowi swemu, że mu teraz myśli wszelkie odbiegają z głowy, i nie może ich razem zebrać... W tej bezczynności zdaje się tracić już odporność i siłę duszy, jaka mu jeszcze po tych katuszach i znęcaniu się nad nim pozostała. Dusza jego rwie się zawsze do działania, on wolałby już cierpieć i być katowanym, aniżeli tu siedzieć w tej ssącej krew z człowieka bezczynności.

A komendant kazał nawet poodbierać wszelkie książki, jakie im jeszcze pozostały — i dobrze zrewidować, czy gdzie nie mają jakich w ukryciu. Ażeby zaś zbudowali się, pozwolił im na same tylko książki pisane w duchu moralności rządowej, owszem takie kazał nawet między nich porozdzielać.

Tu znów był Nestorów zrozpaczony. On nie mając żadnych książek, ani notatek swoich, sposępniał okropnie — i zdało mu się, że wszelka myśl ulatuje mu dziś z mózgu.

Komendant obchodził sam nawet raz po raz cele więźniów, prawiąc im religijno-moralne kazania — a potem zapytywał ich, czy sobie wzięli do serca te jego słowa, jak i naukę z budujących owych książek. A miał wtedy taką minę i patrzał takim wzrokiem, iż niejednemu robiło się już prawie nieswojsko.

Zdawało się dziś więźniom, że milszym byłby im nawet wzrok gniewny, surowy ich dozorcy, niż oko to opiekuńcze, niby łagodne, a właściwie bez wyrazu, podobniejsze raczej do zamarzniętej wody, niżeli do oka, w którem dusza się przebija człowiecza. Ale Czernyszew domyślał się tej duszy, która w oku tem wcale nie świeciła, bo się dobrze w sobie kryła. Przestrzegał też towarzyszy, ażeby tej łagodności nie wierzyli człowieka, który swojem postępowaniem wyraźnie pokazuje, do czego właściwie dąży. Człowiek ten wcale nie myśli poprawić ich doli — we wzroku zaś jego jest coś takiego, co musi naprawdę zatrważać człowieka, który stara się wykryć, co tam na dnie tej duszy może spoczywać.

I nie mylił się Czernyszew — bo po niejakim czasie dola więźniów politycznych stała się nie do zniesienia.

Komendant dzień w dzień ich nachodził i rewidować kazał, czy nie mają ołówka jakiego albo choć węgla, by mogli co rysować lub robić jakiekolwiek notatki. Nestorów był w rozpaczy.

Człowiek ten mówił, że to czyni dla ich dobra, lecz w oku jego czytali już więźniowie ukrytą mściwość i ra-

dość, że im bezczynnością ich może dokuczyć, gdy dawniej narzekali na ciężką pracę i złe z nimi obchodzenie.

Rewizye te ciągłe w dzień i w nocy z policyą, co więźniowie robią i jak nawet spią, uprzykrzyły się nareszcie samym żandarmom. gdyż ci nie wiedzieli, czego właściwie mają tamże szukać i ciągle więźniów nachodzić, gdy się nic przecież z nimi nie dzieje.

Położenie więźniów było już nie do zniesienia. Czernyszew zaś silił się siłą woli wytrzymać, i wpływał nawet na innych, ażeby dowiedli, iż potrafią cierpieć, gdyż cierpienia ich dzisiejsze nie są daremnemi dla Sprawy. Jeśli wytrwają, a nie opuszczą się i nie spodlą — będą mieli następców w kraju, którzy dalej to podniosą, co oni przerwali.

Czernyszew mimo to ciągle nad tem przemyśliwał, jakby wydobyć tu siebie i drugich z tego położenia; nie wiedział jednak, jakby to się zabrać do takiego komendanta, w którym przeczuwał wolę nieugiętą i stanowcze postanowienie coraz większego nękania skazańców, jak gdyby to było dla duszy jego naturalną potrzebą.

II.

Nie tylko dla więźniów samych, ale i dla służby katorżnej, jak i żandarmów, była służba taka dziś nie do zniesienia. Ciągłe rewizye, ciągłe nachodzenia ludzi nie myślących o oporze, męczyły nawet podwładnych komendanta.

Dnia zaś jednego wskutek gorliwej swej zapobiegliwości zachorował sam komendant, i był przymuszony położyć się do łóżka. Mimo to w nocy wstał jeszcze, zbudziwszy żandarmów, i poszedł na rewizyę do cel pojedyńczych, a że wtedy był czas chłodny i wilgotny, przeziębił się mocniej, i słabość się jego pogorszyła.

Na drugi dzień już nie mógł wstać z łóżka, i w ciężką popadł chorobę obłożną.

Wtedy mogli odetchnąć żandarmi i wszystka służba komendanta. Rewizye i nachodzenia nieco teraz pofolgowały. Więźniowie mogli zajmować się nawet nieco robotami drzewnemi dla rozrywki, co im czasem i pierwej pozwalał komendant; zwłaszcza, że był skąpym, i niejednę kazał sporządzić pomniejszą robotę stolarską, co mógł później wliczyć w wykazie swoim, jako zrobiony wydatek na potrzeby kazienne. Teraz zaś częściej zatrudniali się więźniowie robotą taką, dla własnej zabawy, nie bacząc już jeno na potrzeby zakładu.

Obok głównego budynku więziennego było i drugie stare, walące się zabudowanie. Teraz niektórzy z ochotników pod okiem żandarmeryi i kozaków zajmowali się tamże robotą niejaką stolarską. Czernyszew z Nestorowem również gorliwie brali się do roboty, aby mieć przecież jakie takie zajęcie. Czernyszew zajęty koło drzewnej roboty, rozglądał się nieznacznie, i widocznie coś w sobie teraz rozważał.

Po kilku dniach objawił myśl swą druhowi. Z narad tych wynikło, iż właśnie w czasie, gdy straż od nich odchodziła, nie widząc potrzeby ciągłego pilnowania — w pułapie starego tego zabudowania wybili nieznacznie otwór, przez który wylazłby na strych. Chodziło tylko

o to, jakby sobie dać radę ze zwykłą kontrolą więźniów; bo choć teraz, podczas choroby komendanta, nie wpadają żandarmi po kilka razy na dzień, nie mijając i nocy — mimo to codzienna musiała się odbywać rewizya, aby się przekonać, czy są wszyscy więźniowie i czy jeszcze żyją.

Rozmyślając nad sposobami, jakby tu można ukryć brakujących więźniów, postanowił Czernyszew przygotować odpowiednią ilość automatów, — a te rozłożone na tapczanach, w postawie spiącej, przy rewizyi wobec żandarma, prowadzącego kontrolę codzienną, odegrają rolę spiących więźniów, czemu właśnie dopomoże jeszcze nader słabe oświetlenie cel więziennych.

Gdy już otwór w pułapie był gotowy, a straż pilnująca ich coraz bardziej dawała im folgę — wówczas dnia pewnego wysłał Czernyszew dwóch z więźniów, którzy nieznacznie wyleźli na strych, gdzie ukrywszy się mogli pozostać do nocy; następnie zaś, kiedy nastanie ciemność, spuszczą się ostrożnie na palisady, i zlazłszy z tych kierować się będą wzdłuż rzeki w poblizkie lasy, w umówionem znów miejscu zaczekają na innych, którzy podobną drogą podążą następnie za pierwszymi.

W miejsce dwóch tych towarzyszy w celi więziennej ułożono dwa automaty w szarem ubraniu skazańców, i obrócono je do ściany.

Kontrola nadeszła do celi: żandarm przeliczywszy obecnych i obejrzawszy się na spiących z odwróconą do ściany twarzą — odszedł spokojny, że zrobił swój obowiązek.

Następnego dnia stało się to samo z dwoma nowymi, którzy tak samo ukrywszy się na strychu zesunęli potem nie zwróciwszy uwagi szyldwacha.

W ich miejsce leżały na tapczanach dwa nowe automaty; ubrania bowiem wierzchniego nie potrzebowali więźniowie zabierać ze sobą, radzi, że z duszą uciekną, zwłaszcza gdy teraz nastała pora letnia *).

Trzeciego dnia musieli przeczekać, gdyż nie było sposobności ukrycia się na strychu; następnego zaś po tym wyszli tą samą drogą Czernyszew i Nestorów z trzecim towarzyszem — inni zaś nie chcieli odważyć się na niepewne, bo coby się stało, gdyby ich szyldwach spostrzegł i na alarm wystrzelił?

Czernyszew zatem z Nestorowem i trzecim towarzyszem ukrywszy się na strychu, spuścili się potem zręcznie na palisady i — znaleźli się już poza niemi. Noc była ciemna, bezksiężycowa, jak w kilku poprzedzających nocach. Minęli przeto spokojnie resztę budowli rządowych — i wydostali się tak samo, jak ich poprzednicy, poza osadę katorżną.

Postępując dalej wzdłuż rzeki weszli w las, i przez czas niejaki szukając tu zbiegłych pierwej towarzyszy na umówionem miejscu, odnaleźli się nareszcie.

Ucieczka się zatem dotychczas udała.

Przeczekali jeszcze w gąszczy lasowej noc jednę, drugą, a widząc, że żaden z dalszych więźniów nie pokazał się — ruszyli dalej ostrożnie, niespokojni o innych, gdyż dwóch jeszcze postanowiło wyruszyć za nimi, jeśliby i trzeciej partyi tej udała się ucieczka. Lecz daremnie czekali, musieli bowiem teraz tamci albo zaniechać tego, albo też nie musiało się im udać! Czekać zaś dłużej by-

*) Oparte jest to na fakcie rzeczywistym, który się tamże wydarzył.

łoby już niebezpiecznie, zwłaszcza gdy i tak w żywność nie zaopatrzywszy się cierpieć głód muszą. Próbowali tymczasem głód swój zaspakajać, bodaj jagodami, to grzybami w lesie. I woleli już głód i wszelkie nawet przenieść trudy, niżeli w katordze zostawać do śmierci.

Lecz potrzeba było teraz oddalić się od katorgi, jak najwięcej, — bo gdy się tamże rozglądną, a może już się rozglądnęli, rozeszlą na wszystkie strony za nimi obławy. Lecz Sybir nie łatwy do przetrząśnięcia; niechaj tylko z dala trzymają się od traktów i drutów telegraficznych, gdyż druty teraz pewnie będą w ruchu.

Ruszyli zatem w siedmiu — a trzymając się nieco w oddali od rzeki doszli wkrótce do miejsca, gdzie spostrzegli łódź jakąś samotną, przywiązaną do brzegu, której właściciel wrócił zapewne na nocleg. Nie czekając czemprędzej ją odwiązali, a wsiadłszy do środka, robiąc silnie wiosłami, płynęli rzeką, radzi, że tak więcej ujdą drogi. Noc była spokojna; towarzysze niedoli płynęli pełni otuchy, a gdy który z nich zmęczył się robiąc wiosłem, zastępował go drugi.

I tak minęła noc cała. Nad rankiem zaś spostrzegli, iż drożyną obok rzeki nadjeżdża podoficer z dwoma kozakami. Więźniowie chcieliby umknąć z łodzi... Nestorów drżał jak liść osiki... lecz Czernyszew poznał, że już teraz zapóźno, zwłaszcza, że las był dalej od brzegów, a pieszy nie uciecze przed jeźdźcem. Postanowił przeto odważnie płynąć swoją drogą, nie oglądając się na kozaków. Więźniowie zaś kierując się dalej drżeli we wnętrzu, gdy podoficer widocznie zwrócił na nich uwagę, i zaczął już konia swego wstrzymywać. Niebawem zawołał, aby łódź się zatrzymała, i zażądał wylegitymowania

się. Czernyszew odważnie odpowiedział, dokąd płyną, zmyśliwszy czemprędzej jakiś interes. Lecz podoficer wpatrzywszy się w nich uważnie, pokiwał jeno głową i odezwał się:

— Wychodzić z łodzi!... Pójdziecie z nami.

I dawał już znak kozakom, aby mieli się w pogotowiu.

Więźniowie zadrżeli... Czernyszew poznał, iż tu wszystko zależy od jednej chwili — i zawoławszy na bok podoficera, odrzekł spokojnie, żeby był cierpliwy, bo on wnet znajdzie legitymacyę.

Podoficer, zlazłszy z konia, ze surową miną zbliżył się krzycząc: — No, jeśli nie macie, będziem was zaraz wiązali...

Czernyszew, przeszukawszy w zanadrzu, zwrócił się do podoficera mówiąc:

— Oto jest nasza legitymacya.

I wręczył mu w rękę. Podoficer spojrzał na rękę swoją, a schowawszy do kieszeni, rzekł:

— Jest wszystko w porządku. Możecie płynąć w pokoju.

A siadłszy na konia dał znak kozakom — i dalej pognali.

Więźniowie odetchnęli — Czernyszew zaś rzekł:

— Dobrze, żem był na to przygotowany... Ja ich znam. Jeśli car ma takie sługi, może się na nich spuścić. Oniby łoże z pod niego sprzedali, gdyby się kupiec na to trafił...

Nestorów zaś odetchnął, ale jeszcze drżał na całem ciele.

Czernyszew dalej rzecze:

— Ale nie bardzo widzę bezpiecznie w dzień łodzią dalej płynąć, bo albo nas złapią, albo obedrą z całego, jaki mamy, grosza.

Popłynąwszy zatem niewiele, zostawili łódź, uwiązawszy ją u brzegu, ażeby komu innemu również była na usłudze, — sami zaś udali się w kierunku do lasu.

Dzień ten cały ciągnęli dalej, ile sił starczyło, teraz lasem, — nareszcie pod wieczór dociągnęli do jakiejś osady.

Tu się zastanawiali, czy tamże wstąpić do której chaty — czyby to było może dla nich niebezpiecznie? Żywności zaś nie mieli żadnej, głód im dokuczał; jeśli więc stracą dziś siły swoje, dalej nie ujdą.

Weszli zatem ostrożnie do pierwszej tutaj chaty, położonej na końcu osady. Tam zastali niewiastę zajętą koło ognia i odprawiającego modły starego, a niedorostek, pojrzawszy na nich ze strachem z ukosa, w kąt się zaciągnął.

Czernyszew pozdrowił kobietę, która z niechęcią odpowiedziała, patrząc na nich podejrzliwie. Czernyszew zapytał się, czy jest we wsi wójt albo też czynownik jaki.

Czynownik?... Ta, co on ma do nas?... Był-ci tam kiedyś... przed miesiącem może... może i dawniej... Co on nas obchodzi!

— Wy przecie chrześcijany? — dodał Czernyszew. — Widzę, że się stary modli... My także chrześcijany. Pozwólcie również i nam pomodlić się, a potem nie będziecie bronili noclegu?...

Stary popatrzył z obawą — kobieta zaś rzekła:

— Ta, gdzie tu dla was nocleg?... My nic nie mamy, czembyście się pożywili... Może tam dalej znajdziecie?...

— Toż nas wyganiacie?...

— Bo u nas nic niema. Gdzieindziej to może wam dadzą pożywić się... Tam nawet będziecie mogli sobie zakurzyć, Boże odpuść! zielem tem czartowskiem, którego u nas za nic w świecie palić nie wolno...

Czernyszew przekonał się, że to są starowiercy, którzy tytuń uważają jako ziele dyabelskie, — tembardziej też poznał, że dom to właśnie jakby dla nich.

— Toć wy starowiercy? — odezwał się weselej. — Chwała Bogu! Teraz i wy nam i my wam zaufamy. Wy nienawidzicie antychrysta — on naszym również wrogiem.

Kobieta przelękła się zawoławszy: — Wy *brodjagi*?...*)

I zaczęła się cofać...

— Nie bójcie się, dobra kobieto, my nie *brodjagi*, my nie mordercy, ani rabusie... Przecież poznać to po nas możecie?...

— A jak wy mówicie? — rzekła kobieta patrząc się na przybyłych badawczo. — Wy przecie nie czynowniki?... Wy mówicie, że ich nienawidzicie?...

— Tak jest, nienawidzimy rząd i cara, i więcej zapewne, niżeli wy...

— To wy chyba — dodała patrząc się w nich — może... Polaki?... A to dobrzy ludzie...

— My choć nie Polaki, ale tacy sami ludzie... i tę samę krzywdę, co oni, ponosimy od cara i jego rządów. Tych samych mamy wrogów.

---

*) *Brodjaga* — kryminalista zwykły, który uciekłszy z katorgi, włóczy się po Sybirze, rabując często i mordując.

I powoli nabrano tu więcej do siebie zaufania. A gdy kobieta przekonała się, że to ani czynowniki carskie, ni też kozaki lub *brodjagi* zbiegłe z katorgi, wyniosła ze spiżarni, co miała, i nie odmówiła im pożywienia, ani noclegu.

Tutaj mogli zatem posilić się i przenocować.

III.

Nazajutrz zaopatrzeni nieco w żywność, a wypytawszy się dobrze, w którym to kierunku udać się dalej mogą, aby nie zdybać jakiej pogoni, lub jakiego gdzie czynownika — dalej pociągnęli.

Okolica wypadła im zrazu pagórkowata, gdzieniegdzie bliżej jeszcze osady nieco zieleniejąca małym szmatem owsa mizernego, dalej zaś przeszła we wzgórza niewysokie, bardziej dzikie, stepowej po części natury, tu i ówdzie porosłe tylko krzakami. Dziwna pustynność otaczała ich — osamotnienie przyrody, budzące niepewność i trwogę — wiało ze wszech stron. Milczenie zaś przerywał kiedy niekiedy ptak tylko jaki, żałosnym głosem odzywający się, jakby szukał towarzysza, którego tutaj znaleźć nie może.

Godzina po godzinie mijała. Okolica była zawsze taka sama. Nareszcie opadła ich okropna tylko nuda i niepokój wśród tej dokoła samotności.

Po dłuższym czasie, utrudzeni pochodem i zmęczeni brakiem odmiany, spostrzegli, że tam coś zdala, jak gdyby na prawdę, zamajaczyło.

Przystanęli, usiłując dostrzedz, coby to było... Człowiek, nie-człowiek?... Może to rzucił cień pniak jaki — a może im się tylko zdawało, że się coś ruszyło. Patrzą... nie... nic nie widać... To tylko było omamienie. Tu przecież nic niema.

I dalej ciągnęli. Lecz jeden z nich niebawem zawołał: — Nie, nie... Na prawdę, to człowiek!... Tylko że przystanął, jakby nie był teraz zdecydowany...

Czernyszew, natężywszy wzrok, odezwał się: — Może i człowiek... lecz broni mieć on nie będzie... bo ta przecie zabłysnęłaby. A zresztą jednego bać się nie mamy czego. Jeśliby to był z pogoni jakiej, albo i żandarm — no, toć jednemu damy radę... Nawet nie możnaby go tak zostawić, ażeby o nas dał jeszcze znać dalej. Chodźmy też prędzej!

A tamten na prawdę ruszył się, próbując uchodzić... Lecz nie mogąc ukryć się w gęstwinie, której tu nie było, ani za drzewo jakie — próbował tylko uchodzić na wzgórze, z trwogą oglądając się, niepewny, czy się zatrzymać, czy dalej uchodzić....

Lecz nareszcie stanął. I zbliżywszy się, drżąc cały ze strachu, zaczął się jąkać:

— Ja biedny człowiek — wołał poglądając błagalnym wzrokiem — nie miał w gębie tydzeń cały... żadnego strawe... Pany miłosierne!... zlitujcie się...

Nestorów patrzał na tego człowieka mocno wychudłego z pewną litością — a Czernyszew odezwał się bardziej ostro:

— Co ty za jeden?...

— Nu, jaki jeden? — odpowiedział zagadnięty. — *Pod chajrem!* Ja dobry człowiek... biedak...

Czernyszew obróciwszy się do towarzyszy rzekł: — To bo wygląda jakby na żyda?...

— Nu, co ja tego winny, że ja żyd?... ale ja żadne złe nie robił... ja tu się błąkał, i nie wie, gdzie iszedł, aby nie zdechł.

— A skąd ty się tu wziął?...

— Abo ja wie?... Nu, czy ja wie, skąd ja idę tego... Tu takiego świat, że człowiek nie wie, skąd wun, nu, dokąd wun idzie!... Mnie głowa pęka, a kości wszystek boli... Ja już sam nie wiedzieć, co ja... nu, po co ja tutaj chodzę...

Wpatrzywszy się w żyda bystrzej, rzekł Czernyszew: — Ty z katorgi?...

— Nu, ja nie wie — odpowiedział żyd — gdzie ja był, i gdzie woni mnie wsadził, nu, za co... Ale, pany moje, pany moje kochane, ja wie, że woni nie żandarm żaden, nu, niech jego dyabli!... nu, woni nie kozaki, co ino chodzi z bat tego na człowieka...

— No, no, nie bój się!... Ale ty z jakiej katorgi?...

— A czy ja wiedzieć, jaka wona — mruczał żyd. — Nu, ja ino wiedzieć, że wona taka, co tam człowieka ino po plecy, ta naj zabije go... a potem do tego dziury... nu, ich tam duszo wszystkie, co woni kradli, nu, zabijał... A co ja miał tam robić?... Nu, czy ja kradł, może zabijał?... Woni mnie zabijał tymi pałki...

— Więc on dostawał pałki? — odezwał się inny z towarzyszy.

— Jak to nie dostawał? — zawołał żyd — woni zawdy groził tego dozorcy, że będzie bił... nu, jak człowiek ni miał gadać, że wun głodny, nu, że już nie zduża?...

— Ale tobie grozili, a nie bardzo bili? — rzekł Czernyszew.

— A za co mnie miał wun bić, czy ja sie stawiał?... Woni jeszczeby za to zabił...

— To nie będzie nic tak wielkiego, za co go oddali w katorgi — dodał Czernyszew.

— Nu, co wielkiego — mruczał żyd — a co ja tam zrobił?... czy ja kradł, nu, zabijał kogo?... Ja sobi ino handlował w mojego kraj... nu, a co ma żyd robić, jak nie handlował?... Czy wun ma dobro jakiego, czy wun biere carskiego pensye?... A co wun ma?... Wun sobi handlował... i jego za to tu pogonił woni... w takiego kraj, gdzie ino wołki, taj medwid... Jak wun się pokaże, to bedzie człowieka żreć, nu, tu nima co inne...

— To ty handlował? — rzekł Czernyszew. — No, toś ty kradł, co nie było twojem, i sprzedawał?...

— Nu, *pod chajrem!*... ja nie kradł... ja nie sprzedawał... ja ino, jak zwykle żyd... ta, chciał zarobić, a przez tego strażniki, za co bo ja miał płacić na toj trakt?... Nu, ja musiał jeść, ta chciał zarobić...

— To ciebie wzięto za kontrabandę?...

— Nu, co za kontrabande tego!... To nie był żaden kontrabande... ja ino chciał troche tego biednego towar... Za co ja miał akcyze taki wielgi płacić za takiego łachman?... Nu, z czego ja miał żyć i mojego dziecioro?... żeby ja płacił tego akcyze, toby wun żył tego strażniki, a jaby zdychał z głodu!...

— To, jak widać, nie będzie żaden niebezpieczny człowiek — odezwał się Nestorów.

— Ale skąd on jest? — dodał Czernyszew — z jakiego kraju, bo to przecie nie rosyjski żyd?...

— Nu, z jakiego ja kraj?... Ja biedny żyd, ja dobry żyd... ja ze swojego kraj, gdzie się wun urodził. To nie taki paskudny, jak ten, hde wun dzisia sie błąka.

— Ale skąd ty? — zapytał Czernyszew.

— Nu, skąd ja? — Tu westchnął żyd. — Ja z mojego dobry kraj... ja z Polszczy naszego... nu, ja z Łytwy...

— To polski żyd? — dodał Nestorów, a za nim inni okazali widoczne zaciekawienie.

— Nu, polski — rzekł żyd oglądając się po obecnych. — Nu, z takiego, co woni handlujo, a nic nikomu złego nie robi... Oj, oj, jak tam dobre!... tam w naszego miasto nima w niego tego kopalni, nu, nastawnik na żyda toj z tego pałkie, aby wun rył w piasek — ano co wun ma z tego?... Nu, jak wun chciał raz troche tego blaszkie złotego sobie schować, to wun tyle dostał za to pałki, że już zdechł na smert... Nu, wun nie wi, skąd potem sie wziol tego nazad, kiedy woni go zabił?...

— Ależ... dokąd ty teraz chcesz iść?...

— Nu, dokąd?... Ja ni-dokąd... Ja iszoł tyżdeń cały... ani znał, kiedy koniec tego... tu nima koniec... Ja myślał, że gdzie dójde już jakiego granice... a to wone nima... Ja bedzie Boga błogosławić, co ja tu pany miłosierne zdybał, co woni się zlitował i człowieka nie kopno jako psa... nu, bo i psu dobry człowiek jeść da, kiedy wun zdycha. Pany miłosierne!... Dajte szto trocha człowiekowi, bo wun nima już noge, ni głowe...

Nasi, widząc człowieka, który w samej rzeczy wiele już dni nic nie miał w ustach błąkając się tylko, dali mu nieco placka owsianego, co on chciwie połykał błogosławiąc.

Pożarłszy, nareszcie chwycił się za boki. — Oj, doprawdy... człowieka wono gryzie...

Tu blady już przedtem... zaczął bardziej jeszcze blednąć.... i pot zimny nań wyszedł.

— Aj aj! słabo! — zawołał żyd. — Ja już gine... Panowe! ratuj!...

I zaczął się chylić — nareszcie upadł. Widocznie zemdlał, gdyż ciało jego tak stało się osłabionem w skutek dłuższego głodu i prawie zniszczonem, że z pożywienia od razu dostał kolek i osłabł, a pot zimny, wielkokroplisty, wystąpił na skronie.

Dano mu niejaką pomoc — żyd powoli przychodząc do siebie mruczał tylko: — Już bedzie dobre... pany moje... Nu, ja jeszcze nie umer... a ja bo myślał, że to już jego koniec... na tego ziemia... a ja już nigdy nie zobacze... Tu zaczął płakać dodając: — ach waj!... mojego żone... co wun w tego Nerczyńsk... wun tam pire skubi... Co miał bo robić? Wun się zawlekł za mno... Nu, a z czego bedzie żył?... To wun musi zarabiać.

— A masz ty dzieci?...

— Nu, to ja miał — odpowiedział żyd — a gdzie woni teraz? Jeden taj zmer, a drugi, tego młodszy to zabrał car... Przyszli, bodaj ich!... Mój Herszko... to czy wun był rekrut na żołnira, czy co?... Wun ino ditina... nu, co to jest?... Woni jego porwał... matke krzyczał gewałt i chwytał sie za głowe... ja takoż rwał mego włosy... a woni mnie pchnuł, jako psa, a jego porwał...

— A naco carowi przyda się taki?...

— Nu, naco?... To woni gadał, biero tego do robote jakiegoś wojskowe, i tam bijo... tak majo uczyć na sałdat, kiedy wun bedzie już dużeć...

— I poco im takich do armii? — rzekł Czernyszew.

Drudzy towarzysze zaczęli baczniej uważać — a żyd dalej mówił:

— Nu, czy pany nie słyszał tego?... Czy to wun może jeden?... Woni biero całe kupy tego... Ach waj! Wtedy my już rozumiał, że drugi raz naszego Jerozolime upada na wielgi dla żydów lament...

Na to jeden z partyi odezwał się:

— Przecie słyszeliśmy, i tak nam opowiadano, iż za cara Mikołaja to nawet same drobne dzieci na wozach pod konwojem wleczono kozaków, a gdy które krzyczało, wtedy kozak bił maleństwo... Mówili starzy, że to być miało od żydów polskich, z gubernii litewskich...

Małe dzieci?... Straszne rzeczy — niesłychane! — mruczeli. — To przypomina chyba asyryjskich i babylońskich najeźdźców w czasach barbarzyństwa... Bo i Azya dzisiejsza podobnych pomysłów już z siebie nie wydaje.

Nastąpiło niemałe oburzenie.

Zlitowawszy się teraz nad niedolą żyda, pozwolili mu iść z sobą.

— Nu, ja bedzie panom wiernie służyć. Ja jeszcze mam siłe, nu, ja z nimi pójde.

— Ale my nie idziem — rzekł Czernyszew — do żadnego przecie tu miasta... My kierujem się daleko...

— Nu, ja takoż do żaden tutaj miasto — odpowiedział żyd — a pocoby ja tam iszoł?... żeby mnie porwał, taj nazad do tego paskudnego katorga?...

— Ależ dokąd ty dążysz? — zapytał Czernyszew.

— Nu, dokąd ja donży?... Abo ja wiedzieć neni?... Ja chce ino wod nich uciekał... nu, daleko... za granice jakie...

— Ale dokąd, człowieku?

— Nu, za granice?... Ja nie wiedzieć, co tam jest tego... ale będe ja się dowiedział potemu, którędy tam iszoł do mojego kraj...

— Ho! ho! czy to tak blizko?... A co ze żoną swoją zrobisz?

— Nu, co wun ma ze mnie mojego żone? Wun nic nima z mego katorga... Nu, wun, żone, jak się dowi, co mnie już nima w tego kraj, co ja już uciekł, to wun może takoż bendzie wrócił. Nu, ale panowe, ja wiedzieć, takoż woni nie wróci do żadnego miasto. Woni uciekał... Nu, ta ktoby tam siedział!... Woni znajo, gdzie tego uciekać... Nu, chwalić Boga! woni i mnie zabioro... bo jaby tu ino zdechł...

Więźniowie poznali, iż nowy jakiś uczepił się ich kłopot. Ale co tu było robić?... Człowieka nie porzucą, jak psa... onby tutaj skończył nie mając nic, i nie wiedząc, dokąd się udać: uciekać przeto musi. Z drugiej strony, niedobre mając wyobrażenie o polskich żydach, nie mogli mu całkiem dowierzać. Że on jest dzisiaj w niedoli, i że nim niesłusznie poniewierali — o tyle można wiedzieć; ale gdzie poręka, że z nim dalej ciągnąć będzie bezpiecznie?... Mimo to nakazywałaby nawet ostrożność, żeby żyda nie puszczać teraz samego, bo gdyby go gdzie nadybano, albo też on sam do jakiej zaszedł osady — wonczas za śladem żyda mimo jego woli mogliby ich

wszystkich wykryć. A w razie znów przyciśnięcia żyda — tenby pewnie za nich nie dał się katować.

Chcąc nie chcąc musieli go zabrać ze sobą. On znów przyrzekał, iż będzie im służył, wszystko czynił, co każą, byleby tylko mógł iść z nimi, a nie zostawał tu na żer wilkom i innemu zwierzowi.

CZĘŚĆ CZWARTA.

I.

Tak wlekli się po nieznajomej pustoszy, a żyd ciągnął z nimi, zrazu z trudnością przymuszając się, jak mógł, bo sił nie miał, — lecz potem w dalszych dniach coraz lepiej ciągnął, mimo, iż czasami jeszcze ustawał, i dreszcz go jakiś napadał, że trząsł się, nawet wtedy, gdy słońce grzało w południe. Był to skutek dawniejszego trudu o głodzie i chłodzie bez należytego odzienia. Mimo to jednak dzień w dzień do lepszych sił przychodził.

Ciągnęli przez stepy — to przez gołogóry jakieś — albo też przerzynali się przez zarośle lasowe; kiedy zaś na jaką natrafili osadę, która nie pokazywała na żadne niebezpieczeństwo, wtedy próbowali do wsi wstępować.

Czasami przyjmowano ich, i dodano nieco żywności, lecz w innych miejscach wszystko się kryło — i zasuwano przed obcymi chaty... Atoli niewiele mogli oni wypocząć i pożywić się, mając ciągle na oku możliwe

jakie niebezpieczeństwo. Nieraz też głód niemały cierpieli — żyd wówczas tracił już ostatek sił swoich, a rozpacz i zwątpienie widocznie występowało na twarz jego. Mimo to wlókł się, jak mógł, dalej.

Po kilku nowych dniach, wszyscy, mocno znużeni, szukając gdzie jakiej osady, nie mogli się wydobyć z puszczy leśnej, która zdawała się nieraz już kończyć, — lecz kiedy niby do jej końca już dochodzili, wówczas się pokazywało, że to była tylko jakaś obszerniejsza halawa z moczarem na środku, a las ciągnął się dalej... Gdy zaś próbowali ominąć go i udać się w prawo, przekonali się niebawem, że i tam las był jeno i las. Próbowali zatem udawać się w kierunku, gdzie nieco lasy były przerwane, i płynął środkiem potok gąszczą trawiastą — ale ciągnąc z trudem przez tę dzicz trawiastą poznali wkrótce, że tam dalej las był jedynie... Ha! nie pomoże!... musieli zatem ciągnąć, spodziewając się, że przecież las musi się skończyć.

Upadając już, chcąc nie chcąc stawali, aby wypocząć, zresztą oglądnąć się bodaj za orzechami cedru, gdyż inaczej dalej już nie dociągną. A gdy dorwali się do cedru, oblepionego orzechami, wkrótce cedr cały został oberwany. Lecz to głodu wcale nie zaspakajało — tak samo, jak i nadybywane po lasach jagody.

Ze zwierzyny nieraz, jaką zdybywano — migały tu i ówdzie między drzew konarami wiewiórki, czasem ptak leśny zakrzyczał, — lecz nie mając żadnej broni palnej, nie mogli też ubić niczego. Grzybów było dosyć, nie mieli jednak ognia, bo dostawszy raz parę zapałek wypalili je wszystkie, hubkę zaś zgubiono przedzierając się gąszczami.

A tu głód mocno dokuczał. Trzy dni błąkali się po puszczy, nie mając innego pożywienia. Nareszcie posłabli, nie mogąc już dalej ciągnąć... Żyd zachodził w głowę, co teraz robić, i zaczął już mruczeć, że dłużej nie wytrzyma, bo go żre i pali we wnętrznościach. Ależ i wszystkich tak głód osłabił, iż padali, nie mogąc ciągnąć dalej. Nie znachodząc nic dla zaspokojenia głodu, żłopali wodę, stojącą, czarną, jaką gdzie nadybali, — i nie mogli ugasić pragnienia, a paliło ich we wnętrznościach.

W dalszych dniach ten i ów dostawał konwulsyjnej jakiejś czkawki, której nie mógł się pozbyć — oczy zaś były już u tych ludzi, jakby pozapadane, lica nawet pozieleniały.

Nestorów już się nie posuwał o własnej sile, pomagali mu jeno towarzysze.

Straszliwy palił im głód wnętrzności.

Dwóch znowu innych z oddziału nie mogli się nawet czołgać, — musiano ich nieść prawie, kiedy próbowano dalej się posuwać, bo przecież tutaj nie zostaną.

Żyd zaś wyglądał, jakby śmierć sama — oczy jego zdawały się na wierzch wychodzić, pełne niejako strachu przedśmiertnego. Bełkotał tylko, przeklinając swój los, że w taką popadł biedę. Mruczał dziś, iż wolałby już nawet katorgę, niż taką tutaj mękę... Tam przynajmniej dano mu jeść... a tu czuje okropną mękę głodową. Oni patrząc na niego, choć i sami czuli katusze, byli nawet oburzeni; mimo to nie mogli się jemu dziwić.

Żyd ciągle wołał przestraszony, żeby go ratowali, bo już dusza z niego wychodzi, i czuje, jak mu wnętrzności się ściskają nie mając nic w sobie oprócz próżni. Mimo to wstawać byli zmuszeni, próbując wlec się

dalej... Dwóch całkiem zesłabłych wraz z Nestorowem dźwigano już prawie — Czernyszew, pomimo, że cierpiał sam, dodawał innym energii, wołając, aby się dalej posuwali.

Wkrótce dopadli jakichś jagód... i zaczęli rwać je z pospiechem. Jagody te nieco ich niby ożywiły, a przynajmniej o tyle, iż zdołali wlec się z wielką forsą dalej posuwając.

Nareszcie niespodzianie pokazała się halawa — i tam widniały trzy czy cztery chaty mizerne.

Na nic nie zważając, rzucili się do pierwszej z chat onych... Na ich widok przerazili się mieszkańcy. Kobieta, jak ich ujrzała, przystanęła, jakby strętwiała ze strachu, nie wiedząc, czy to żywi ludzie, czy może umarli zagościli do ich domu... Dwoje dzieci mocno przerażonych ukryło się w kąt czemprędzej, nie śmiejąc podnieść wzroku — a chłop palący tytuń wypuścił lulkę, stanąwszy jak wryty, nie wiedząc, co teraz począć...

Lecz zgłodniali nie uważając na nich chwycili za garnek z jakąś strawą — inni żłopali mleko czy serwatkę, jaką nadybali. Czernyszew miał tyle przytomności, że czemprędzej gazdę i niewiastę jego uspokoił, iż oni są ludzie, jak i drudzy, a nie rabusie, ani *brodjagi*, tylko zgłodzeni, bo tyle dni już nie mieli nic w ustach. Wtedy zaczęli się zwolna uspakajać mieszkańcy w tej chacie — a chłop nawet wkrótce wyszedł, aby i z innych chat nieco im przyniesiono pożywienia. Niebawem też nasi pierwszy głód zaspokoili — lecz musieli to zaraz odchorować. Żyd zjadłszy kładł się i wił w kurczach, wołając, że go struto, przeklinając siebie, że na taką zeszedł biedę...

Ludzie zeszli się z chat dwóch innych, a nie widząc w życiu swojem nigdy żyda, pytali się, co to za człowiek:

bo jeśliby to był, Boże chroń! jaki może „Francuz“, toby im gotów jeszcze chatę spalić a dzieci podusić; bo te „Francuzy“, jak oni słyszeli, to prowadząc wojnę z carem, żołnierzy carskich mieli piec na ogniu, jakich tylko dostali, taj jedli ich — a małe bachury chłopskie, to już-ci nadziewali na rożen, jakby kuropatwy. Ale „Gaspodin Boh“ dopomógł carowi, że ich pobił — i teraz muszą go oni słuchać i płacić mu daninę, gdy poszle do nich żandarmy swoje. A ponieważ żyd ten, klnąc nie po bożemu, a wijąc się jakby „niesamowity“, coś bełkotał niezrozumiałego — podejrzywali go, że to może jeden właśnie z takich.

Lecz ich uspokojono, że to nie żaden „Francuz“, a choć nie chrześcijanin, ale zawsze on człowiek. Żyd zaś do nikogo nie chciał już mówić, patrząc jeno z wyrazem zwątpienia i rozpaczy.

Mimo to czując tu się bezpiecznymi, a nie mogąc z unużenia ciągnąć już dalej, pozostali dwa dni, — a litościwi ludzie, do tego może drżący z bojaźni, ofiarowali im jednę z kur swoich, którą dla nich przyrządzono, że mogli przyjść do sił do dalszej swojej wędrówki.

Żyd również się posiliwszy nabrał nieco siły, był jednak ciągle jakby zrozpaczony, myśląc nad tem, co dalej z nim się stanie. On nie wyobrażał sobie, aby dójście do granicy ziem carskich ciągnęło się w nieskończoność. Kiedy go wleczono dawniej na Sybir, to jechał i ciągnął pieszo, ale miesiącami, przy wypoczynkach nieraz przydługich; sądził więc, że już dojechał do końca carskich właści. Teraz znów nie widzi tu końca, ani żadnej granicy.

II.

Więźniowie ruszyli dalej, wypytawszy się, w którym kierunku będą osady oddalone od traktu, a w którym miał ciągnąć się trakt mniej dla nich bezpieczny... Mimo to postanowili nie bardzo zapuszczać się w głuche bezdroże, ażeby powtórnie nie popadli w taką, jak ninie, ostateczność.

Kiedy wyruszyli, była mgła, zakrywająca przed nimi świat dokoła. Na parę kroków nie dało się nic widzieć, grupy drzew przezierały tylko jakby przez gazę, a nawet i pobliższe krzewy, tak, że oni posuwali się tylko w kierunku, w którym im wskazano. Sami nie rozpoznawali nic dokoła, owinięci zaś mgłą byliby dla innych tak samo niewidzialnymi, jeśliby ich kto słuchem chyba swoim nie dostrzegł: w tem też właśnie leżało niebezpieczeństwo. Lecz ich zapewniono, iż tu nie rychło pokaże się osada jaka. Mimo to coś nader przykrego było w tej mgle, jakaś niepewność... lęk zaś co chwila ich obejmował; nie wiedzieli jednak, czy to owa pustynność przesłoniona mgłą była tego przyczyną, czy może drażliwość ich wewnętrzna, będąca skutkiem trudów a niepokoju.

Żyd ciągnął za nimi z jednakim ciągle wyrazem rozpaczy i zwątpienia, nie klnąc, ani mrucząc, zdawał się nawet dziś nic nie widzieć, nic nie słyszeć dokoła siebie.

I tak ciągnęli dzień jeden, dzień drugi, nie zrobiwszy wiele drogi, gdyż sił mało już mieli.

Nareszcie zaczęły się pokazywać ślady znamionujące blizkość przecież osady. Niektórzy z nich żywiej zaczęli kroczyć, jakby się bliżej ludzi czuli pewniejszymi od głodu i trudów. Żyd zaś drgnął zaczuwszy tuż blizkość osady,

która im z głodu zemrzeć dziś nie da — i raźniej ruszył się, jak gdyby nowej nabrał siły.

Nie dziwiono się temu, gdyż teraz każdy z nich w podobnem znajdywał się usposobieniu. Byle tylko osada ta nie była na trakcie głównym... ale tu do niego nie tak jeszcze blizko. Żyd, choć blady, jednak teraz zdawała się w nim krew grać żywiej... On spieszył wszystkich, żeby prędzej ciągnęli, gdyż on sobie nawet przypomina, iż był raz w tych stronach, choć nie wie, jak się one nazywają. Pamięta jednak, że tam ludzie sprzyjali skazańcom, a więc może być ich partya całkiem bezpieczną, — i jeśliby zechcieli, mogliby tamże, parę dni nawet zatrzymawszy się, należycie wypocząć. A gdy przyjdzie dalej — toć i on będzie znał już drogę: może być przeto niezłym przewodnikiem, zwłaszcza, jeśli mu kto po drodze da choćby jakie takie wskazówki.

Niektórym to się dość podobało — inni przeciwnie wątpili, czy się żyd nie myli, i czy się sam nie łudzi; albo może ich samych tylko łudzi, ażeby tamże wypocząć, nie dbając już o los swój dalszy.

Pomimo tego prędzej ciągnęli do osady, ażeby ich noc nie zaskoczyła.

Pokazywały się już chaty z poza zarośli... Niektórzy chcieli wnet do pierwszej lepszej wstąpić, lecz żyd ich zapewniał, iż tam dalej będą lepsze, dostatniejsze, bo on dobrze tę miejscowość sobie przypomina.

Szli zatem dalej... Niebawem spostrzegli chatę obszerniejszą, do której wejść próbowali. I nie omylili się; chata to bowiem była dostatniejsza, a gazdowie w niej gościnni, nie żałujący im niczego. Gdy zaś się spytali, czy we wsi tej bezpiecznie — usłyszeli, że tu nieraz widy-

wali skazańców, i zbiegłych, ale nikt tu się o nich nie pytał, bo oni mają swoje kłopoty.

Wkrótce postawiono przed nimi misę mleka i dwa placki pieczone w popiele, dodano i kawał mięsa jeleniego.

Posiliwszy się więźniowie zabrali zaraz do noclegu.

I wszystko wkrótce już spało.

Nad rankiem pierwszy otworzył oczy Czernyszew, i zaczął się rozglądać, a obudziwszy spiącego jeszcze koło siebie Nestorowa zapytał się go, czy i on także nie widzi tu leżącego między nimi żyda?...

Rozglądnęli się obaj po spiących, i nie mogli żyda zobaczyć, co ich nieco zaniepokoiło. Czyżby on wyszedł spać gdzieindziej, jeśliby mu tutaj było za nadto duszno?... A może też już wstał?... Nestorów nic w tem nie widział niezwykłego, lecz Czernyszew był niespokojny.

Wreszcie dał się słyszeć jakby szmer jakiś z dala, to niby głuchy tętent jak gdyby nadchodzących... Czernyszew wyszedł zatem za drzwi obaczyć, coby to było...

Lecz w tej chwili wrócił się nazad przerażony, usiłując czemprędzej pobudzić spiących.

Atoli za nim wpadło zaraz kilkoro ludzi rzuciwszy się na niego... On krzyknął... Rozpoczęło się szamotanie... Drudzy zaczęli się budzić, a widząc, co się dzieje, zrywali się potrwożeni na pomoc druhowi. Lecz tu z wtłaczających się chłopów z maczugami i łykiem w ręku zapchana już była cała izba.

Czernyszew zbity i zraniony wołał ochrypłym głosem, aby sił ostatnich dobywali i przebili się choć drudzy. Atoli większa ich część była już powiązana, inni się jeszcze szamotali dławiąc się wzajemnie, lub wbijając z rozpaczą paznogcie w karki napastników.

Po chwili byli już wszyscy powiązani.

Podrapani i krwią ociekli napastnicy z rozwścieklenieniem bili jeszcze powiązanych, — gdyż Moskal i Mongoł najbardziej mszczą się nad bezbronnymi, w żyłach zaś mieszkańców osady tej grała krew moskiewska zmieszana dobrze z mongolską. Za nimi stał z tyłu wójt osady, dający dalsze rozkazy. Gazda zaś i gazdyni chaty, którzy obcych ugaszczali, byli przerażeni, załamując tylko z trwogą ręce... Oni chcieliby za nimi prosić, lecz poznali, że tu ich pośrednictwo na nic się teraz nie przyda.

Żyd, zwątpiwszy o ratunku dla siebie — zdradził towarzyszy niedoli.

Usiłowano potem wchodzić jeszcze w ugodę, aby ich puścić wolno, pomnąc, że łapówka zawsze chłodzi patryotyzm tej rasy: było to jednak już niepodobieństwem. Ani więźniowie nie posiadali środków do wykupienia się, aniby się teraz odważył wójt, gdy był już wyraźny donos od żyda, który tym krokiem usiłował zaskarbić sobie dzisiaj łaskę i przebaczenie dla katorżnika. Żyd zaś dalej już pognał, donosząc o tem do stacyi, która tu była niedaleko na trakcie głównym.

Więźniowie poznali, że już się nie wydobędą.

III.

Pod konwojem chłopów, krwi na poły mongolskiej, skrępowani, ciągnęli więźniowie do traktu głównego, który był tuż niedaleko.

Gdy już doszli do najbliższej z ostrogiem stacyi, kazał oficer komenderujący stanąć im w szeregu, chłopów zaś zluzował kozakami — i dał znak, by przyprowadzono żyda, który przed nimi przybył z donosem „wiernopoddańczym".

Żyd się pojawił, prowadzony przez żandarma, pod którego dotychczas zostawał opieką, lecz drżał na całem ciele, nie chcąc zdybać się oko w oko ze zdradzonymi.

Oficer krótko zapytał go, wskazując na powiązanych: — Ciż sami?

Żyd coraz bardziej blednąc nie mógł słowa wymówić.

Oficer wtedy odezwał się surowszym głosem: — Odpowiadajże, czy to są ci sami?...

Żyd z odwróconą twarzą wyszeptał ciszej: — Woni same.

Wtedy oficer dał zlecenie, żeby ich pozakuwać. Z chłopstwem zaś spisano protokół. Przestępców zawiedziono do stacyjnego więzienia, żyd zaś został osobno pod strażą.

Nieszczęśliwi znaleźli się teraz w lochu ciemnym starej, na pół przegniłej rudery, służącej tutaj za więzienie. Straż z kozaków postawiono z ostro nabitą bronią, a ta ich pilnowała, przechadzając się dokoła ruiny; dwóch zaś ze straży tak samo uzbrojonych stało przed wchodowemi drzwiami.

Na dworze była ciemność — i ciemność w środku więzienia. Więźniowie zbici i strudzeni legli na gołej ziemi, nie zaś, aby spocząć, lecz z powodu, iż nie mogli utrzymać się na nogach. Wszelka odbiegła ich nadzieja ratunku. Do tego dolegały im rany, zadane podczas rozpaczliwego szamotania się z chłopstwem.

Zrazu nie odzywali się do siebie, pogrążeni w posępnem milczeniu. Potem odezwał się Nestorów:

— Zdychał z głodu i wycieńczenia... myśmy go podnieśli... ogrzali skorpiona... Kto to wiedział, co on za jeden, i jakie ta bestya miała zamiary!...

— Zamiarów on żadnych nie miał wtedy — dodał Czernyszew — a my nie mamy sobie do wyrzucenia... Czyż bo mieliśmy kopnąć psa, kiedy zdychał?... Każdy przecie na miejscu naszem to samo byłby uczynił. Lecz w tem zbłądziliśmy, żeśmy żydowi zawierzyli, iż zechce trudy z nami ponosić. Póki myślał, że go łatwo wyprowadzim z sobą za granicę, a może damy mu jeszcze następnie pomoc i zarobek dla kieszeni jego — trzymał z nami; widząc zaś, że z nami nie zabawa, jeno trudy dalsze czekają — poszedł i nas zdradził...

Rozmowy te przerywały odzywające się jęki w skutek ran świeżych, jeszcze nie zagojonych.

Po chwili zagadnął znów inny z więźniów Czernyszewa:

— Mówisz, żeśmy nie mogli uczynić inaczej, nadybawszy zdychającego z głodu... ale kto to zdychał?... Czy może Rosyanin? ano choćby Mongoł albo Jakut?... To zdychał żyd.

— Żyd, nie kto inny — odezwało się parę głosów.

Tamten zaś dodał: — A nie znaliśmy żydów?... Czem oni u nas żyją?... Lichwą i szacherką, wysysając krew z warstw pracujących...

— Ale to nie był nasz żyd — odparł inny — to był jakiś polski żyd... A czyśmy takich znali?...

— Widać zatem — odezwał się Nestorów — że i Polaki nie lepszych mają żydów od naszych... Wszak ich tu niemało zdybuje się na Sybirze po katorgach, a i na „posieleniu", ale z nich tutaj żaden nie przybył za polityczne... Te polskie żydy, to jeszcze gorsze od naszych...

Teraz musieli przerwać, gdyż się zarysowała w kratach okienka głowa zaglądającej do środka straży, usiłującej zobaczyć, co więźniowie robią.

Gdy głowa strażnika znikła, odezwał się Czernyszew:

— Jakie tam owe polskie żydy — jać ich nie znam... a z tych, co widziałem, nie mogę mieć lepszego wyobrażenia. Atoli nie zapominać nam, że i między naszymi spiskowcami byli również i żydzi z poświęceniem, cierpiący za „Sprawę"...

— Tak... to prawda — dodał Nestorów. — Ale to... byli już... Rosyanie, patryoci, choć rodzili się w mojżeszowem wyznaniu... Zresztą rasa i religia u nich nie szła w rachubę.

Po chwili nastała cisza, tylko kroki odmierzone straży dochodziły ze dworu... Więźniowie próbowali usnąć, lecz rany im nie dawały, ani myśli posępne tłoczące się do mózgu.

Po daremnem usiłowaniu zaśnięcia odezwał się znów Nestorów do Czernyszewa:

— Boję się myśleć, co dziś będzie z nami...

— Co będzie dziś z nami? — odrzekł Czernyszew. — Cierpieć będziemy... I musimy się na to uzbroić...

Cichy ten szept usłyszawszy inny, który nie mógł zasnąć, odezwał się do nich:

— Ale... oni nas dziś... katować będą?...

— Przygotujmy się, bracia — rzekł Czernyszew — na największe katusze... My teraz wracamy do niego, który nam pewnie nie daruje...

Choć ciszej były wymówione słowa Czernyszewa, mimo to dosłyszeli inni, którzy w tej chwili podnieśli się.

Nestorów zaś rzekł: — O! nie wspominaj jego!... Ja coś przeczuwam, że to straszny człowiek... a wytrwałość ma kocią...

— A! ja nie chcę doczekać tego — wyszeptał inny z trwogą. — Jabym wolał, żeby oni z nami tutaj skończyli... Człowiek raz umiera.

— Lecz nam nie jest przeznaczono, bracia moi — rzekł Czernyszew — umierać w spokoju, po przebytych w szczęściu dniach, jako drugim... My nie mamy tu rodziny, w pośród której innym umierać wolno, żałowanym i opłakiwanym... My podnieśli sztandar walki ze siłą, straszną, posiadającą środki, których ona nie przebiera. To wiedzieliśmy, i mimo tego nikt z nas się nie cofnął. Pokażmy teraz, że wytrwamy... Oni nas mogą zgnieść, lecz nie mogą upodlić, jak tego żyda, albo te hordy tunguskie i jakuckie... Jeżeli my teraz wytrwamy, i damy się zamęczyć, a nie sprzeniewierzymy się naszej idei — będziem mieli po sobie następców — a jeśli i oni upadną, nastąpią po nich nowi — dopóki ojczyzna nasza nie wejdzie na inne tory. To nasz cel — to nasze dziś zadanie!... Jeżelibyśmy zaś teraz nie wytrwali, i upadli na

duchu, stalibyśmy się podobnymi tamtym, których rząd ma jako swoich lojalnych poddanych, a właściwie niewolników przemocy brutalnej. Kraj nasz owładnie wtedy zgnilizna — a dzieje wówczas naród nasz potępią, i wliczą tam, gdzie wliczyły hordy Atylli i Czingischana.

Tak mówił Czernyszew w tej głuchej nocy — a wtedy zdawało się słuchającym, że ich rany już nie bolą i okowy teraz nie cisną.

Gdy się noc ta skończyła i nastał ranek — wywieziono ich wszystkich pod silną eskortą mocniej uzbrojonych kozaków. Dwa wozy jechały z nimi — na każdym z wozów było po dwóch żandarmów z ostro nabitą bronią. Osobno jechał żyd, bez żelaza na rękach, lecz również obok żandarma.

IV.

Trzy dni trwała droga — czwartego stanęli w katordze, do której należeli.

Komendant katorgi, skoro zobaczył konwój ze zbiegami swoimi — zadrżał z radości, gotując się do kary i zemsty.

Dotychczas mógł on wywrzeć złość swoją na tych tylko więźniach, co wtedy nie zdołali już zdążyć za tamtymi, których już ręka jego nie mogła dosięgnąć. Tylko owi zatem dwaj, co następnej nocy po ucieczce Czernyszewa, spuszczając się przez palisady, spadli na ziemię z łoskotem, i zbudzili szyldwacha, który zaalarmował za-

łogę — ci tylko nieszczęśliwi popadli wówczas w jego ręce. Na nich mógł on wtedy wywrzeć całą złość swą i mściwość dawniej ukrywaną — jak i na innych, których podejrzywał, iż należeli także do spisku. Chorym jeszcze będąc, podniósł się z łóżka swego, i zabrał się z całem zamiłowaniem do śledztwa, usiłując wykryć winnych i niewinnych w tej sprawie. Na wszystkie zaś strony rozesłał wówczas sztafety — i puścił czemprędzej w ruch druty telegraficzne po główniejszych traktach. Prócz tego czyniono dokoła obławy po lasach, moczarach, po różnych osadach. Lecz daremnie! Komendant wściekał się ze złości. Zatrwożony bowiem niełaską rządu, a czyniąc zadość mściwości swej wrodzonej, mścił się na podwładnych, winnych zaniedbania obowiązków, degradując jednych, innym dając dymisyę, kozaków zaś kazał ćwiczyć do krwi. Przerazili się jedni i drudzy, co dawniej zawsze słyszeli z ust jego, iż on „napomina tylko po ojcowsku". Póki karał wtedy i katował, czuł w sobie krew i życie, — lecz potem, nie mogąc już doczekać się przystawienia zbiegów, sposępniał, straciwszy wiarę w siebie — i ledwo co nie zapadł w nową chorobę. Zdawało mu się, że się już pożegna z łaską carską i nasyceniem zemsty swojej.

Aż tu naraz dostaje ich w swoje ręce. Uwierzył teraz na prawdę, iż nad caratem, jak i nad nim, wyższe czuwają potęgi, gdy znalazł się dziś obrońca „prawowitej" władzy, w osobie — katorżnika-żyda. Za to zwolnią go z katorgi — a w nagrodę jego patryotyzmu pozwolą mu żyć na wolnej stopie, a może i handel jeszcze rozpocząć na ziemi, którą zdobywa się dla nowej kultury.

Komendant zabrał się zatem do śledztwa. Nie widział już nawet potrzeby występowania w masce ojca

i opiekuna, jako niegdyś, nie potrzebował przymuszać się do ukrywania wrodzonego usposobienia. Prowadzić dziś będzie śledztwo, żeby ono już samo było dla nich karą i zapłatą za winy.

Rozpoczął więc indagacyę. Nie mogąc zaś wydobyć ze zeznań nowych winnych, których jeszcze nie odkryto, i nowych jakich nieznanych mu okoliczności — kazał zbiegów zamknąć każdego z osobna, w ciemnych, dyszących pleśnią i wilgocią lochach. A wytrzymawszy ich tam dwa dni, przywołał znowu do indagacyi.

Atoli od nich niczego nie dowiedział się innego, jak tylko to, co sam wiedział i czego mógł się domyślić. Opowiedzieli mu swoją po wykonanej ucieczce drogę i swoje przygody.

Ale nie to chciał on wiedzieć: on usiłował usłyszeć tu o nowych winowajcach, albo i o takich, których już karał, lecz według jego zdania nie dość jeszcze ukarał. Każde nowe zeznanie i nowa jaka okoliczność mogła tu okazać potrzebę dołożenia jeszcze do kary dawniejszej.

Zbiegi zaś winili siebie — ale nie drugich. Komendant kazał ich zatem zaprowadzić do tych samych lochów, ciemnych, dyszących pleśnią, lecz ich teraz dał przykuć do zimnej, wilgotnej ściany. Więźniowie mieli ręce rozkrzyżowane, przymocowane pierścieniem żelaznym do ściany — i w takiej pozycyi musieli teraz pozostać.

Kiedy już tak parę godzin zostawali, w pozycyi, w której trętwiały im ręce i nogi, a ciało całe z zimna ściany wilgotnej dygotało: kazał się wówczas komendant sam do nich prowadzić, a przyglądając z na pół ukrytem szyderstwem, pytał się każdego z osobna, czy mu teraz wygodnie, i czy jeszcze zechce ukrywać winę drugich.

Obszedł tak wszystkich, nie natrafiwszy nigdzie na nic innego, jak tylko na wzgardliwe milczenie. Wtedy nic dalej nie powiedział, tylko ich jeszcze w tej pozycyi pozostawił.

Przykuci cierpieli okropne męki. Ręce im trętwiały — w kościach łamało — jedni zgrzytali z bolu, inni mieli zęby zaciśnięte. Nareszcie zaczęło ich owładać pewne obezwładnienie.

Takiej oddawał próbie Rosyanin synów tej samej Rosyi jego pieczy oddanych.

V.

Na drugi dzień posłał do nich ludzi swych, aby się każdego z osobna spytali, czyli ma już teraz dosyć, i czy zechce jeszcze trwać w uporze ukrywania wszelkich okoliczności przed władzą prawowitą.

Gdy mu zaś doniesiono, że większa ich część tak jest obezsiloną, a członki im strętwiały, że już zdają się prawie nie czuć bolów, gdyż nie mają żadnej siły: wtedy kazał dwóch z nich rozkuć od ściany, aby nazad przyszli do stanu, w którym będą mogli uczuć to, co on im dziś gotuje. A musi wykryć wszystko... Boć i inni byli tam na pewne w zmowie, których dotychczas ręka jego nie dosięgła, tak samo z więźniów, jak i ze służby. Czy on się czego tu jeszcze wykryć spodziewał, czy może tylko udawał, ażeby mieć sposobność torturowania tych, którzy

go podeszli i na niełaskę carską narazili? Na takich zbrodniarzy w śledztwie już samem chciał mieć karę i zemstę.

Czernyszew trzymał zęby zacięte — siłą jednak woli wytrzymywał katusze; Nestorów zaś, jako słabszy na ciele i wrażliwszy, zaczął już majaczyć, tak samo, jak i dwaj inni: przeraził się teraz sędzia, poznawszy, że niektórzy już z nich popadli w gorączkę febryczną i niemałą chorobę. Jeśli teraz pomrą — ha! to co on wydobędzie z nieżywych? a kto nawet odgadnie, jak to weźmie wyższa jego władza!... Kazał zatem wszystkich porozkuwać.

Dał im teraz niejaką folgę, ażeby przyszli do sił, bo inaczej nie uczują dalszych tortur.

Czekał zatem czas niejaki. Nestorowa i dwóch innych kazał zanieść do osobnej celi i położyć na tapczanie, gdzie mogli majaczyć w gorączce, a jeśli zechcą — to niech sobie i wyzdrowieją; Czernyszewa zaś i tych, co nie wpadli jeszcze w chorobę, wołał do śledztwa. Tu próbował spuścić z surowego tonu, i przybrał na chwilę maskę lisią, żałując ich i wystawiając, że on ich zabijać wcale nie myśli. Niech tylko powiedzą, co im wiadomo, szczerze i otwarcie, jemu, jakby ich ojcu: wtedy on wszystko uczyni, ażeby wyrok dla nich wypadł jak najłaskawszy. Lecz więźniowie dobrze już go poznali. Wtedy groził, że jak za czasów niegdyś „nezabuwiennego“ cara Mikołaja czynili jego poprzednicy, tak i on użyje pałek, które się będą liczyły nie na setki jedynie... Po takich zaś pałkach żywym się nie wstaje.

Ale tu zdybał się jeno z szyderstwem Czernyszewa, który mu wprost odpowiedział, że to wcale ich nie straszy, bo każdy z nich woli raz umrzeć, niżeli konać latami.

Wtedy popatrzył na Czernyszewa takiem okiem, jak gdyby chciał go przerazić wzrokiem swym usiłując wyssać z więźnia wszelką moc duszy i odwagę — i trzymał długo wzrok swój blady, w tej chwili mający w sobie coś na prawdę wężowego — siląc się tem obezwładnić więźnia i niejako zmagnetyzować: lecz po niejakim czasie uczuł, że sam teraz wzrok swój odwrócić musi od wzroku człowieka, który zdawał się mówić: „Podły sługo i kacie, co sam nie wytrzymasz wzroku człowieka cierpiącego dziś za nieznaną tobie ideję!"

Sędzia puścił więźnia — i został sam ze sobą. Teraz mu się zdało, że się sam przed sobą rumieni... I objął go gniew na siebie samego, że on, komendant katorgi, ludziom tym nie może dać rady, chcąc ich przerazić i cisnąć sobie pod nogi.

Przemyśliwając nad różnymi dziś sposoby — czuł jeno osłabienie pewne i bole w mózgu swym, nie mogąc tutaj znaleźć wyjścia. Ustawał i wzdychał — westchnienia zaś naczelnika żandarmów były teraz ciężkie, jakby czuł, że nie sprosta zadaniu i położonemu w nim zaufaniu. Chciałoby mu się teraz płakać nad samym sobą. Zdało mu się w tej chwili, iż to serce jeszcze jego i pewna jakaś z przyzwyczajenia miękkość jest tutaj przyczyną, że nie dochodzi dziś do celu.

Katowanie pałkami a pletnią? — myślał teraz — Ono za krótko działa... sprawia ból przez te krótkie tylko chwile... Dłużej bić nie można, bo zabije, zabity zaś bolu już nie uczuje. Tu należy inne wymyślić katusze, dłużej trwające. Chwilę przystanął — i myśl w nim nowa wypłynęła. Bo człowiek, to źwierzę — tak sądził — ma zawsze instynkta grube, a bole, które więcej nam

dokuczają, te są raczej zwierzęcej natury. A tem będzie — głód. Głód ten i pragnienie — pali wnętrzności. Słyszał przecież, iż skazani na śmierć głodową gryźli własne ciało, a na drugich rzucali się, jak drapieżne zwierzęta: byliby gryźli i własnych rodziców.

Ha! on ma już!... I zacierał ręce, postanowiwszy teraz spróbować, czy bohaterowie owi wytrzymają harpiję głodu we wnętrznościach swoich — czyli im się zechce cierpieć wtedy za nic, to jest, za — ideję.

Jak postanowił — tak zaczął zaraz wykonywać.

On musi dójść do tego, co zamierza: a choćby mu nie szło o wykrycie nowego, czego tu może już i niema, toć zawsze idzie mu dziś o to, aby postawił na swojem, i przykładnie pokarał. A wtedy na przyszłość zostanie w katordze swojej już bezpiecznym.

Kazał ich zatem zamknąć w jedno miejsce wszystkich razem — i pozostawić harpii głodu.

Dzień jeden, drugi, wytrzymali więźniowie, na wszystko obojętni. Wiedzieli, że cierpieć muszą, i że cierpienia a katusze tutaj ich udziałem: oni bowiem są w katordze, pod rządem i samowolą carskiego czynownika.

Trzeciego dnia czuli już niektórzy z nich znaczne osłabienie. Czernyszew wpływał, jak mógł, ażeby towarzysze wytrwali, a nie splamili się fałszywem jakiem zeznaniem, jakiego właśnie wymagać zdawał się komendant. To, co oni dziś cierpią, jest ofiarą za „Sprawę".

Ten i ów czuł już okropne cierpienia.

Wtedy przyszedł sędzia z zapytaniem, czy teraz już poczynią zeznania?... Więźniowie nic nie odpowiedzieli.

Postanowił zatem jeszcze wytrwać.

Aby zaś nie skończyli w tym stanie, rozkazał zanieść im mały posiłek, a potem znów czekać. Lecz oni odepchnęli to ze wzgardą.

I było z nimi coraz gorzej. Twarz u tego to owego wykrzywiła się — skóra pozieleniała — oczy zaś w głąb zapadły.

Niektórzy z nich nie mogli już wcale wytrzymać. Byli w tym stanie, że ledwo nie gryźli już rąk własnych. A tu słudzy sędziego wzywali ich do śledztwa i do zdrady. Szarpało ich w wnętrznościach — czuli straszne męki.

Nestorów wpadł już w obłęd — cichy — łagodny — chwilami szeptał coś, jakby układał artykuły do czasopism, to próbował jakby rytm jaki, wiersze układając, czasem znów zapadał w głuchą zadumę, na wszystko, co się koło niego działo, nieczuły.

Wtedy Czernyszew ściągał ręce w zwątpieniu — i zdało mu się, że już sam wszelką traci siłę.

Po niejakim czasie komendant dowiedział się, że oni już posiłku nie pragną żadnego — zupełnie na to obojętni. W pierwszych dniach uczuwali jeszcze harpiję głodu — teraz zaś większa ich część już nie czuje. Oprócz Nestorowa dwóch z nich również popadło w stan jemu podobny.

Sędzia zaczął się trwożyć, i nie wiedział, co teraz począć.

Nareszcie usłyszał, iż jeden z więźniów, nie mogąc już dłużej wytrzymać, podarł na sobie odzienie, a skręciwszy sznur, obwiesił się w nocy, drugi zaś usiłował się zabić bijąc z natężeniem o mur głową, tak, że ledwie go zatrzymał przerażony zamiarem towarzysza Czernyszew. Nestorów zostawał już w takim stanie, że chwilami nie

wiedział, co się koło niego dzieje. Dwóch zaś innych napadł szał dziki.

Wtedy komendant, przerażony uporem więźniów a lękając się skutków, kazał oświadczyć, że już daje pokój śledztwu i poprzestaje na karze, jaką mieli dotychczas.

Czernyszew i ci z więźniów, co jeszcze zachowali przytomność, nie myśleli wierzyć słowom komendanta, lecz litując się nad stanem tych z towarzyszy, co popadli w stan okropny, przyjęli oświadczenie.

I nastała chwila, jak gdyby rozejmu i wyczekiwania.

Komendant nie dawał żadnych rozkazów. Czekał i milczał. I czekała służba jego.

Niektórzy z więźniów zaczęli powoli nieco do siebie przychodzić, lecz nie pokazywało na to, aby oni wrócili do zdrowia. Nestorów był już w stanie zupełnej nieświadomości, a ci, co popadli w szał, okropny dziś przedstawiali widok. Dwaj zaś inni, którzy byli blizkimi obłąkania, popadli już nawet w obłęd jakiś dziwnego rodzaju.

Czernyszew był teraz milczący, a pozierając na druha swego, który niegdyś inne rokował nadzieje, a dziś popadł w stan gorszy od śmierci, odwracał oczy i patrzał ku ziemi.

Po niejakim zaś czasie pokazało się po środkach, jakie przedsiębrał komendant, że on wcale jeszcze zmienić postępowania swego nie myśli. Czernyszew nie widział tu wyjścia dla nikogo z nich żadnego, a tylko coraz większe dla towarzyszy niedoli niebezpieczeństwo. Człowiek ten, który został dziś ich sędzią i katem, z wytrwałością straszną, kocią, dąży do tego, by zabić u pozostałych jeszcze przy zmysłach ducha dzisiaj, i spodlić nareszcie rzuciwszy ich sobie pod nogi.

Czernyszew nic nie mówił, lecz widocznie coś w sobie ważył i zdawał się rozglądać nieznacznie. Aż gdy razu pewnego idąc w nocy korytarzem spostrzegł żołnierza, który zasnął z unużenia, wtedy nieznacznie wyciągnął mu z karabinka bagnet.

Nazajutrz rano oglądał się za tą zgubą przestraszony żołnierz, lecz bojąc się kary, zataił to zrazu, rozpytując się tylko o zgubę swoją ostrożnie. Ale o tym wypadku nie rozniosło się dalej dnia tego.

Właśnie był to dzień, w którym zwołał komendant wszystkich więźniów przed swój dom — a stanąwszy przed nimi na dworze ogłosił im nowe swoje zarządzenia, dodawszy, iż po tej drodze będzie kroczył dalej, póki ich tam nie zawiedzie, dokąd zamierza: bo oni dziś jako wyjęci z pod prawa przestali być dla niego ludźmi, a zostali tylko — rzeczą.

Najodważniejsi nawet pobledli, nie wiedząc, do czego człowiek ten dalej zmierza. Po minie zaś jego poznali, iż on nie darmo zapowiada: człowiek to straszny, jakby się nie rodził z kobiety.

Przytomni nawet żandarmi, dozorcy katorgi i różni wychowańcy policyi, stali potrwożeni, a oblicza ich zdały się mówić, że już za ciężka dla nich dziś ta służba.

Gdy zatem wszystko było niepewne, co dalej nastąpi — a komendant wydał już rozkazy, żeby na początek tego obłąkanych zakuwać razem ze zdrowymi: wtedy w jednej chwili, krótkiej, błyskawicznej, przyskoczył Czernyszew, i zanim się oglądnięto, wbił mu bagnet pod żebra.

Komendant padł bełkocąc jeszcze słowa niezrozumiałe i bijąc o powietrze rękami.

Przytomni struchleli. Powstało zamieszanie.

Z niechęcią próbowano ratować i cucić komendanta: lecz on już nie żył.

Podwładni i policya byli przerażeni.

A gdy odprowadzono Czernyszewa, wołał on jeszcze do towarzyszy niedoli: — Żegnajcie bracia!... Wytrwać wam, a nie splamić się nigdy!... Wtedy będziecie mieli następców...

Zamknięto go w osobnej celi.

Niebawem nadjechała telegramem przywołana komisya z gubernialnego miasta.

Czyn Czernyszewa nie potrzebował wielu dowodów. On nie wypierał się zamiaru, z którym nosił się już od dłuższego czasu, ażeby więźniów uwolnić. Pośrednio przez to uwolnił i służbę carską, skazaną na wypełnianie okropnych postanowień tego kata i dręczyciela.

Ze śledztwa obecnego pokazały się czynności i środki, jakich używał zamordowany tyran. Nawet i najsurowszych sędziów, przyzwyczajonych do torturowania ludzi, przerażały nadużycia jego w katowaniu powierzonych mu więźniów. Sędziowie nowi zatrwożyli się sami, a choć wyroki wypadną na więźniów surowe, jednak musiano teraz zmienić sposób z nimi postępowania.

Ze stolicy nadszedł następnie wyrok na zbiegłych opiewający — na dłuższe lata katorgi.

Czernyszew zaś został rozstrzelany.

RODZINA PARYASÓW

obraz na tle czasów Mikołaja I.

BIBLIOTEKA
URZĘDN. TOW. WZAJ. UB. w KRAKOWIE
SEKCYA IV.

I.

— Tam... w Polszczy... było człowiekowi inaczej... Czy to był pan, czy chłop... oni zawżdy jakieś insze ludzie... nu, dawali żyć drugiemu... A tutaj?...

— Ach, ty Nuchim — odezwała się żona — nie wspominaj tego, bo mnie serce boli...

— Ale bo tam człowiek — ciągnął mąż dalej — mógł jakoś wyżyć... a tutaj handluj z *russkim* człowiekiem, swarz się z Buryatami... nu, to mędrsze, niżeli żyd... Słyszał kto kiedy dawniej, żeby taki goim, jak te dziś pogany buryackie, człowieka mógł oszukać?...

— Nu, co robić? — mruknęła Sara westchnąwszy. — Dziękować Bogu i za to, że ciebie raz przecie wypuścili... taj zarabiać nam dziś dają...

— A wypuścili! — mruknął Nuchim. — Nu, ta za co mnie oni aż tu zagnali?... Co ja im zrobił?... Może ja kradł, nu, może rozbijał?... Ja sobie handlował, ot, jak żyd, taj przeprowadzał mój towar; bo to był towar mój... Nu, za co ja miał płacić?... Ja żyć musiał,

jak i *russki* człowiek... a oni zaraz — kontraband!... Nu, za co to kontraband?... Czy może Nuchim *zasidjatel*, czy on *isprawnik*, żeby mu dawali *dziengi*?...*) On sobie handlował... Nu, co to!... Tak handluje przecie każdy, ta i w Sybirze?... Czy russki kupiec, nu, żeby jaki bogacz, nie ciągnie zysków z kontrabandy?... Nu, bogacz... to on zapłaci carskie *urjadniki*... ale Nuchim, czem taki, jak on miał płacić?... On żyć także musiał...

— Ej, daj spokój, Nuchim — przerwała żona. — Jakoś to będzie... I tu nas Bóg nie opuści... A może się doczekamy, że powrócim do naszego kraju... Aj, tam w Polszczy insze ludzie!...

— A! powrócim, powrócim — rzekł mąż — a z czem Nuchim dziś powróci?... Ano jak przejdzie, nu, tysiąc tych wiorst, dwa tysiące, trzy... a czy człowiek wie, ile tam tego!... Alboż nie pamięta, jak go gnali dzień po dniu, całe miesiące... Aj, aj, a przez jakie to on szedł pustynie!... Czy ty zapomniała?...

Kobieta westchnęła — on zaś ciągnął dalej:

— A czy ja wiem, jakie to były strony?... To bo miejsca zatracone... Ach, co to za kraj!... co to za kraj!... Nu, kto go przejdzie?... Dziesięć razy zdechłby, zanimby przeszedł takie pustynie... Ot, człowiek tu skazany... tak żyć musi — za światem...

Od chwili już gdzieindziej miała natężoną uwagę swoją Sara; usłyszawszy bowiem ruch jakiś, dochodzący z mieściny, podeszła pod małe zabrudzone okienko — a teraz zwróciwszy się do męża szepnęła z obawą:

---

*) *Dziengi* — pieniądze.

— Tam poszedł... jakiś oficer, taj *zasidjatel*... nu, jeszcze jeden podobnoś... taj dwa kozaki za nimi... Po co oni teraz tam chodzą?...

— Oj, może znowu po co niedobrego?... Oni nigdy nie zachodzą darmo. Człowiek nic nie ma, a opłacać się musi.

Mrucząc wychylił się zwolna z izby, aby zobaczyć, coby tam być mogło. Wkrótce powrócił.

Nu, nie wiedzieć, co to ma znaczyć! Człowiek zawsze, kiedy ich widzi, nu, to się bać musi...

Gdy tak oboje gubili się w odgadywaniu, coby pojawienie się carskiego oficera z asystencyą oznaczać mogło — nie potrzebowali długo na to czekać, bo wnet rozległ się gwar i płacz w mieście. Gromady ludzi zaczęły się skupiać. A zanim się Nuchim zdołał kogo zapytać, usłyszał zdala krzyk lamentujących kobiet... i wnet pojawił się ów oficer z *zasidjatelem* i kozakami, którzy wiedli wrzeszczące chłopcy małe.

Żyd zadrżał, bo przeczuwał, coby to być mogło. Patrzyła na niego z obawą przestraszona żona, choć nie wiedziała, coby to znaczyło.

On się domyślił i rzekł do żony:

— To połów na dzieci żydowskie, zrodzone na sybirskiej ziemi.

W mieście pomiędzy żydami nastał lament i rąk załamywanie. Matki biegły, krzyczące w niebogłosy — ojcowie próbowali jeszcze wykupić wydzierane sobie dzieci. Ale tu nikt się nie wyprosi, ani wykupi, bo ukaz carski surowy, bezwzględny, nakazuje wszystkie dzieci płci męzkiej od dwunastego roku zabierać żydom jako własność carską. Wydzierają je też dzisiaj ojcom, matkom — gdyż odtąd pójdą na wychowanie do koszar.

Po chwili odezwała się wylękła Sara do męża:

— Słuchaj, Nuchim, co oni to robią, dokąd oni ich powiodą?

— Dokąd? — mruknął mąż — nu, do koszar swoich.

— A to jak bo, do koszar? Ta przecie nie wezmą je w sałdaty?

— Albo inaczej? — odrzekł mąż. — Nu, oni tam do ich szkoły, nu, do tej żołnierskiej... może do Nerczyńska*), a może i dalej do fortecy jakiej.

— Do fortecy? do szkoły? — zawołała przerażona kobieta — do jakiej szkoły?

— Nu, do takiej, gdzie ich uczyć będą, ażeby żaden już nie był żydem. Nu, on ma zapomnieć, kto go rodził.

— Jakto? — krzyknęła blada. — To oni... może... zechcą potem mieć prawo jakie... Boże wielki!... taj do naszego Dawidka?

I trzęsła się cała.

— Albo inaczej? Tu takie jest carskie prawo.

— Takie prawo? — powtórzyła matka. — Takie prawo być nie może!

— Nu, co z tego, kiedy ono jest! — odrzekł mąż.

— To być nie może, nigdy nie może! — wołała żona. — Dzieci przecie nasze?

— Co z tego, że nasze, kiedy oni nam je zabierają? Oni nie chcą żydów w Sybirze. Tych, co są, to już zabijać nie będą, ale w dzieciach chcą ich wybić.

---

*) Nerczyńsk — miasto ważniejsze i twierdza w zabajkalskiej Syberyi.

— Słuchaj ty, Nuchim, takie jest ich prawo? — wołała drżąca. — Ale jest przecie prawo boskie. Te nam dał zakon. Czy oni nie wiedzą, że my zakonu słuchać mamy? My przecie nie russcy, my starozakonni?

— Nu, właśnie dlatego, że starozakonni — rzekł mąż — oni nas tu nie chcą. Oni naszego zakonu nie słuchają.

— Słuchaj, Nuchim, gdyby oni, jego sługi, tutaj przyszli po moje dziecko... to ja, już nie wiem, coby zrobiła, ja matka.

— Nu, co z tego, że ty matka, a ja ojciec, kiedy oni nas tu nie uważają. Ha! a teraz czy słyszysz, jaki tam lament i harmider... ot, tam w tamtej stronie Czyty *). Ale ja — dodał po chwili stanowczo — syna mego im nie dam. Nu, ja wiedział już, co zrobię. Ty nie będziesz krzyczała, bo oni się twojej groźby nie boją. Oni mają kozaki, a ty jakie masz ludzie? Nu, ale ja już o tem nieraz myślał, ażeby się im nie dać.

— I jak ty to myślał? — zapytała spokojnie Sara.

— Nu, jak? Przecie wiesz, że Nuchim ma dziś jego, jedynego? Nu, czy on ma więcej dzieci?

— Nie wspominaj tamtych! — odrzekła z westchnieniem matka. — Biedactwo pierwej nam pomarło, a to ostatnie, to małe... ach! zagrzebała ziemia tutejsza, nielitośna!

— Ot, widzisz... To ja już tak zrobię, że oni mi jego nie dostaną — odrzekł z naciskiem.

Sara popatrzyła na męża.

---

*) Czyta, — z dawniejszej osady powstające miasto sybirskie za Bajkałem, dziś już gubernialne, w czasach jeszcze opowiadania tego niewielka mieścina.

A w mieście teraz coraz gwałtowniejszy rozlegał się krzyk i lament. Nuchimowie wybiegli. Nazad bowiem wracał oficer z *zasidjatelem* i objeszczykami wiodąc gromadkę chłopców kilkunastoletnich, otoczonych kozactwem, za nimi zaś ciągnął się tłum ojców, matek i krewnych, wołających w niebogłosy.

II.

Z domu żydowskiego wychodził mały, posępny, orszak pogrzebowy. Na przodzie biegł stary żyd podzwaniający raz po raz puszką, a dwóch tragarzy niosło mary zakryte białem w czarne pasy, żałobnem płótnem.

Za marami postępowała lamentująca Sara i mąż jej w szatach na znak smutku rozdartych.

Kto szedł ulicą z Buryatów lub Moskali, ledwo rzuciwszy okiem zaraz odwrócił się z lekceważeniem.

Orszak ten mały, ubogi, kroczył coraz prędzej. Czasami przystanął jaki Buryat gapiący się, lub też kilku stanęło łobuzów russkich, którzy zoczywszy pogrzeb żydowski, zaświstali z rozpusty, mając ochotę dołożyć kamieniem.

Gdy orszak ów zdybał po chwili czynownika w mundurze rządowym, głośniejszy wtedy podniósł lament, czem zwrócić musiał uwagę dygnitarza, który się zapytał dwuznacznie, kogo też tam wynoszą z takim hałasem, jakby tu mieli obwieszczać miastu, że o jednego mniej będzie żyda.

— To nasze jedyne dziecko, Jaśnie pan *prystaw* — odezwał się stękając ojciec — mój Dawid, ach! moje złotko, moje wszystko!

I dwie żydówki wraz z Sarą zawtórowały żałosnym lamentem.

— Umarł? — zapytał czynownik,

— Umarł, Jaśnie panie, nasz dobrodzieju — odpowiedział wzdychający ojciec.

— No, to daj znać potem do *hołowy**) — odpowiedział czynownik — aby go wypisano z regestru, jednego żyda więcej. A nie hałasujcie tak głośno — dodał dwuznacznie — bo całe miasto nie potrzebuje się oddawać żalom, że straciło dziś jednego żyda.

A chłopcy, co się gapili, zaczęli głośniej świstać, jeden zaś z nich cisnął błotem na żydowskie mary.

Nuchim popatrzył na niego, jakby miał ochotę wbić mu paznogcie w gardziel, lecz popatrzywszy na czynownika i na mary swoje, zgryzł to w sobie.

Dopadłszy po chwili okopiska za miastem, na bezdrożu pustem, błotnistem, składającego się z kilku kamieni zczerniałych z hebrajskim napisem, złożyli tam w dole w szary wór zaszytego nieboszczyka.

I sprawili się z tem prędko, z pospiechem, nie wydając już płaczu.

Lecz kiedy wracali do domu przez mieścinę, podnieśli znowu lament rozgłośny, a mieli na sobie szaty rozdarte na znak rozpaczy.

Następnie odbywać mieli w domu rytualne bosyny,

---

*) *Hołowa* — rodzaj wójta w gminie.

i większe, niż zwykle za dzieckiem, bo takie przepisuje zakon po stracie duszy płci męzkiej.

W mieście wiedziano, że syn Nuchimów już nie żyje, a w regestrach urzędowych gminnych wymazano jednę więcej duszę żydowską.

Syn zaś Nuchimów tymczasem ukryty był o kilkadziesiąt wiorst dalej w chacie russkiego mużyka, który za wynagrodzeniem zobowiązał się przechować u siebie syna żydowskiego w ukryciu przed okiem rządu. Gazda ów *russki* za grosz ugodzony obowiązał się chować Dawidka jako swojego, niby krewniaka, pozwoliwszy siebie nazywać nawet wujem żydowskiego dziecka.

Nuchimowie byli radzi, że w taki sposób podeszli rząd carski; bo choć Dawidek miał zaledwie lat dziewięć, jednak za rok, za dwa, a może i prędzej mogłaby *isprawnika* lub *zasidjatela* zebrać ochota wcześniej wziąć ojcu chłopca do koszar — a wtedy lepiejby go pilnowano, gdyż rząd carski, co bierze, nie oddaje. Teraz zaś syn Nuchimów będzie zostawał w dobrem ukryciu, a jak potem postąpią, wskażą im okoliczności.

Mużyk ów przyjął na siebie opiekę obcego dziecka. Dawidek próbował zrazu płakać, gdy się zoczył w obcym domu, gazdyni jednak wcale nie miała ochoty zabawiać się bardzo „nechrestem", dała też chłopcu wnet poznać, że tutaj szlochać nie wolno. Chłopiec sam nie mógł pojąć, dlaczego matka też go takiej oddała niedobrej *ujnie*, która za wszystko groziła prętem, a nawet nazywać mu rzeczy tak nie pozwalała, jak chłopiec przedtem nazywał w żargonie swoim. Chłopiec musiał się uczyć mowy *russkiej* i nazywać wszystko tak, jak ludzie tam nazywają; tylko wiary mu swej *russkiej*

nie narzucano, zostawiwszy własną rodziców, czyli raczej chłopiec wychowywał się bez żadnej wiary: bo i tak na ziemi sybirskiej sprawy religijne mniejszą, niż gdzieindziej, odgrywają rolę. Nuchimowie wiedzieli o tem. Może też i nie byli z tego zupełnie radzi, iż chłopiec zapomni, że jest żydem — ale on nie będzie również i chrześcijaninem; a co się teraz zaniedba, oni potem naprawią, i żyda wrócą żydowstwu. Kto wie, może nawet powrócą potem do kraju swego ojczystego, dokąd i dziecko swe zabiorą — a może i tu w Sybirze tymczasem carskie prawa zmienią się, i dadzą żyć żydom jako żydom... Tymczasem zaś niech chłopiec chowa się w ukryciu.

Owa osada, składająca się z kilkudziesięciu domostw, zdaleka od siebie porozrzucanych, jest nawet jakby za światem porzucona, — i rzadko tam kiedy zagląda czynownik jaki, chyba jeśli zbiera podatek. Buryaty zaś, russcy ludzie i kilku tamże *posieleńców*, zajęci swojem, obojętni będą na to, co się dzieje u sąsiadów,—nie będą przeto wcale podejrzywali nielegalnej istoty w Dawidku. Za światem, w okolicy zapadłej, żydów tutaj prawie nie znają, ani żydowskiej gwary; a choć słyszą inne często słowa od chłopca, nie zrobi to na nikim wrażenia, bo na tej ziemi i tak przeróżne mieszają się gwary, gdy Buryat i Owruczanin i polski posieleniec, każdy z nich innego używa języka.

Po niejakim czasie, kiedy się Nuchim znowu zjawił w chacie „russkiego“ człowieka, aby zobaczyć, co się dzieje z synem, zagadnął go mużyk:

— To wasze chłopię bardzo bo niedobre. Gadaj do niego, a ono swoje. To jakieś dyabelskie nasienie.

— Et, co wy gadacie! — mruknął ojciec zaniepokojony.

— At, tylko tyle, że ja go nie chcę. Na co mi jego! Baba mnie gryzie, po co ja się nabawił kłopotu z cudzem dzieckiem, żeby mi jeszcze biedy jakiej sprowadziło?

— Nu, na co ma wam biedę sprowadzać? — rzekł Nuchim.

— No, na co? Bo to nie moje, ani mojej baby. Ludzie tylko będą-ci palcem wytykali, co ja za biedę w domu chowam!

— Nu, jaką biedę?... I kto ma palcem wytykać? Potem dodał żyd z obawą:

— Może już kto wam co mówił?... Ej, może oni co wiedzą?

— Pewnie, że wiedzą — odparł mużyk. — Czemuby nie mieli wiedzieć?... Popatrz na niego i na mnie, ta na nią... Czy on może być z naszych?... Co? mojego brata, albo może siostry, ta już jej krewniaczki?

— Aj! i wyście już co mówili? Oni dali wam do poznania? — rzekł rodzic zatrwożony.

— Na co mnie mówić? Taj na co tu wiele poznania? Czy ludzie ślepi?

I wpatrzył się bystro w żyda, a ten rzekł zafrasowany:

— To oni już wiedzą?... I co ja mam robić nieszczęśliwy? Jak ja mam go teraz zabierać, ano dokąd?

„Russki“ człowiek dłużej wytrzymał ojca, potem dodał od niechcenia:

— Wszak-ci wiecie, że człowieka tylko na biedę narażacie. Bo jeśliby się dowiedział o tem *zasidjatel*, albo bodaj inny jaki, w takim razie, aż strach pomyśleć,

coby się stało. No, ale mnie bo i was żal. Bo co wy macie robić z waszą biedą! Wam wiele grozi. Ale bo i mnie grozi i mojej babie za to, co tu u siebie przechowujemy. Człowiek *chrystjanyn*, taj ma litość, chowa za darmo, a tu jego za to wsadzą jeszcze do *tjurmy*.

— Nu, dlaczego za darmo? — odezwał się Nuchim, spojrzawszy przenikliwiej na „russkiego“ człowieka. — Wszak ja od was nie chciał za darmo? Nu, ja płacę.

— Ot, co ta wasza zapłata! — odparł mużyk. — Plunąć na to! Czy bo to zysk jaki? On mnie sam więcej kosztuje, i do tego zgryzoty. Skąd my przychodzimy, żeby wam za darmo chować chłopca?

Nuchim domyślił się, do czego zdąża „russki“ człowiek. Zrobiwszy przeto minę obojętną, dodał po chwili:

— Nu, skoro nie chcecie, ja was nie mogę przymuszać. Wolna wola! Nu, to ja się postaram o kogo innego.

— No, próbujcie i zabierajcie go sobie! Nam teraz tylko — dodał spokojnie gazda — zapłacicie za nasze koszta i za nasze zgryzoty... dwadzieścia rubelków. — Ostatnie słowa dołożył cienkim głosem.

— Nu, co to jest? Jakie dwadzieścia rubelków? — odmruknął żyd.

I byłoby przyszło do głośniejszej kłótni, lecz gdy już chciał ojciec syna zabierać, przystawszy na połowę sumy, której się nie należało, odezwał się z większą łagodnością „russki“ człowiek:

— Ot, widzicie? Na co nam się swarzyć i obrażać *Gaspadina Boha!* Wy biedny, i ja biedny. Bo co wy z waszą biedą zrobicie? U mnie on jakby pod ziemią, taj nikt nie wie nic. Ale gdyby ja go wygnał ho! ho!

jużby był w rękach, no, *hołowy*, pisarza, ano i *isprawnika* — a wyby na mnie płakali. No, człowiek przecie *chrystjanyn*, taj ma litość z drugim. Mnie was żal. Ale wy nie możecie żądać, żeby ja go wam za darmo hodował, taj jeszcze siebie na niejedno narażał.

Rozpoczęły się też targi na nowo. Nuchim poznał, że w Sybirze lepszy nawet mają spryt w tym fachu, niż sami jego współwyznawcy na polskiej ziemi. Przyparty na dobre ojciec musiał na niejedno przystać.

Pożegnali się, „russki" człowiek poruczył odchodzącego opiece *Gaspadina Boha* — i ojciec odjechał zafrasowany o syna i o zasoby swoje, które przychodzi mu oddawać w ręce russkiego gazdy.

Po dłuższym czasie zaniepokojony ojciec znowu musiał zaglądnąć, co się dzieje z synem jego. Tym razem przybył on z żoną, która chciała koniecznie widzieć swoje dziecko.

Była też bardzo czuła scena, matka nie mogła oderwać się od syna.

„Russki" człowiek patrzał na to kiwając głową ze współczuciem, rozwodząc się nad ich niedolą i ich miłością ku temu robaczkowi.

A gdy mieli już odjeżdżać, pokazało się, że wypada im za tę czułą scenę zapłacić kieszenią. „Russki" człowiek wcale nie myślał ich na sucho wypuścić.

I były swary i płacze matki — a gniew i narzekanie ojca. Nuchim tym razem na tem zakończył, że się niby zgadza na żądania podniesione gazdy, nie chcąc robić hałasu. Spokojnie też odjechali.

Atoli wkrótce potem sam przyjechał bez żony, i odezwał się do mużyka:

— Nu, ja widział, że wy macie wielki z nim kłopot. Ja też wam dziękuję, za wasze staranie. Ale ja nie chcę waszego kłopotu... nu, waszej zgryzoty.

„Russki" człowiek wypatrzył się na żyda. Ten zaś dalej ciągnął:

— Nu, ja wiem, że wy macie z nim kłopot, to ja dziś przyjechał, taj go zabiorę. Ja już się ułożył inaczej... Co ja mam robić!... Nu, ja go sam dziś oddaję.

— A to gdzie go oddajecie? — zagadnął mużyk zmrużywszy nieco oczki swoje.

— Nu, gdzie? — mruknął żyd. — Ja się inaczej rozmyślił, bo kiedy on miał iść na saldata carskiego, nu, to naj idzie. Może jemu w carskiej służbie będzie lepiej, niż u ojca w handlu, taj kto wie? Ot, i nie będzie nas kosztował. Tam mu dadzą wszystko za darmo. Nu, nie prawdaż?

Mużyk patrzył się na żyda, potem dodał:

— Już to, co prawda, to prawda. Bardzo to wiele z żydów ma car nasz batjuszka wojaków. No, będzie on wam rad i wy jemu!

— Nu, czemu nie? — odmruknął żyd. — Albo to z niego, kiedy wyrośnie, nie będzie saldat, jako drugi.

„Russki" człowiek patrzał dłuższą chwilę na żyda, zrobiwszy minę, która nie bardzo podobała się Nuchimowi, nareszcie dodał:

— Macie racyę, i dobrze zrobicie, boć mnie i siebie wybawicie z kłopotu. Już bo się niejeden nawet dopytywał, co ja tu chowam u siebie, ano czyje to, a człowiek musiał kłamać. No, ale teraz sam powiem, co to było za jedno, i że my obaj z ojcem nie chcąc cara

naszego batjuszkę oszukiwać, oddajemy go dziś carowi, tam, dokąd on należy. No, już nie będzie żadnego kłopotu.

— Co?... Wybyście to powiedzieli? — zawołał zatrwożony rodzic. — Nu, sami przecie wiecie, że wy już dotychczas stali się winnym. Taże wy go ukrywali zawsze? Nu, czy może nie ukrywali? I poszłoby wam na sucho? Nu, a ktoby wam za to gadanie wasze potem zapłacił? Ta gadajcie, co chcecie, a poszlibyście „w szary chałat". Jaby zaś nie poszedł, bo ja sam carowi oddaję żołnierza, a ja żyd, ale wy, „russki" człowiek... nu, i wy oszukiwali waszego cara?

— Nie bójcie się o mnie, litośny człowieku — odmruknął gazda. Już to ja sam dam sobie radę. Znam-ci przecie „swoich", tać wiem, jak zajść do *isprawnika*... no, choćby i dalej. Będzieć mnie może i kosztowało, gdyby miało co złego wypaść, ale was, mój dobry człowiecze, głębiej zasadzą, a waszego chłopca, ta już na prawdę dacie do półku.

— Nu, ta jak ono nie na prawdę? — odezwał się Nuchim.

„Russki" człowiek wytrzymał żyda dłuższą chwilę patrząc takim wzrokiem, jakby się chciał napaść niepewnością ojca. Potem dodał zmienionym głosem:

— I wy myślicie, *jewrejski* człowieku, że tak łatwo uda wam się podejść „russkiego"? A on wam zaraz uwierzy?... Albo może oni wam uwierzą, że wy, żyd, oddajecie carowi swego żyda na saldata? A gdzie to one żydy, które sami przynoszą carowi swoje dzieci?... Ot! nie breszcie! Bo-ci ja tego nie słucham. Ano wiem tu, o co wam chodzi. Wam to u mnie za drogo, taj już znaleźliście gdzieś drugiego, taj może gdzie w dalekiem

mieście? Ale co mnie do tego? Zabierajcie go sobie. Ja-ci płakać za nim nie będę, ani moja baba. Żeby tylko za czem! No, ale ja wam dziś nie ręczę, czy się ono ukryje.

— Nu, ale wy przecie nie powiecie? — rzekł zatrwożony ojciec.

— Czy ja powiem, czy nie — wycedził z naciskiem „russki" człowiek — to już do mnie należy. No, ja mam was bronić? Albo wy mój brat, albo może swat?... Albo ja wam przysięgał za waszego pokrakę? A czy to *chrystjańskoje nasinie?*

Ojciec się przeraził zawoławszy:

— To wyby mnie zdradzili? Nu, wtedy i siebie. Ale, za coby wy tu zdradzali? — dodał chytrze.

— To już moja rzecz, nie wasza — odmruknął spokojnie mużyk.

— Ej! wy mnie straszycie. Wam tego nie zrobić. — Potem dodał gwałtowniej: — Wy tego zrobić nie możecie?

— Dlaczego? — rzekł chłodno mużyk.

— Bo toby dopiero był dla was zarobek? — odrzekł zreflektowawszy się żyd. — Nu, *tjurma*, chata Iwanowa. A ja was poznał, że wy bez zarobku dla siebie nic nie zrobicie.

— Wy macie wasz rachunek, a ja mam mój rachunek — dodał spokojnie „russki" człowiek. — Bo czy wam tego nie wiedzieć? Jeśli ja nie powiem, to powie drugi, ano wtedy, co was czeka?... Bo czy wy tu po woli przybyli w sybirską ziemię?... Ano widzicie. To-ci was już „karanego" osądzą w katorgę. Taj może i mnieby co spotkało takiego. Ale ja nie głupi czekać, zanim drugi

powie, taj nas wyda. Ja bo także carski poddany, wiem, co do mnie należy, a co się za donos znowu należy, gdy ja carowi oddam żołnierza, którego wy ukraść jemu chcieli.

Żyd przeraził się podobną rachubą „russkiego“ poddanego. Po części nawet przekonany, wiedząc z doświadczenia, jak się w tym kraju opłacają donosy, i na co się wtedy przez palce patrzy, mocno się zafrasował.

„Russki“ człowiek zapuścił w niego wzrok swój chłodny, martwy, ale przeszywający na wskróś człowieka gorętszego usposobienia, i rzekł po chwili:

— Ot, nie pójdziecie wy w katorgę, ani ja nie będę brał za donos, bo wy sami mnie tu za niego zapłacicie.

Nuchim chciał odpowiadać, lecz „russki“ człowiek przerwał;

— Sza! ani słowa!... Ja was nie słucham. Mówię wam po prostu: Zapłacicie, taj koniec! Tak wszyscy robią? bogatsi i zasobniejsi, a czemuby ja miał darować?... No! sza! teraz ani słowa, panie *jewreju!* Zapłacisz!... Teraz chodzi tylko, na ile ja za moje frasunki z wami przystanę. Tylko mi się długo nie targuj. Ja, russki, znam się lepiej, jak ty, na handlu, taj wiem, ile co warte i dla kogo?

I w samej rzeczy musiał żyd poznać, że „russki“ człowiek przejdzie nawet najsprytniejszego z jego współwyznawców. Korzystając bowiem z trudnego położenia ojca cisnął jak mógł żyda, który wpadł w twarde łapy „russkiego“ sybiraka.

Tak działo się raz po raz, ojciec nie mógł odebrać

syna. Choć Nuchim stękał, jednak Dawidek jego chował się u „wujostwa“.

I szłoby wszystko jeszcze jako tako, gdyby drudzy we wsi „russcy“ nie wywąchali, że ich sąsiad ma kwokę, znoszącą mu złote jaja. Że chowa *chrystjanyn* dziecko jakieś pogańskie, niechrzczone, nie bardzo to obrażałoby uczucie religijne sybiraka, spać jednak nie wszystkim dawało, że drugi ma dochody, jakich nie wydaje ni ziemia, ni puszcza sybirska.

Tak się więc jakoś stało, że do tej zapadłej osady dnia jednego przybył *prystaw* z objeszczykami.

I zabrawszy chłopca przestraszonego, zawieziono go płaczącego do Nerczyńska. „Russki“ człowiek również zmuszon był odbyć poniewolną podróż, i odpowiadać za swoje przedsiębiorstwo.

Nuchimowie, mieszkający w Czycie, wtedy dopiero o tym wypadku się dowiedzieli, gdy i po nich zajechał wóz z podoficerem i dwoma kozakami. Przerażonych i zakutych, pod tą eskortą zawieziono do Nerczyńska. Poznali oboje, że wszystko stracone: usiłowali bowiem podejść rząd i przekroczyć prawo carskie, chcąc odebrać carowi żołnierza.

III.

Nuchim wraz z nieszczęsną żoną swoją, siedząc w nerczyńskiem więzieniu śledczem, zimnem, wilgotnem, znaleźli się w nie bardzo miłem towarzystwie.

Był tam tymczasowo jakiś *brodjaga*, który już może po raz czwarty po włóczędze sybirskiej wpadł w ręce władzy. Ten, na widok wchodzących, ze snu przebudzony, spojrzał nieco ciekawym wzrokiem; lecz widać nie musieli mu się podobać, bo, zoczywszy przerażone i płaczące, z niechęcią na bok się odwrócił, i niebawem zaczął chrapać. Był tam i wyrostek jakiś w poszarpanem odzieniu, przez które świeciła nagość ciała; twarz zaś jego wskazywała na myśli i namiętności, jakie w tym wieku jeszcze nie powstają. Zaczepiały go też dwie niewiasty, w łachmanach, pełne cynizmu na twarzy, którym on oddawał podobne karesy.

Nuchimowie przed podobnem towarzystwem z pewną obawą wcisnęli się w kąt najciemniejszy. Mimo to niedorostek ów nie dał im spokoju, zaczepiając żydów. Jęki i stękania nieszczęśliwych rodziców były w miejscu tem igraszką dla innych, chcących tem przerwać nieco nudę i jednostajność dni swoich.

Drzwi się niebawem otworzyły, i wniósł aresztant z ogoloną głową misę jakiegoś ochłapu. Rzucili się do tego obecni, lecz Nuchim ze żoną swoją ani tknęli; im wcale nie było po myśli zaspokojenie teraz głodu. Inaczej towarzysze niedoli. Była nawet między nimi kłótnia, lecz brodjaga, zbudziwszy się właśnie, przysiadł do misy rozepchnąwszy drugich łokciem, co na niego spozierali z zawiścią a pożądliwością głodu, lecz on nic sobie z tego nie robił. Śmielsze dwie niewiasty zabierały się do niego odważniej, jedna nawet próbowała pochlebić staremu karesami swymi, ale druga zaczęła się kłócić. Lecz on na to nie zważał, jeno rozparty pchał do gęby z zupełną obojętnością. Najadłszy się odsunął misę od siebie, a

wtedy czerń cała zaczęła chlipać sałamachę z wilczą żarłocznością i wilczym pospiechem.

Stary zaś, podjadłszy sobie, dla odmiany zaczepił żydów pytając się, za co oni tu wpadli w ich towarzystwo. Nuchim nie miał ochoty mówić, lecz tamten takim popatrzył na niego wzrokiem bezczelnym a rozkazującym, iż żyd zatrwożony, musiał odpowiedzieć, łzy swoje połykając.

Brodjaga słuchając miał jeno minę lekceważącą. Nareszcie machnąwszy ręką mruknął:

— Choć stary, ale głupi... Nie umiał-ci schować, a teraz beczy. Może bekiem twoim zmiękczysz ich dzisia? Żeby nie ino!... Oni też na to bardzo będą uważali? Jeśli nie potrząśniesz dobrze workiem, taj nie zapchasz im gęby, to oni cię wpakują do katorgi, gdzie będziesz pałkami częstowany, ty i twoja baba. A masz ty *dziengi*, hm? — dodał ciekawiej, wpatrzywszy się w żyda świdrująco.

Nuchim się zatrwożył, bo i wyrostek ów i dwie niewiasty miały taką w tej chwili minę, jakby go dostały ochotę obłupić.

— Nu, co? ja biedny żyd — zaczął się tłómaczyć Nuchim — z czego bo ja miał złożyć? Co zarobił, to zjadł.

I zaczął im wyjaśniać, jakby się obawiając, ażeby go towarzysze w tej celi jeszcze nie zamordowali.

Brodjaga popatrzywszy na niego z lekceważeniem odwrócił się. Niebawem też zaczął chrapać na nowo: widocznie spokojne miał sumienie. Niedorostek ów także nie bardzo martwił się położeniem swojem, a dwie niewiasty ciągle chychotały i kłóciły się.

Kiedy noc nadeszła i wszystko zostało w śnie błogim, Nuchimowie, nie mogąc zasnąć, biadali jeno za dzieckiem swojem, niepewni, kędy je dziś powleczono. Oni tylko rozbierali w myśli, jakby mogli chłopca wydobyć z rąk władzy okrutnej.

Lecz daremne ich nadzieje. Chłopiec zdala dziś od rodziców, już nie w Nerczyńsku znajduje się, ani w Czycie. Obstrzyżony, jak uczeń koszarowy, i ubrany po formie w obcisły kabat z szarego sukna, otrzymał liczbę swoją, oddany szkole z dziećmi Buryatów i Owruczan. Zoczywszy się zrazu w warowni miasta większego, trząsł się cały, myśląc, że go tam będą zabijali, — a znalazłszy się w obszernej kamerze między tłumem rówieśników swoich dzisiejszych, bał się ich zrazu, ale po krótkim czasie był już nieco lepszej myśli. Próbował się czasem pytać wprawdzie, kiedy go znowu powrócą do domu, do matki, lecz tu tylko usłyszał, że on dziś nie należy już do matki, ani do ojca: dziś ojcem jego, jak i wszystkich tutaj — car. I ten car, wielki, potężny, daleko mieszkający, jest ich wszystkich tutaj ojcem, starych i młodych — a wszystko po jego jest woli. Chłopiec myślał też o tym nowym ojcu swoim, dalekim, a wyobrażenie o nim przybrało jakieś straszliwe rozmiary. Był niejako w położeniu, w jakiem ci niegdyś bywali, których wyobraźnia tworzyła sobie Arymana albo Czernoboga.

Powoli zakazano mu nawet wspominać o matce i o ojcu jego dawniejszym, zagroziwszy, że za to nastąpi kara, bo to jest wykroczeniem. Skoro on zaś żyje z łaski batjuszki-cara, to o tamtym, i wogóle o jakichś tam rodzicach, z dziecinnego okresu życia, wspominać dziś nie wolno. Naukę tę podawano mu wraz z pękiem łóz.

Chłopiec, widząc, jak tu wszystko ze czcią i strachem przejęte jest imieniem tego batjuszki-cara, przychodził powoli do przekonania, że tylko w niebie musi rządzić Bóg, o którym go uczono, tutaj zaś na ziemi złożył rządy swoje w ręce cara, oddawszy jemu dusze ich wszystkich. Ale ten car, wielki, potężny, daleko gdzieś mieszkający, musi być groźnym, bo chłopiec ciągle tu widzi, jak w imię jego grożą i karzą, przepuszczają przez pałki i chłoszczą dorosłe nawet chłopy. Czy młode, czy stare — wszystko tu podlega pletni. Chłopiec miał też dzisiaj wyraz twarzy ciągle zastraszony. Dawniejszy ojciec jego coraz bardziej teraz maleć musiał w umyśle chłopca, jako słaby, bezsilny, wobec dzisiejszych kierowników koszarowych; tak samo i dawniejsze wyobrażenia powoli się zacierały, a natomiast rozwijały się nowsze. Chłopiec musiał tu doświadczyć, że i sam nic nie znaczy i nie ma żadnej woli swojej: zadaniem zaś jego jest, robić tylko to, co każą, i myśleć o tem, co każą. Jeśliby choć jak był głodny, dostanie wraz z współtowarzyszami, wtedy, gdy nadejdzie godzina; zechce mu się spać, musi stać na nogach, póki czas nie nadejdzie, w którym zatrąbią, a wówczas śpiący, czy niespiący wraz z innymi według porządku kłaść się ma na nary i zasypiać, — na komendę zaś wstawać, zimno czy ciepło, wyspany czy niewyspany, bo taki jest rozkaz; za każde zaś uchybienie jest kara.

Tak się tresował przyszły żołnierz carski.

Tymczasem rodzice jego czekali w śledczem więzieniu, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, w strasznej trwodze o los dziecka. Torturą dla nich straszliwą była rozwlekłość procedury tamtejszej sądowej. Całymi mie-

siącami czekać musieli na każdy najmniejszy krok sędziów swoich. Zjeżdżała bowiem komisya do Czyty, gdzie szukano za winnymi, którzy również udział brali w oszukiwaniu rządu udanym wówczas pogrzebem chłopca; ci zaś, co o tem wiedzieli, również stali się winnymi przestępstwa, że wiedząc, nie dali znać o tem władzy. Między żydami Czyty nastać musiał strach niemały, ale były wszelkie zabiegi, ażeby zaspokoić komisyę. Niemało to ich kosztowało. Lecz im mniej winnymi pokazywali się sąsiedzi Nuchimów, tem większa wina spadała na samych Nuchimów. Posyłano również po sąsiadów mużyka, który trzymał syna żydowskiego u siebie. Spisywano z nimi protokoły. Lecz widać „russki" gazda był jakoś sprytniejszym od *„jewrejów"*, i więcej dał dowodów namacalnych w ręce sędziów o swojej niewinności, dlatego też po niejakim czasie wypuszczono go na wolność. Spisano podobnoś, że nie wiedział, kogo ma u siebie, bo i jego miano oszukać: on tylko chciał z litości, a po części w połowie z potrzeby, wychować sierotę na sługę sobie do roboty, nie wiedząc, ani że to „nechrest", ani że należy do batjuszki-cara. Ponieważ postawił na to świadków wiarygodnych, a świadkowie zeznali do protokołu, sędziowie zaś spisali, dając wiarę świadkom, a nie dając jej Nuchimom jako obwinionym: uwolniono po niejakim czasie „russkiego" człowieka. Nuchimowie zaś pozostali dalej w śledztwie.

Biedni, stroskani, mieli oni niejaką jeszcze nadzieję, że się uwolnią, gdyż wiedzieli, iż ów „russki" człowiek wyszedł jakoś na czysto, więc czemużby i oni nie mieli się wydobyć z tej biedy? Wszak mużyk czynił dla zysku, oni zaś z miłości a trwogi rodzicielskiej? Domyślili się,

że „russki“ człowiek przekonał „russkich“ sędziów nie gołemi jeno słowy; mieli zatem również nadzieję, iż żydzi w Czycie i dla nich się ściągną: na to zarówno też czekali ponoś i sędziowie. Zwąchawszy bowiem niejaki grosz u Izraela Czyty, zwlekali ze sprawą. Atoli czegoż nareszcie doczekali się Nuchimowie? Oto musieli się przekonać, że solidarność Izraela w mieścinie sybirskiej nie była jeszcze tyle wyrobioną, ile w miastach macierzyńskich Nuchimowych. Współwyznawcy jego w Czycie byli dziś radzi, że się bodaj sami z łap czynowników wydobyli, Nuchima pozostawiwszy własnemu jego sprytowi.

Nuchimowie siedzieli też dwa niespełna lata w ciągnącem się śledztwie. Trzymani w zamknięciu, różnych tu towarzyszy od czasu do czasu dostawali. Winni i niewinni wchodzili i wychodzili. Trafił się czasem i żyd jaki. Nuchimowie, będąc wtedy radzi, iż otrzymali współwyznawcę na towarzysza niedoli, zwracali się też do „swojego“, lecz tu wnet poznać musieli, że cała przepaść przedziela ich od tego współwyznawcy. Choć były tam żydy, lecz pochodzili oni to ze szajki wypraktykowanych koniokradów jako kierownicy rzemiosła tego, to znowu rabusie w czysto russkim kraju, na których nawet krew ciężyła. Nuchim zaś nie był ani koniokradem, ani mordercą, on tylko był ojcem, a Sara matką; oboje zawinili przeciw carskiemu prawu przez miłość ku dziecku, nie chcąc go dać sobie wydrzeć.

Indagacye po indagacyach ciągnęły się długo. Sędziowie poznawszy nareszcie, że Izrael w Czycie pozostawił Nuchimów własnemu rozumowi, obżałowani zaś nie mogli słów swych i łkań niczem lepszem dla sędziów

poprzeć, wydali zatem wyrok ostateczny — i osądzili Nuchima na trzy lata ciężkiego więzienia, żonę zaś jego na rok jeden. Po odsiedzeniu kary wskażą potem Nuchimowi, gdzie będzie musiał osiąść, bo już nie zostanie w Czycie, lecz gdzieindziej, i to pod ścisłym dozorem policyjnym.

Tymczasem zarzucono na niego kajdany, ubrano w szary chałat więzienny, i zawiedziono do celi ciemniejszej a wilgotnej, w której siedzieli skazani za różne pospolite przestępstwa. Żonę zaś jego, jako skazankę obrócono do posług więziennych; kobieta prać i szyć musiała bieliznę dla skazańców.

IV.

Kiedy rodziców wiedziono po zasądzeniu do więzienia przeznaczonego dla tych, co odsiadują karę za różne przestępstwa — syn ich tymczasem odbywał studya w koszarach warowni miasta powiatowego. Chłopiec o tyle postąpił, że znał nieco mustrę, nie znał zaś pacierza, ani według swojego, ani obcego mu rytuału. Brał on wprawdzie udział w nabożeństwach koszarowych, t. j. musiał stać wyprostowany na komendę, kiedy pop koszarowy miał odprawę, bił nawet na komendę po formie pokłony, jak czynili jego współtowarzysze, których ćwiczono rózgami, jadł mięso niekoszerne, jak jedli drudzy, i musiał pościć, kiedy wypadał post według

kalendarza wschodniego. Soboty ani szabasu nie znał, ale musiał obchodzić wszystkie święta według kalendarza panującej cerkwi, i wszystkie dni dworskie, carskie i carskiej familii. Do spowiedzi tylko nie pędzono go wraz z innymi, dawszy mu poznać, że jeszcze nie urósł do tej łaski, — ale gdy się będzie dobrze sprawował, to i tego wraz z innymi dostąpi.

O hart i rozwój ciała jego więcej dbano, a gdy go wraz z innymi pływać uczono, drżał na samę myśl, że go wrzucą do wody, jak psa i zatopią. I w saniej rzeczy, zanim na niego kolej przyszła, stał blady i wystraszony, próbując litość wymodlić. Lecz wnet musiał jeno doświadczyć, że go po kolei chwycono na sznur, przez pół rzemieniem opasanego, a wrzeszczącego ze strachu czemprędzej wrzucono do wody zimnej i głębokiej. Potem już nie wiedział, co się z nim działo, gdy po zanurzeniu go bezmiłosiernem wyciągnięto po chwili — i ratującemu się z wysileniem, a po napiciu się za wiele wody dławionemu, pływać kazano.

Chłopiec dzisiaj dzień cały przepędzać musiał w bezwzględuym posłuchu a strachu. Myśl jego wszelka skierowaną była ku temu tylko, aby ominął chłosty, która stawała się codzienną wychowanków strawą; bo jeśli dnia którego ominął kary, musiał za to patrzeć się na wymierzaną chłostę na swoich towarzyszach. Oprócz tego, kiedy nawet knutowano którego z sałdatów lub przepuszczano winowajcę przez rózgi, wiedziono dla nauki również i szeregi malców, aby się tej scenie przypatrywali a patrząc rozwijali umysł swój młodociany.

Chłopiec trząsł się zrazu jakby w febrze, kiedy widział żołnierza z obnażonemi plecyma, pędzonego mię-

dzy dwa szeregi, uzbrojone w ostre pręty. Straszny ten obraz człowieka z wiszącymi płatami skrwawionej skóry wypychał wszelkie inne myśli i obrazy z mózgu chłopięcego; lecz następnie przyzwyczajony do tego rodzaju widowisk, był już tylko rad, że to nie on jest tym, którego tam pędzą — i pewien brutalny, bezlitośny rodził się w nim egoizm.

Syn dawny Nuchimów starał się dziś wykonywać wszystko ściśle według rozkazu, a nigdy mu nawet przez myśl nie przyszło, w jakim celu on co robi: robi, ponieważ taki jest rozkaz.

Dzieci Buryatów i Owruczan stawały się również z dnia na dzień doskonalszymi zakładu wychowankami, tak, że ich tylko cerą twarzy odróżniłby od rodowitych „russkich“ dzieci. Tych było tamże niemało, z pośledniejszych a i lepszych nawet rodów, bo były i dzieci popów i czynowników, choć ci ostatni należeli do innych oddziałów: z wielu bowiem tam stopni składała się koszarowa organizacya szkolna.

Wola cara i zastępców jego, na różnych stopniach, po nad wszystko tam górowała. Żołnierze iść muszą w ogień, w wodę, gdy w imię cara każą, nie pytając nawet, dokąd idą. A przez myśl przejść nawet nie może „russkiemu sałdatowi“, iżby się miał pytać, gdy rozkaz wydany, w kogo on mierzy — w ojca, nie-ojca, braci nie-braci?

Czy i syn Nuchimów tej dostąpi doskonałości — przyszłość okaże.

Tymczasem odbywała się tu tresura w tym celu. Kilku nawet ze szkoły zmarło, co nie wytrzymali metody tego wychowania; zaraz też wciągnięto ich w rubrykę

przeznaczoną dla zmarłych. I nikt już odtąd o nich nie wspominał. Drugich zaś ćwiczono dalej na sałdatów. Takie zadanie miał i syn Nuchimów.

Powoli przyzwyczajał się on do wszystkiego. To jedno tylko go wstydziło, że on nie we wszystkich obrządkach cerkiewnych taki sam udział bierze, jak drudzy; lecz mu zrobiono nadzieję, co wskazano jako łaskę carską, iż po pewnym czasie również i on dostąpić tego może. Chłopiec przecież nie sam jeden tylko należał do tej pośledniejszej szarży; było tamże więcej dzieci z jego rasy, zabranych rodzicom, których los był podobny jego losowi.

Nareszcie dnia jednego odkomenderowano kilkunastu takich z jego towarzyszy, i kazano im stanąć po formie w szeregu, w dzień ostry, zimowy. Przybył pop i zaczął śpiewać z chórem, odprawiając nabożeństwo. Następnie zwrócił się do stojących w rzędzie chłopców, buryackich, tunguskich i innych, zszeregowanych wraz z Dawidem, gdy dwoje sług cerkiewnych szło koło niego, jeden z konwią, a drugi z wielką miednicą — i zbliżywszy się do jednego po drugim w szeregu, kazał im nachylać głowy, i zlewał je wodą zlodowaciałą, wymawiając słowa rytualne. Po skończonej zaś ceremonii, kazano im się jeszcze modlić. A gdy ich odkomenderowano z cerkwi, i znaleźli się w izbie — dowiedzieli się, że teraz już zrównali się z drugimi, i będą udział brali we wszystkiem w cerkwi, do czego tamtych wzywano.

Syn Nuchimów odtąd obok swej dawnej cyfry koszarowej otrzymał dziś na imię jeszcze Aleksyj.

V.

W takiej szkole i w takich nadziejach rósł syn Nuchimów, podczas gdy rodzice w innej twierdzy, dalekiej od niego, nerczyńskiej, odbywali po wyroku karę ciężkiego więzienia. Nieszczęśliwy ojciec nie mógł pojąć okrucieństwa prawa, które mu syna wydarło i gdzieś powlekło, jego zaś samego zamknęło w murach więzienia, ażeby się nie mógł bronić, ani ratować dziecka. Gdyby miał ręce wolne, użyłby wszelkich sposobów, ażeby syna swego wydobyć. Czy oni mają prawo odebrać mu dziecko? — zastanawiał się Nuchim. — Nie, car takiego nie mógł wydać prawa. To niepodobna! To tylko sługdzy jego, tuczące się krwią ludzką, wymyślili takie prawo, na gnębienie ludzkie a zysk dla siebie. Chcecie pieniędzy? — mruczał do siebie: — Podli i drapieżni! Dam wam, choć nie mam, ale dam wszystko, co posiadam, a puśćcie mnie! Nu, co oni na to? Nie chcą puszczać? A ja już tak długo siedzę? Dwa lata trwały te wasze indagacye, cały znowu rok, jak długi, odbywam już karę, jaką wydaliście... Nu, za co? Że się żyd ratował? A gdzie ten ojciec, co dopuściłby, aby mu dziecko porwano? Nu, czy ja chciał cara okradać? Ja tylko siebie ratował. A oni mnie za to trzymają, już całe... trzy... lata. Nu, czego chcecie więcej? Dwa lata jeszcze mam siedzieć? A za co tyle? Dwa lata jeszcze? To długi czas! On tymczasem... Boże! nie dopuść, by się co stało!

Zżymał się na myśl podobną, i były chwile, że w rozpaczy rwał włosy. A nie było nikogo, ktoby go mógł pocieszyć. Towarzysze jego więzienni byli to sami

tylko pospolici zbrodniarze, skazani za rabunki, kradzieże, to zabójstwa, w zbrodniach wszelkiego rodzaju zahartowani, albo też młodzi, rozpoczynający dopiero karyerę swoją przyszłą.

I tak razu pewnego zaszedł do celi jego jakiś chłop wielko-ruski z ogoloną do połowy głową, którego tylko tymczasem do twierdzy wsadzono nerczyńskiej, zanim go wywiozą dalej do katorgi. Ten spojrzawszy na rozpaczającego za synem ojca, zagadnął go z nienacka:

— Ta, czego to kolega tak bo sumuje?

— Ach! ja nieszczęśliwy — odrzekł z żalem Nuchim — miałem wam jednego syna, nu, i tego mi wzięli.

Tamten zaczął tylko kiwać z lekka głową.

— Wy może nie macie dzieci? — rzekł Nuchim. — Wy nie wiecie, co to dzieci.

— Ta, jak to nie mam? — mruknął tamten. — Mam-ci ja tego, mam aż trzech. Kłopotałem się z nimi, ale teraz, to już każdy od dawna na swoim chlebie.

— Nu, to wy o nich spokojni — mruknął ojciec westchnąwszy.

— Pewnie, że spokojny... bo-ci każdy sam na siebie dziś zarabia. Jednego, co robić! przychwycili... No, to mu łeb ogolili, taj poszedł w katorgę. Ale tamte dwa... ho! ho! to cięte chłopy. Pojęli rodzica. Nie tak ono prędko złapią ich, by im łby pogolić!

Nuchim popatrzył na niego ze strachem a odrazą, i na bok się nieco uchylił. Inni zaś zaśmiali się wesoło, słysząc podobną rozmowę, a dwaj młodzi, którzy dopiero co rozpoczynali swoją karyerę, popatrzyli z pe-

wnym szacunkiem na człowieka, w którym przeczuli mistrza w fachu. On też odwróciwszy się z lekceważeniem od Nuchima zbliżył się do młodych i zaczął im dawać nauki, udzielając ze skarbnicy doświadczenia swego długoletniego.

Ale nie tylko z obcej dla siebie rasy miewał tu Nuchim towarzyszy, zdarzył się czasem również i jaki z jego współwyznawców. Wtedy zbliżywszy się do niego, musiał się tylko wkrótce dowiedzieć, iż tu wcale nie miłość ku dziecku, jak jego, zawiodła ich w to miejsce, lecz zupełnie innego rodzaju cnoty.

Nuchim przekonał się nareszcie, że tutaj wśród różnych towarzyszy on zupełnie jest samotnym. Samotność zaś nie zawsze wywiera wpływ korzystny. A więzień przytem nie myślał dziś o niczem innem, jak tylko o jednem i tem samem, obracając się w kole jednej tylko myśli, którą umysł swój zatruwał — i miał jednę tylko chęć uwolnienia się z więzów. Myśl ta wprowadzała go chwilami w wściekłość, że się zapominał, gdzie jest, tracąc wszelką cierpliwość. Po takich chwilach, zesłabły, obezsilony, tracił nadzieję, milczał potem uparcie nie odzywając się dniami całymi do nikogo.

Nie tak zaś żona jego, skazana po dwuletniej indagacyi na rok jeden więzienia. Oddzielona od męża, używaną bywała wraz z innemi kobietami do szycia i prania bielizny więziennej, jak i do innych posług. Lamentowała zrazu, potem przekonawszy się, że nic tem nie poradzi, poddała się losowi swemu, płacząc jeno cicho po nocach za swojem dzieckiem, o którem wiedzieć nie mogła, gdzie dziś znajduje się właściwie; w dzień zaś siliła się panować nad sobą, ażeby nie

drażnić tych, coby mogli jej jeszcze dokuczyć i przedłużyć karę, — a przez to oddalałby się tylko czas, w którym mogłaby odnaleźć jeszcze syna i wymodlić go od gnębicieli. Będąc dziś w otoczeniu niewiast upadłych, spodlonych życiem i namiętnościami, nie zwracała na nie uwagi, robiła tylko swoje, obojętna na ich swary między sobą i rozgowory pełne cynizmu.

Czasem tylko pozwolono jej zejść się z mężem, który rozgorączkowany lamentował jeno nad swojem i jej nieszczęściem; ona zaś koiła, jak mogła, że się na chwilę nawet uspakajał, jakby go inne jakie, lepsze, owiało tchnienie, — ale trwało to tylko na czas krótki, bo potem znów powracał w celi swej do tej samej posępnej niemocy, przeplatanej wybuchami gwałtowności swojej.

Nadszedł nareszcie dzień, w którym się kara Nuchimowej miała już skończyć. Czekała ona na dzień taki, licząc dni i godziny. Lecz dzień po dniu przechodził w dręczącem tylko oczekiwaniu. Biedna kobieta nie wiedziała, iż na samych formalnościach okrutnej procedury, po odsiedzeniu już kary, całe trzy zeszły miesiące. Trzy te miesiące, więcej jej sił odebrały, niż gdyby jeszcze cały rok nowy siedzieć była skazana.

Nareszcie po długiem wyczekiwaniu dano jej znać, iż może się pożegnać z mężem, gdyż wszystko już dla niej zostało załatwionem.

Chwila pożegnania była dla nich obojga bardzo ciężką. Ona dziś odchodzi, ale on ma jeszcze pozostać całe dwa lata.

Spłakana żegnała go, nie wiedząc, jak go prędko

zobaczy. Teraz znów on więcej w sobie znalazł siły, wołając:

— Idź Sara, idź ty i bądź o Nuchima spokojną. Wytrzymał on tyle, nu, to wytrzyma resztę... Bóg Abrahamów, Bóg nasz ich ukarze. Ale ty idź Sara, i ratuj mizerotę naszą w Czycie. Bóg wie, co z tego nam zostało! Oj, co nam jeszcze biednym pozostało z tego do życia!... Ale, ratuj syna, Sara, ratuj dziecko nasze! Ty wiesz, że Nuchim zamknięty. Jego tu trzymają. Ale ty dzisia, nu, ty wolna. Ty znajdziesz przecie jeszcze dobrych ludzi, co ci pomogą... nu, bo co niewiasta sama zrobi! Ale ty będziesz czyniła, co zmożesz? Nie prawda, Sara, ty znajdziesz ludzi? Oni o nas nie mogli zapomnieć. Idź, nie płacz! nie płacz, Saro!... Ty jego odbierzesz? Ty będziesz ich błagała, a łzy twoje, nu, to łzy matki!... A jeśliby ci oni nie oddali, to ja ich za to w moich nocach przeklnę. Bóg nasz, Jehowa, Akatriel, ukarze ich! Jeśli się który z nich rodził w miesiącu Sivron, w którym panuje archanioł Amriel, nu, to taki będzie przeklęty — a jeśli w miesiącu Ador, nu, to Rumiel, ten groźny anioł, niechaj im zapłaci za nasze...

Potem dalej już mówił znowu spokojnie.

I dłużejby trwało pożegnanie ich obojga, ale je przerwał dozorca, który dał znać kobiecie, że już czas do wyjścia.

VI.

Przybywszy do Czyty, na widok domu swego stanęła Sara, nie mogąc go zrazu poznać. Dranice z dachu, nadgniłe, poczerniałe, sterczały tu i ówdzie, na innej stronie całej nawet części dachu nie było; zamiast zaś drzwi i okien zostały tylko po nich próżne miejsca. Zali tu był napad jaki?

W wnętrzu domu znów ani stołu, ani ławki nie widziała — okropna zewsząd wiała pustka. Kobieta stanęła na środku swojej chaty — w osłupieniu.

Potem podniosła lament. I co ona dziś pocznie?

Nareszcie porwawszy się pobiegła do poblizkich sąsiadów, współwyznawców swoich. Tam się dowiedziała, że po ich obojga wywiezieniu z Czyty wkrótce przybył urzędnik gminny i opieczętował dom, powiedziawszy, iż odtąd zostaje pod opieką władzy, a nikt inny nie ma do niego prawa; odpędził zatem tych, którym Nuchim zostawił opiekę nad swojem mieniem. Następnie, gdy nikt z nich nie wrócił ze śledztwa, ani gospodarz, ani jego żona, kiedy już zostali wyrokiem skazani — była tu licytacya na ruchomości, których połowę rozkradli przedtem urzędnicy gminni, to rządowi. Mawiano, iż to na koszta, przeróżne koszta, i na żywienie przestępców w czasie śledztwa. A po licytacyi i rozdrapaniu przez czynowników — resztę rozkradły Buryaty i różny lud „russki".

Kobieta słuchała nie mówiąc ani słowa — była w osłupieniu. Potem siadła u siebie na progu, zakrywszy twarz — i oddała się myślom posępnym.

Współwyznawcy, widząc teraz opuszczoną kobietę, której wszystko rozdrapano, kobietę bez opieki męża, przynieśli jej nieco pożywienia. Ona spojrzała na to nie chcąc się nawet posilić.

Potem westchnęła, szepnąwszy boleśnie:

— Nie pomoże, żyć trzeba, żyć dla niego, bo kto go wtedy odnajdzie?

I wzięła do ust nieco strawy, szepnąwszy:

— Dzięki i za to Bogu wielkiemu, że jeszcze ludzie mają litość nad opuszczoną.

Postanowiła dzisiaj wytrwać, o ile zmoże. Współwyznawcy, widząc, że nie można nieszczęśliwej tak zostawić, uradzili między sobą, że trzeba dać jej nieco zarobku, ażeby żyć mogła, gdy nic nie ma w swojej chacie. Będą jej zatem dawali pierze skubać, starą bieliznę przynosili do naprawiania, ażeby przecież co zarobiła.

Ale co do chłopca — to jej w tem niewiele powiedzieć mogą. Tyle tylko wiedzą, że on będzie teraz może w Werchnoudyńsku, mieście powiatowem — a może i dalej, jak i dzieci innych, które również zabrano. A kto wie, może go i dalej powiedli?... Chodzili za swoimi jedni i drudzy, lecz nikogo nie wpuszczono. Nikt potem swoich nie widział — daleko ich wywieziono. Ha! może on jako jedynak inny będzie miał los, bo to syn matki, która sama jedna pozostała w pustej chacie... a może i wypłacze, iż ją do niego puszczą?

— Jak to? — myślała sobie nieszczęśliwa. — Po czterech latach strasznej trwogi, po czterech latach okropnego oczekiwania ona miałaby jego już nie widzieć?

On ją dzień w dzień oczekuje. Ach! może nawet myśli, iż o nim zapomniała własna matka? I onaby go już opuściła?... Nie, matka dziś wszystko uczyni, ażeby się do niego dostać... Ależ gdzie go dziś szukać? Jak tu się wybrać? Mówią, że on będzie w Werchnoudyńsku. Jakby tam się dostać?... Inni znowu wskazują aż na Irkuck*). Boże! toć bo tak być ma daleko? I którędy tam droga? A jak ona tam zajdzie? Ludzie mówią, że to daleko, okropnie daleko, kilkaset wiorst drogi, dni kilkunastu potrzeba, aby tam dojechać, a ona może brać się jeno pieszo. I z kim tam pójdzie?

Takie ją trapiły myśli. Długo szukała, żeby jej kto pomógł w tej ciężkiej chwili. Lecz każdy z jej współwyznawców swoim tylko zajęty — oni przecież wszyscy handlarze i przekupnie? Dzień każdy, godzina każda, jest ich własnością, a tego marnować nie mogą. Zasobniejsi znów na sybirskiej ziemi nie nauczyli się wcale miłości bliźniego... Solidarność większa, plemienna, została tam, skąd przybyli, na tutejszej wcale nie rozrosła się ziemi: tutaj każdy myśli o sobie.

Kobieta mimo to pracowała, jak mogła, skubiąc pierze, szyjąc, jeśli dano, a jeśli nie było, nie gardziła i naprawianiem szmat starych. Tak składała na drogę, odejmując od ust sobie. Tygodnie, miesiące całe, wysilała się, jak mogła, z żelazną wytrwałością, ona, taka nikła, mała.

Nareszcie znalazł się między wygnańcami dawny żołnierz z czasów jeszcze Księstwa warszawskiego, dziś

---

*) Irkuck — miasto gubernialne, wówczas główne na całą wschodnią Syberyę.

dziad. Ten niegdyś jako jeniec moskiewski poszedł na Sybir. Zanim wzięty był do wojska, miał być przedtem kowalem, ale w wojsku wszedł w inny świat. Jako deportowany, a potem posieleniec, żył na Sybirze długie lata z pracy, biedował, i postarzał się, a kiedy nie mógł zarabiać, żył z litości innych. Lecz pewien miał zawsze pociąg, a nawet słabość do przygód i wędrówki. Obchodził też nieraz dalekie okolice sybirskie, włócząc się po różnych stronach, tam i nazad, jakby wędrówka podobna była życia jego potrzebą. Znali też go z tego.

Ten zobaczywszy kobietę, która chciałaby iść do Werchnoudyńska, a nie wiedziała jak, rad przeto był ze sposobności, ofiarował się jej nawet sam za przewodnika. Pójdą teraz oboje. Do tego był on serca litościwego i uczynny, gdy szło o pomoc bliźniemu. Werchnoudyńsk? On się Werchnoudyńska nie lęka. A choćby nawet i Irkuck?...

Kobieta była teraz uradowana, jakby jej lat ubyło. Ona też nie wątpiła, iż zabiegi jej zostaną dziś uwieńczone skutkiem.

Błogosławiła starca, całowała go po rękach, nie mogąc wysłowić swej wdzięczności.

I tak wybrali się oboje w daleką drogę.

VII.

Wyszedłszy z Czyty w zachodnim kierunku, ujrzeli się na obszernej dolinie zasłanej zielonością. Tu owiało ich świeższe, ostrzejsze, powietrze, z dalszych okolic od gór nachodzące. Ku północy ciągnęły się góry płaskie, nagie, to lśniące miejscami zielonością, ku południowi zaś rozciągała się dolina Ingody, wielka, daleka, która przechodziła nareszcie w masę jakąś czarną, jak noc.

Stary był wesół, kobieta nawet szła spiesznie pełna ochoty, jakby jej sił przybyło: ona już syna swego w myślach widziała.

Wkrótce zaczęła się droga nieco podnosić, a wtedy obie doliny, północna rzeki Czyty i południowa Ingody, stawały się coraz wyraźniejszemi; im wyżej zaś droga się wznosiła, tem głębszą stawała się kotlina Ingody, góry z obu jej stron coraz okazalsze i bardziej malownicze przybierały kształty, a czarna masa lasów olbrzymiała, chwytając za oczy siłą ciemnego kolorytu.

Kobieta pozierając po jednej to drugiej stronie, miała niejaką trwogę, że takie masy ogromne, ciemne, jak noc, przedzielają ją od jej dziecka — lecz pojrzawszy na towarzysza, wnet nabierała odwagi.

Już się pierwsza wieś pokazała, na zboczach niewysokiego pasma. Wychylali się tu i ówdzie moskiewscy chłopi osiedleni; można było nawet poznać przymieszkę krwi mongolskiej po twarzach kończastych i nosach płaskich.

Droga wiodła dalej w górę, to w dół, stając się coraz bardziej kamienistą. Teren coraz więcej się pod-

nosił — wiatr ostrzejszy powiewał. Dolina Ingody w coraz większą, czarniejszą zapadała głębię — raz po raz więcej kopców do koła niej przybywało, i czarne masy lasów rosnąc zozszerzały się wraz bardziej, tak, że w dali nigdzie końca ich nie zobaczył. Ciemna masa łączyła się tam z sinością wraz nieba. Coś stamtąd wiało strasznie pustynnego, kobieta obracając na nie oczy, wnet je odwracała na starca, jakby szukając odwagi u tego, który na tę pustosz niepokojącą ją ze zupełnym patrzał spokojem, gwarząc tylko o swojem.

Niebawem przeszli koło drugiej osady, której mieszkańców, osiedleńców moskiewskich, rząd przemienił w kozaki; potem ciągnęli koło innej, mniejszej, o chatach niższych, niedbale kleconych, bo tu, jak mówił stary, mieszkali znów Buryaci przemienieni w kozaki. Kobieta była zmęczona drogą i nowością wrażeń, tak, że dalej iść byłoby za wiele. Poznał to stary, i oglądał się, gdzieby wstąpić do jakiej chaty, lecz ona się wzbraniała, mając z sobą dość posiłku, — jednak tu trzeba było nie tyle posiłku, ile raczej ogrzania się po ostrym wietrze na wysokościach.

Musiała się zatem przemódz, i z niejaką trwogą weszła ze swoim przewodnikiem do jednej z chat owych.

Stary Buryat, siedząc tam na posłaniu z kożuchów baranich, kurzył obojętnie lulkę, a niewiasta krzątała się koło ognia również z lulką w gębie, warząc herbatę z dodaniem jakiegoś tłuszczu, dzieci zaś, na pół nagie, brudne, na widok obcych kryły się w kąt domu. Na pozdrowienie obcych mieszkańcy chaty tej nie odpowiadali — byli nawet jak gdyby niechętni. Mimo to nie bronili żywności ciepłej, gazdyni podała nawet kawał

placka i ryby suszonej. Wędrowcy nasi, zagrzawszy się koło ognia, podziękowali i odeszli.

Ale co potem robić?... Zmierzch już gęstniał — jakżeż o takiej porze puszczać się pod noc w dalszą drogę? Stary szukał, żeby gdzie przenocować. Nareszcie rozglądając się nadybał człowieka, od którego się dowiedział, iż tu w tej osadzie jest również i kilku chłopów moskiewskich na osiedleniu — a nawet mieszka jeden z dawnych wygnańców polskich, bardzo stary, ale ma koło siebie córkę staruszkę, która dawno jeszcze przybyła ojca pielęgnować. Tam będą mogli przenocować.

Stary rad był z tego, bo tu w tej dziczy buryackiej znajdzie nawet towarzysza.

Odszukał niebawem mieszkanie to, i wchodził już jakby do siebie, towarzyszka zaś jego szła z pewną nieśmiałością, jak gdyby się bała, czy ją tam przyjmą, kobietę innego wyznania... Ale tu na tej ziemi, gdzie żyją buddhyści i szamani, katolicy i starowiercy, względy religijne niewielką grają rolę u ludzi, mimo, że prawosławie jest tutaj panującem. Ludność wykonując formy dość jest zresztą na inne obojętną. Wygnańcy zaś polscy, choć więcej od innych religijni, nie uchylają się, kiedy przyjdzie pomódz nieszczęśliwemu.

Weszli przeto podróżni nasi do środka.

Niemłoda już niewiasta, która pierwsza obcych spostrzegła, usłyszawszy polskie słowa, z całą serdecznością przyjęła wchodzących; bardzo była nawet rada, że staremu ojcu choć na chwilę przyprowadzi towarzysza broni. Ojciec jej już od dawna niedomaga, pochodząc z czasów jeszcze Kościuszkowskich zupełnie dziś zdziecinniał, a czasy minione i teraźniejsze ciągle nawet z sobą

miesza. Lecz wędrowiec nasz rad był, że zdybał towarzysza broni, choć starszego od siebie i całkiem dziś niedomagającego; wszedł mimo to w gawędkę, lubując się tem, że słyszy głos żołnierza, który pochodzi z dawniejszych jeszcze, niżeli on, czasów. Córka znów jego, prawie dziś staruszka, gdy się od Sary dowiedziała, za czem ona dziś idzie nieszczęśliwa, miała serdeczne dla biednej matki współczucie. Nie mogła tylko pojąć, że mogą się nawet podobne dziać rzeczy na świecie, aby rodzicom dzieci ich zabierano. Niemało i ona zaznała ze swoim biednym ojcem, ale jej ojciec był niegdyś żołnierzem i wpadł w ręce nielitościwego wroga, jak tylu innych rodaków; lecz żeby car miał brać się do dzieci, które o nim i jego rządzie nawet jeszcze nie wiedziały — to już było po nad pojęcie ludzkie. Jednak tak było.

Kiedy po niejakim czasie wędrowiec nasz spostrzegł, że gawędki jego słuchając gospodarz domu chwilami zasypia, a nareszcie i na dobre zasnął — poznał, że i jemu samemu czasby już było do spoczynku, zwłaszcza, że ciężką drogą znużona towarzyszka spała już od chwili na posłaniu, które jej gościnna przygotowała gospodyni.

Nazajutrz zaś wstawszy, pogawędziwszy nieco i posiliwszy się tem, czem ugościła ich z całą serdecznością skrzętna gospodyni, musieli się zabierać w dalszą drogę.

Ranek był chłodny, mgła przed nimi stała tak gęsta, że ledwo najbliższe można było rozpoznać przedmioty. Chaty, koło których iść musieli, dopiero się wtedy we mgle zarysowały, kiedy już całkiem blizko koło nich przechodzili.

Nareszcie wyszli na główną drogę — a choć ni w prawo, ni w lewo, nic nie widzieli, dążąc jednak drogą, choć złą, kamienistą, kierunku nie zmylą.

Po paru godzinach mgły zaczęły opadać, tu i ówdzie wychylały się grupy skarłowaciałych modrzewi lub nizkiej brzeziny. Niebawem rozsuwały się już całe partye dzikiego krajobrazu, aż nareszcie mgły całkiem opadły.

Droga teraz bardziej się podniosła, masy szerokie kopców rozciągały się coraz liczniejsze... Świat był coraz szerszy, ogromniejszy, ale i pustynność miejsc tych stawała się coraz groźniejszą... Wiatr tylko jeden dawał znać o sobie. Nigdzie słyszeć nie dało się ruchu żyjących istot. Kobieta była prawie przerażona.

Po niejakim czasie w takiej pustoszy zasłyszeli zdala dzwonek. Ona się wzdrygnęła, lecz stary jej wytłómaczył, że to pewnie kuryer pędzi z depeszą, rozbijając wózek po kamieniach.

— A czy on nas nie zaczepi? — zapytała się z obawą kobieta.

— Ano po co?... To przecie kuryer.

Po chwili ucichł dzwonek, gdyż był teraz za górą — i chwilę go nie słyszano. Niebawem znów się odezwał, a po niejakim czasie dochodził już uszu ich turkot jego głośniejszy. Oboje ciągnęli w milczeniu. Nareszcie koło nich przejechał wózek kuryerski tłukąc się po kamieniach, a odgłos jego rozchodził się sam jeden w tej ogromnej pustoszy. Kobieta po chwili rada była, że już po za nimi tylko dalej pędził.

Wiatr teraz wiał coraz gwałtowniejszy. Stary wiedział, że już są na samej wierzchowinie gór Jabłońskich. Uchodzili przeto prędko.

Po kilku godzinach natężonego chodu zaczęła się już droga zniżać ku przeciwnej stronie — na zachód. Nareszcie pokazywały się małe jeziorka, w wysoko położonych kotlinach — źródłowiska potoków zasilających rzeki dalszych okolic. Dokoła jezior tych panowała również pełna grozy jeno pustynność, okalały je usypiska, i staczał się gruz — trawa zaś rosła tu i ówdzie kupkami, ostra, jakby szczecina.

Pokazała się stacya pocztowa, dla przyjezdnych kuryerów lub carskich czynowników... oni ją mijali. Gdzieniegdzie znów zdala szarzało coś niby ułus buryacki, po jednej lub drugiej stronie, lecz to wcale nie odejmowało cechy pustynności całej tej okolicy. Chwilami ptak zakrzyczał — to śmignął zwierz jaki uciekając, zresztą nic nie było słychać.

Po niejakim czasie spostrzegł stary, że jakiś szereg dłuższy majaczy — szarawy jeszcze — potem zapadł za skręty drogi. Poznał, iż to będzie przechodzić partya żołnierzy, albo może szereg wozów kupieckich. Lecz gdy się zbliżyli, widział, że to ciągnie szereg zakutych aresztantów w otoczeniu kozaków. Ha! znowu przybyli nowi mieszkańcy dla tej ziemi?

Kiedy szereg ten koło nich przechodził, zatrzymał wędrowców naszych konwojujący oficer, zapytawszy ich o legitymacyę, lecz stary nosił ją zawsze przy sobie. Oficer podany mu papier czytał rozglądając się po obojgu, a poznawszy, że żadnej od nich *bumaszki* nie dostanie, puścił ich spokojnie.

Przechodzili teraz koło zakutych w szarem ubraniu. Byli to przeznaczeni do katorgi, na których twarzy malowało się zwątpienie, lub ponura obojętność. Znajdo-

wały się tam i niewiasty, przed czasem zwiędłe, i młodzież zawcześnie zestarzała w zbrodniach. Sara na widok skazańców wstrzęsła się... Ona w tej chwili nieszczęśliwego widziała męża swego w więziemiu nerczyńskiem. Zapadła też w myślach, i nic tu dalej nie widziała.

Dwa lata śledztwa — pomyślała sobie — dwa lata nowe w więzieniu! I jeszcze długi cały rok... a może więcej?... A co potem, gdy wyjdzie?... Potem?... Potem oddadzą go pod dozór policyi... On nic będzie wolnym u siebie... Każdy *zasidjatel*, każdy sługa nawet kancelaryi, będzie zaglądał do niego?...

I spuściła wzrok posępny ku ziemi.

Orszak tymczasem pobrzękując żelazem przeszedł, jak sen z potępieńcami. Nawet i stary postępował teraz milczący.

VIII.

Po kilku dniach dalszych pochodu, w którym różnie się im przytrafiało, skończyły się góry i roztoczył przed ich oczyma szeroki i daleki „step buryacki“ na prawo, falisty, pogarbiony, daleko się rozciągający. Zdala widać było pasące się samopas stada owiec i bydła drobnego — miejscami rozbiegały się na różne strony dzikie tabuny koni buryackich. Koło drogi tu i ówdzie pokazywały się wsie porządniejsze moskiewskie — zdala zaś majaczyły ułusy buryackie. Czasem znów

można było spostrzedz zmykające na dalekich błoniach dropie.

Gdy się dalej posuwali — zabłyszczała kiedy niekiedy kopuła cerkwi z krzyżem błyszczącym, to znów pojawiło się więzienie etapowe, otoczone ostrokołem. Prócz cerkwi, więzienia albo koszar dla wojska, żadnego nigdzie nie zdybywano gmachu, coby dominował nad szeregiem pomniejszych domostw ludzkich.

Traktem głównym ciągnęły czasami szeregi wozów kupieckich, to szłapał się Buryat na koniu obojętnie poglądający na naszych wędrowców, albo też pędziła bryczka pocztowa z carskim urzędnikiem. Miejscami znów przechodziły partye rekrutów, pod konwojem kozaków, raz nawet ciągnął ponury szereg skazańców parami przykutych do drąga. To ruch, znamionujący życie, w bardziej zaludnionej części ziemi sybirskiej.

W pochodzie tym długim, męczącym, w którym różne im obojgu wypadały noclegi, w domu moskiewskiego chłopa, to w jurcie dymnej Buryata, zaszli raz nawet do domu, w którym dość liczna mieszkała rodzina moskiewska. Gospodyni, żywa, gwarliwa, przyjęła ich gościnnie, jak czynią moskiewki, podawszy, co było w domu, a dom był dostatni, zagospodarowany, i pełen gwaru wesołej dziatwy. Tylko pan domu jeden nie brał jakoś w tym gwarze żywszego udziału. Siedział jeno milczący, posępny, i przyjął obcych kilku słowy, zostawiwszy resztę gwarliwej połowicy.

Po niejakim czasie usłyszawszy słów parę, które stary nasz wyrzekł do swojej towarzyszki, poruszył się żywiej gospodarz domu, a bystrzej na obcych spojrzawszy, odezwał się:

— To wyście Polaki, jak słyszę?...

— A nie inaczej!... Ale... jak teraz baczę... to i wyście moim językiem zagadali?

— Ta, czy bo już miałem jego na zawsze zapomnieć, wśród tej czeredy mojej dzisiejszej? — mruknął niechętny wskazując ręką na dziatwę zajętą swojemi sprawami.

— To wyście rodak, jak widzę? — rzekł stary.

— A tak! — odmruknął gospodarz westchnąwszy. Ale dziś, jak widzicie, karmię-ci russkie te basałyki...

— To wasze dzieci, jak widzę — zapytał stary — nie znają ojczystego języka?...

— A skąd miały się jego nauczyć? — odmruknął gospodarz — od matki russkiej?...

— Ale wyście ojcem? — dodał stary.

— A! tak, ojcem... Ale dzieci poszły za matką. W domu baba rządzi, nie chłop. A z kim bo one miałyby mówić naszym językiem? Z sąsiady swoimi? Czy nie może z Buryatem? Czasami nawet mnie się zdaje, żem i ja urodził się „russkim“... Chyba jeśli człowiek kiedy niekiedy usłyszy jakie polskie słowo od którego wychodźcy z naszych stron, no, to przypomni sobie, że nie zawsze siał i uprawiał rolę dla gęby „russkiej“.

— Jednak wy, o ile się domyślam, będziecie... z powstania listopadowego?... Przecież nie od tak dawna jesteście tu, jak ja?...

— Co z tego! — dodał gospodarz — Ale wy nie macie żony, któraby wam wychowała dzieci „russkie“? A ja? Ot! człowiek był głupi! Myślał sobie, że gdy się ożeni, będzie miał rodzinę swoją, tak samo, jak inni na

świecie. A tu sam prawie już został „russkim“... Et! co o tem gadać!... Było, tać przeszło! A teraz żyj tu na sybirskiej ziemi, pracuj, i kłóć się o to, czego już nie będzie.

I obaj sposępnieli. Stary poznał, iż ma przed sobą człowieka, który niegdyś walczył za Ojczyznę — a zagnany w Sybir przez wroga, wycierpiał najpierw katusze katorgi, następnie na „posieleniu“ ożeniwszy się z kobietą innej rasy, myślał, że zostanie ojcem polskiej rodziny: tymczasem zaś przyczynił się do powiększenia ludności, wrogiej swemu narodowi.

Mimo że gospodyni gościnna zajęta koło kuchni starała się, by niczego gościom dla wygody nie zabrakło, nie mógł jakoś stary wrócić do zwykłej pogody umysłu. Posiliwszy się nieco, odszedł na spoczynek. Rano zaś gawędziliby jeszcze dłużej, ale Sara spieszyła, musieli więc pożegnać właściciela. Żegnając się z nim był stary markotny — gospodarz zaś ściskając go za rękę nic nie mówił, ale był jakoś bardzo smutny, na żonę i dzieci pozierając jeno z goryczą.

Wędrowcy ruszyli w dalszą drogę.

Wiele jeszcze dni przeszło, zanim droga ich zaczęła się podnosić na nowe wzgórza i nowe wysoczyzny. Pokazał się znowu świat górski, nie taki jednostajny, ale za to bardziej męczący. Lecz matka słyszała, iż za tymi górami będzie właśnie to miasto, w którem mają już szukać syna. To przyspieszało jej kroki. Już i przedtem każdy zawsze wypoczynek stawał się dla niej przydługim Ciągle się jeno pytała, zali jeszcze daleko ów Werchnoudyńsk, w którym będzie jej dziecko. Ach! gdyby Bóg dał, żeby on już był w tem mieście! Ona już się nawet

widziała z nim w myślach, pieściła jego obrazem. Ach! co to będzie za chwila, kiedy ją ujrzy nie spodziewając się, i rzuci się w objęcia matki! Ona na myśl tę drżała z rozkoszy. Spieszyła przeto z gwałtownością starego, zapewniając, że ma dziś dość siły do szybszego pochodu.

Dość jednak jeszcze czasu upłynęło, zanim się przed ich oczyma roztoczyła okolica bardziej malownicza — i świat zaczął się wydawać jakiś inny, świeższy.

Wszystko wskazywało, że się zbliżają wśród świata górskiego do jakiejś wielkiej w dolinie rzeki, do której wszystkie zdybywane po drodze zdają się spieszyć potoki. To ją jeno trwożyło, jak oni wodę tę wielką przebędą, lecz stary ją pocieszył, że, o ile on zapamięta, Werchnoudyńsk po tej właśnie stronie będzie rzeki. To ją uspakajało.

Zdala widać teraz było głębię między górami z jednej i drugiej strony — zieloność stawała się coraz bujniejsza, drzewa coraz wyższe i rozkoszniejsze, ale miasta jeszcze nie widać. Nareszcie za jednym z zakrętów w dali coś zabłyszczało. To Selenga, zabierająca wszystkie w tych stronach wody — a nad nią będzie właśnie to miasto!

Kobieta teraz goniła starego, jak mogła. Ledwo się dźwigała, mimo to siliła się z gwałtownością do pospiechu. Stary musiał uważać, ażeby towarzyszka była w stanie dowlec się do miasta, dlatego zatrzymywał się chwilami, udając, że zdążyć nie może, gdyż bardziej od niej słabnie. Ona wtedy była zatrwożona, chciałaby mu pomódz, sama siły nie mając.

Niebawem na drodze ruch pokazywał się nieco większy. Częściej już zdybywano człowieka z poblizkich

siół dążącego do miasta. Każdego próbowała kobieta pytać się, czy jeszcze daleko do miasta, i czy tam są koszary, w których syn jej będzie. Że są tam koszary, a nawet i twierdza, wojsko regularne, jak i kozaki, to pewna — odpowiadano jej; ale czy tam będzie syn jej — tego nie można wiedzieć.

Nareszcie zaczęły sie pokazywać małe domki, kryte dranicami, a koło nich ogrody zasadzone marchwią, burakiem, tu i ówdzie ziemniakami. Kobieta rada, że już są u celu, dźwigała się, jak mogła, i ciągnęła z gwałtownym pospiechem, tak, że stary ledwo za nią mógł zdążyć. Ale te domostwa ciągnęły się na jej utrapienie — za wielkie je jak dla niej przedzielały łąk i ogrodów przestrzenie. Nakoniec większy nastał ruch. Kroczyli już żołnierze, kupcy, maszerowały całe oddziały, przechodził tu i ówdzie czynownik, sztywny, butny, lub oficer, którego wyprężeni nakształt struny salutowali szeregowcy — i pokazały się większe budowle, w których były sklepy, mieszkali czynownicy; — nad wszystkimi zaś gmachy dominowała cerkiew i twierdza z koszarami a więzieniem.

Na jej widok mocniej zabiło w piersiach matczynych. Tam będzie on, za którym tyle dni płakała! On teraz w tym gmachu — zamknięty przed oczyma rodziców! Tam go dręczą i każą obchodzić się bez matki i ojca. Ale on ją teraz zobaczy... i pozna, że go nie opuścili kochający rodzice. Co to będzie za chwila, gdy się rzuci w objęcia matki!

IX.

Atoli przedtem należy wyszukać jeszcze sposób, ażeby się módz tam dostać.

Stary, bardziej przytomny od matki, rozbierając w myślach, jakby się tamże dostać, próbował wpierw się dowiedzieć, czyli są tam ninie dzieci jakie w szkole wojskowej...

Nagabnięty zatem pierwszy przechodzień, mieszczanin jakiś, popatrzył się na obojga zdziwiony nieco, i tylko odmruknął:

— A kto to wiedzieć może?... Tam przecie nikt z nas nie chodzi? To ostróg.

— Wiem-ci, że ostróg — odrzekł stary — lecz są tam nie tylko działa i żołnierze, lecz znajdą się i warsztaty, tać i różni rzemieślnicy... będzie bo i szkoła na przyszłych żołnierzy carskich. Biorą przecież dzieci Buryatów i tunguskie?

— Anu, może — odmruknął przechodzień — Ale ja tam nigdy nie byłem.

I poszedł, jakby niechętny, że go tem zaczepiono.

Stary zauważał, iż kupiec jaki prędzej oświeciłby go, gdy nieraz w stosunki wchodzić musi z oficerami, a choćby z jakim podoficerem... Zdybawszy przeto wkrótce człowieka, który wyglądał na kupca, zagadnął go o ostróg i koszary, lecz ten popatrzył tylko na nich obojga, i nic nie mówiąc poszedł dalej, niechętny, że go tem zaczepiono.

Stary poznał, że tu nie łatwo przyjdzie dowiedzieć się, do tego nie dobrze trafił na pierwszego, kobieta zaś była w dręczącem ją tylko oczekiwaniu.

Wchodzili potem do kilku sklepów, gdzie się dowiedzieć mogli, iż ostróg ten to niemała twierdza i dużo tam ma być żołnierza; są również więzienia i kazamaty, do tego pełno aresztantów różnych stopni... Będą nawet szkoły wojskowe, gdyż nie raz i nie dwa wiedziono tam dzieci nieletnie.

Na te słowa o szkołach i dzieciach mocniej zabiło serce u matki. Ona chciałaby się czemprędzej dowiedzieć, czy i syn jej pomiędzy innymi tamże będzie?... Lecz stary jej wytłómaczył, że to nie tak prędko da się wywiedzieć: należy tylko postępować uważnie.

Gdy tak się oglądano za takim, któryby więcej coś powiedział, nadybali jednego z podoficerów.

Stary wnet go pozdrowił i wszedł zwolna w rozmowę — a słowo po słowie zaprosił go do konaku. Podoficer chętnie poszedł — a widząc przy sobie człowieka, który go zdaje się potrzebował, rozkazał sam nawet podać szynkarzowi flaszę z wódką, a mocniejszą.

Wziąwszy ją do rąk, zawołał do starego: — *Na zdorow wasz, kamrad!*

I zaczął łykać wielce spragniony. Zmniejszywszy zawartość flaszy, podał staremu, lecz ten nieco spróbowawszy na bok odłożył.

— A to jak? — rzekł wojak carski — Wy byli także wojak, chocia nie „sprawiedliwy“ carski, ale zawżdy wojak... Ta jak bo? Albo to wasze Laszki nie chłopy, wódki nie piją, ino może mleko? Hm?...

— Ano pewnie, że piją — odpowiedział stary. — Ale dzisia... to chciałbym poczęstować was, bo wy pierwszy człowiek w tem mieście, z którym można zamienić słowo jakie...

— No, pewnie, pewnie... I na potwierdzenie tego wyciągnął rękę po flaszę, z której resztę wypróżnił.

Stary się odezwał: — Wy najlepiej nam powiecie, czy jest tam dziś w twierdzy tej szkoła jaka wojskowa?...

— Ano jakby nie było?... Batyuszka przecie potrzebuje saldatów... No, ale wierzaj mi kamrad, co ja ci powiem. — Tu się bliżej podsunął, do ucha szepnąwszy: — Ta co to one dzieciska Buryatów, taj Tatarów! Toć furda, co tam to mustrować!... Ot, będzie chyba tylko futraż na harmaty!... Człowiek bo nie był w żadnej szkole, a zna komendę, jak się patrzy, i drugich uczy...

Teraz odezwała się kobieta już niespokojna:

— Ach! proszę was, panie wojaku, powiedzcie nam, czy tam są tylko dzieci Buryatów i Tatarów... a innych niema?...

— Ta jakby i inne być nie miały? — odrzekł spojrzawszy na nią żołnierz carski. — Alboż to, car nasz batyuszka będzie wam składał armie z samych Buryatów, ano może z plugastwa tatarskiego? A inne, to bo na co się rodzi? My bierzemy, co nam potrzeba — dodał pewny swojej godności. — Nam tak już dał sam car. A czy ty, kobieto moja, masz może jedno, tać choćby dwoje, którebyś nam oddać chciała?... He! he! Ale ty mnie nie oszukasz — dodał śmiejąc się łaskawie. — Ty nam nie chcesz dać... Ale... bo... panie *szynkar* — wtrącił oglądając się za przynoszącym drugą flaszę. — Tak... to lubię... bo ja nie mogę gadać, gdy sucho w gardle. — I wypiwszy połowę flaszy podanej mówił dalej do kobiety: — Ho! ho!... Ja-ci rozumiem... Ona

ma tu już swojego, któregoby chciała zobaczyć? No, nie odgadł-ci ja... Ho! ho! mnie nie oszuka!...

— Ach! dobry panie wojak! — zawołała kobieta. — Ja wiem, że wy nam pomożecie... Wy nas do niego zawiedziecie, bo co ja?... Biedna kobieta... a ten stary, to dobrodziej mój najlepszy, co się ulitował nad matką nieszczęśliwą...

I zaczęła rozwodzić się ze łzami.

— No, no, poczekaj *newisto*... może to się i uda — rzekł żołnierz carski. — Ale wy... nie będziecie przecie z Buryatów, no, ani z Tatarów... Ano i pewnie, że nie russka?...

— A czy są tam, człecze dobry... dzieci tutejszych żydów? — rzekła wyczekując z obawą odpowiedzi.

— A czemuby i żydów być tam nie miało?... Żydowskie, to one wszystkie do cara należą... No, to każe wszystkie zabierać... A! tak... Czemuby nie miał kazać, gdy mu się tak spodoba?... Toż dzieci wasze do nas należą... Ano car będzie miał i z tego sałdata dla armii...

Kobieta drżała na wieść, iż on tam będzie w warowni. W rozdrażnieniu nie mogła się rozmówić z żołnierzem carskim. Od chwili już przemyśliwał towarzysz jej, z jakiej beczki terazby się zabrać do żołnierza carskiego, aby wydobyć, czego im potrzeba. Atoli wchodząc w niego coraz więcej, tyle tylko od na pół już pijanego mógł się wywiedzieć, że jest tu w twierdzy szkoła taka na prawdę, i że są tamże dzieci zabierane rodzicom. Czy zaś między niemi będzie również i syn Nuchimów — o tem on nie umiał powiedzieć; lecz przyobiecał sprowadzić nazajutrz takiego kolegę, który właśnie użytym bywa do mustrowania dzieci. A ten będzie znał ich

wszystkich, powie zatem, czy się tam teraz znajduje taki, o którym oni chcieliby się wywiedzieć.

Kobieta noc tę miała pełną niepokoju. Ani oka nie zmrużyła, ciągle w myślach rozbierając, co dopiero z rozmowy żołnierza carskiego zasłyszała. Każda minuta nocy tej była dla niej strasznie długa: czuła mękę wyczekiwania.

Kiedy nastał ranek, nic do ust wziąć nie chciała, zanim się o synie nie dowie.

I tak oboje, czekając dzień jeden i drugi, dowiedzieli się nareszcie, że syn Nuchimów był tutaj w samej rzeczy, przez całe trzy lata, i nieco go wyuczono; od blizko zaś roku wywieziono go wraz z innymi do stolicy gubernii, do — Irkucka. Tam poszedł do głównej szkoły, większej, w tamtejszej twierdzy.

Usłyszawszy to matka mocno sposępniała. Ona tak już była pewna, że go tu obaczy, w tem mieście — a teraz się dowiaduje, iż on w innem jest mieście, większem, do którego daleka stąd droga.

Matka rozpaczała, bo stary nie miał ochoty dalej z nią ciągnąć, — a nawet i nie wierzył, iżby ona dalej zajść mogła. Lecz nieszczęśliwa, zrozpaczona, błagała go, ażeby ciągnął jeszcze dalej, gdyż ona pójdzie za synem, choćby i na koniec świata. Jeśli po drodze padnie, podniesie się i będzie czekała, póki dalej iść nie wydoła. Stary widział tu prawie niepodobieństwo, lecz jako dawny żołnierz, próbujący niejednego, pomyślał tylko sobie: „Ha! co robić! przeszło się już tyle drogi, przejdzie i dalszą. Wracać do Czyty, i tak nie przyjdzie łatwiej, jak dalej dążyć do Irkucka. Człowiek zawsze boryka się z życiem; dobrze, że się choć dowiedzieli, iż on żyje, i gdzie jest właściwie".

X.

Po przymusowym kilkudniowym wypoczynku wybrali się w dalszą drogę.

Wyszedłszy z miasta stanęli już wkrótce nad Selengą. Roztoczyła się przed nimi w dal, groźna, szeroka, tocząc fale po falach. Oboje zeszli w dół, gdyż jej łożysko wysokie miało brzegi. Koło wody stało nieco ludzi, czekając na prom, zanim z przeciwnego brzegu nazad powróci.

Po niejakiej chwili przeprawili się wraz z innymi, i byli już na tamtym brzegu.

Droga wznosiła się w górę. Zrazu szło się nieźle. Były jeno po dolinach, po parowach, wsie chłopskie i gospody; dalej zaś, jak się zaczęły wznosić zwolna coraz wyższe góry i coraz większa nastawała dzicz: pustynność okolic straszniejsza ich objęła, niżeli nawet dotychczas. Świat to pełen grozy. Ale za tem wszystkiem będzie syn jej? Matka odważy się na wszystko.

W samej rzeczy inny teraz świat i góry inne, bardziej dzikie a porozrywane, mimo to stoki czerniały gęstym lasem. Wiało ku nim zimne, wilgotne, przejmujące do kości powietrze; prócz tego czuli wszędzie pleśń jakąś grzybową.

Im dalej postępowali, tem trudniejszą stawała się droga, pnie całe butwiejące, powalone wichrami, przegradzały im drogę, z trudnością musieli przez nie przełazić. Gdzie zaś nie było sterczących korzeni drzew starych obalonych wichrem i piorunami, tam musieli krwawić stopy po złomach, ciągłych złomach, lub sunąć się wraz z kamieniem po zsuwającem się usypisku. Czasem droga im

znikła, zawalona pniami i siecią gałęzi, przez którą przejść było niepodobna — wtedy schodzili na prawo, na lewo, usiłując obejść drogę... W takie zaś zaszli nieraz zapadłe bezdroże, iż zapadając powyżej kolan, z wielką jeno forsą nogi swe mogli wyciągnąć. A do koła nich straszna wiała pustosz, i było coś złowrogiego w powietrzu, jakby się jakaś tam rozpacz rozlała; kiedy zaś ptak jaki zakrzyczał, albo ryś między gałęziami okiem zerknął, niepewny, czy skoczyć, czy uciekać: wówczas byli nawet radzi, że tu przecież coś żyje w tej pustoszy. W niektórych miejscach leżała na ziemi prawie chaotyczna masa pni poobalanych, jeden na drugim, to w poprzek, to sterczących do góry, i w takim nieładzie, jak gdyby tu straszna jakaś odbyła się rozprawa między drzewami przy pomocy wichrów i piorunów. Gdzieindziej znów leżały od dawna gnijące już tylko drzew trupy, porosłe mchem ślizkim, zielonym i grzybami, rozsypujące się, żywiące gnijącem swem cielskiem całą sieć zielska płużącego w tej zgniliźnie trupów.

W takim pochodzie musieli oboje osłabnąć. Nieraz przychodziło im nocować pod osłoną sterczących korzeni wywróconego jakiego olbrzyma, czasem sklecono na nocleg na prędce szałas z pieńków i kory brzozowej, aby jakoś oprzeć się w nocy srogości powietrza. Bo choć się gdzieniegdzie pokazywały tutaj ułusy Buryatów, to były one tego rodzaju, iż każdy prędzejby je ominął, niżby miał tam ochotę wstąpić. Po parowach zapadłych nad urwiskami w największej dziczy pokazywały się tu i ówdzie szałasy Buryatów, lecz nasi wędrowcy czemprędzej je mijali.

Pochód podobny do tego musiał doprowadzić, że dalej iść było już im niepodobna. Kobieta, wlekąc się,

padła nareszcie, i musiano dzień cały przeczekać, zanim się podnieść zdołała i dowlec do najbliższej przy drodze osady...

Ale co to była za osada!... W dziczy lasowej na zboczu urwistem ciągnęły się szałasy Buryatów. Stary wiedział, iż do jednego z nich wejść im przyjdzie, bo kobieta bez posiłku i wypoczynku dalej już nie pociągnie. Przechodząc koło różnych dziko wyglądających odważyli się wejść do takiego, który zdawał się być względnie lepszym.

W dymie zapełniającym całe wnętrze mieściła się tam wszystka rodzina. Gospodarz śniadawy o zarzuconym w tył na głowie warkoczu, siedział z podłożonemi pod siebie nogami kurząc lulkę, kobieta, cała odarta, podobnej jemu cery, zajęta była koło kociołka, w którym się warzyła jakaś strawa, dzieci zaś, bardziej czarne od ojca i matki, brudne, na pół nagie, na widok obcych kryły się w kąty z wystraszonemi oczyma. W takim szałasie poprosił stary o nocleg i wypoczynek, gdyż towarzyszka jego zupełnie osłabłszy dalej iść nie mogła.

Domowi nic nie mówiąc, ani się wiele zajmując obcymi, nie bronili im tutaj pozostać. Stary nasz usiadł próbując się ogrzać przy ogniu — kobieta zaś padła na zasłanym tam kożuchu, i tylko stękała po cichu, prawie chora z wysilenia.

Gospodarz niewiele zwracał na nich uwagi. Buryatka zaś, naskrobawszy do kociołka z cegiełki herbacianej, dodała tam jeszcze soli, tłuszczu jakiegoś obrzydliwego i skwaśniałego mleka. Gdy się to razem ugotowało, przysiadł się gospodarz, przybiegły wnet z kątów dzieci, zgłodniałe by wilczęta; nareszcie wylazł z całej

kupy kożuchów baranich stary i ślepy dziad, którego dotychczas przybyli nie spostrzegli, i zaczął się dobijać do jadła — lecz dzieci go odpychały, on też nawzajem łajał głosem piskliwym bijąc po łbie wnuki swoje.

Gdy się już cała rodzina nasyciła, podała następnie gazdyni naczynie z tą juchą wędrowcom, lecz nasz stary poprosił zamiast tego o trochę mleka. Następnie odłożyła ona na bok naczynie ze swoją herbatą, i odeszła chmurna po to mleko, które niebawem koło ognia postawiła.

Wędrowcy wkrótce nieco się posilili, bardzo zaś pomęczeni, nie bacząc już nawet, w jakiej chacie, niebawem posnęli.

Dnia następnego nie mogła się dźwignąć kobieta. Musieli zatem jeszcze pozostać. Towarzysz jej chcąc nie chcąc zastosował się do tego. Widząc zaś niechętnych gospodarzy, wyjął z zanadrza dla zachęty dwie kopiejki, i dał je Buryatom, którzy teraz z ciekawością na niego patrzali. Gazdyni zerknęła okiem znacząco na swego gazdę — i odtąd więcej zaczęli się oboje zajmować gośćmi, uważając bacznie na wszelkie ich kroki.

Po drugim noclegu było już nieco lepiej kobiecie, lecz jako osłabłej wypadało jeszcze wypocząć. Stary miałby ochotę dalej wyruszyć, gdyż nie bardzo mu się podobała mina domowników w tym szałasie, — chwilami bowiem oni zanadto ciekawie obcych śledzili, będąc zrazu na nich obojętni.

I gdy się wędrowcy pokładli, aby usnąć, nie myślał już wcale stary zasypiać, lecz udając śpiącego, z pod oka uważał Buryatów. Ogień coraz ciemniej zaczął goreć, wtedy słyszał stary, jak Buryaci coś do siebie szeptali; gdy zaś chwilami jaśniejszem światłem błysło ognisko,

wówczas spostrzegł ich twarze nic dobrego nie wróżące. Poznał przeto, iż tu zostawać dłużej — nie bardzo byłoby bezpiecznie...

Kiedy wkrótce Buryaci nieco się za szałas oddalili, stary, obudziwszy czemprędzej ostrożnie towarzyszkę, kazał jej być w pogotowiu, bo tu gospodarze coś niedobrego zamyślają.

Kobieta zatrwożona z pospiechem się zebrała — stary zaś widząc, że kij jego sękaty, podróżny, zabrano mu, poszedł czemprędzej wyszukać innego po nocy; wróciwszy zaś zastał gazdynię zdziwioną, że chora wstaje.

— Ot, iść dalej musimy — rzekł stary — bo-ci nam spieszy... Kobieta moja już przyszła do sił... teraz więc dziękujemy wam za gościnę.

— Przecie po nocy nie pójdziecie dalej? — odmruknęła gazdyni pozierając po obojgu z pod oka, a szczególnie patrząc na kij sękaty w ręku obcego.

— Ha! musimy... Bo dziś właśnie czekają tam na nas...

— Kto taki? — zapytała ciekawie.

— My mamy swoją umowę — rzekł dwuznacznie.

Na to nadszedł ze dworu gazda, niepewnym po obcych pozierając wzrokiem.

— Oni chcą już bo odchodzić — rzekła do gazdy żona — a mąż patrzał niepewny, jak gdyby przemyśliwał, coby teraz począć...

Nareszcie mruknął: — A... na co... wam kostura takiego?... Tu niema zwierza drapieżca...

— Ktoć wie! — odrzekł stary nasz. — Może być w lesie zwierz, a może gorszy zwierza człowiek... to się niczego człek nie boi, zwłaszcza kto był żołnierzem...

— Wy byli żołnierzem?...

— A tak, carskim żołnierzem... niejednemu ja łeb jednym-ci odciął zamachem, ale i kosturem to da się czerep rozszczepić, że tylko drygnie... A tak!

I tu pokazał siłę w ręku, choć z niemałą dla siebie forsą.

Buryaty spojrzeli po sobie.

— Ale gdy my was poprosimy — rzekł Buryat — dacie nam na odchodnem nieco kopiejek, albo tak i rubla?...

— Ha! żeby to człowiek miał!... Wczoraj dał wam ostatnie dwie kopiejki...

— Co on mówi? — szepnęła po cichu żona do męża.

— Mówi, że już nie ma ani jednej kopiejki — mruknął mąż.

— Należałoby spróbować — szepnęła Buryatka.

— Było nam się prędzej uporać!... Ale... poczekaj no jeszcze...

Tu zwrócił się do wędrowców, i rzekł na pół proszącym a na pół grożącym głosem:

— Ale dacie nam... bo my tu w naszych górach nie widzimy grosza?...

— Proście takich, co mają, ale nie nas...

Mówiąc to, rzucił im jeszcze za ich gościnność trzy kopiejki.

Oni patrzali, niepewni, co począć. Stary tymczasem odszedł z towarzyszką swoją.

Księżyc świecił na dworze, widzieli przeto dobrze przed sobą drogę, mając ciągle na oku Buryatów z szałasu, którzy jeszcze stali, jakby niepewni, co począć. Lecz wędrowcy nasi byli już na bezpieczniejszej drodze, mimo

to zawsze jeszcze stary uważał, czy się gdzie Buryat z za drzew nie wychyli.

Szli pospiesznie — mijając już inne szałasy buryackie.

W dniach następnych zdybywali w tej dziczy górskiej, to kupca jakiego na koniu, to posłańca gramolącego się krótszą drogą, czasem żołnierza wracającego do domu...

Po niejakim czasie mocno się już obniżyły góry, a równiejsze między pasmami przydrożnemi pojawiały się wysoczyzny, zieleniejące, to łąką, to pasem zboża. Tu i ówdzie pokazywała się bujniejsza roślinność. Droga zdawała się nawet lepszą — a gdy się dalej pokazał piasek, roślinność znów była uboższą, — aż nareszcie weszli na nizinę moczarowatą, przytykającą już do szerokiej wody jeziora. Góry się wtedy więcej rozstąpiły, przechodząc na prawo w niższe wzgórza; na lewo zaś wznosił się zdala ku południowi wyższy, groźniejszy, świat górski — bielejący płatami śniegu — sterczący w górę masą kopców chmurami owiniętych.

Byli już w samym Posolsku po nad Bajkałem. Szereg nizkich, mizernych, rozciągał się domostw drewnianych, nad któremi dominowała tylko cerkiew ze swoją kopułą zieloną, jaskrawo pomalowaną. Wszystko zaś tu wskazywało, iż to świat nadwodny, żyjący rybą.

A kiedy parę kroków dalej postąpili, widzieli przed sobą jezioro — ogromne — bez końca — pełne grozy iście morskiej. Fale po polach rozchodziły się w dal, której końca nie zobaczył.

Stary widział już Bajkał — i Sarę niegdyś tędy wieziono, kiedy towarzyszyła mężowi swemu na wygnanie: Bajkał, mimo to, napełniał zawsze grozą. U brzegu pływały

łodzie Buryatów, przebywających w budach pobrzeżnych dla łowienia ryb, — lecz na statek żaglowy przyjdzie jeszcze, jak im mówiono, parę dni przeczekać.

Wędrowcy nasi przyjąć tymczasem musieli gościnę u jednego z Czerkiesów, którego tu zagnano za boje kaukazkie; lecz Czerkies ten, mając połowicę moskiewkę i od niej dzieci, prawie już się zmoskwicił, — wspominał mimo to czasami z westchnieniem o tem, co dla niego przepadło na zawsze.

XI.

Nareszcie nadszedł dzień, w którym miał wędrowców naszych wraz z innymi zabrać statek wielki żaglowy.

Łodzie już czekały u brzegu, które na płytszej wodzie służą do przewożenia podróżnych na statek. Kobieta z towarzyszem swoim siadła zatem do łodzi, z obawą pewną patrząc na wody, roztoczone szeroko i daleko.

Buryaci pozierali ze strachem w oku, szepcąc ciche słowa modlitwy i bijąc pokłony przed groźnymi duchami Bajkału. Tak samo moskiewskie mużyki i śmielsi zawsze kupcowie pełni dziś byli jakiegoś poważniejszego nastroju duszy, tylko sternik i komenderujący wojskiem oficer miał minę zuchwalszą, hałasując na żołnierzy, ustawiających się w przepisanym porządku. Żołnierze, tak samo, jak i Buryaci, poglądali na wodę z obawą, bojąc się, żeby

słowem jakiem „świętego“ podług nich „morza“ nie obrazili, którego strzegą dobre i złe duchy.

Statek już się posuwał — brzegi jeziora coraz się więcej oddalały... Ku wschodowi ciągnęły się jeszcze wzgórza nabrzeżne, tu i ówdzie poszarpane, lecz ku południowi w oddaleniu, wznosiła się w chmurach jakaś ogromna, spiętrzona, masa kopców, spływając wraz z niebem w górze posępnem. Zresztą nic nie było widać, oprócz wody, bezbrzeżnej — bez końca się ciągnącej.

Poważna ninie zapanowała na statku cisza, w której tylko słychać było tu i ówdzie ciche szepty modlących się Buryatów, albo czasami nieśmiałe, na pół głośne jeno słowa innych podróżnych. Stary nasz wędrowiec, patrząc się na wody te dalekie, spokojnie teraz falujące, rzekł z cicha do jednego z bliżej koło niego stojących Buryatów:

— „Tać bo to wasze jezioro, wielkie na prawdę, jak gdyby morze“. — Lecz Buryat spojrzał na niego z ukosa, z pewnym strachem — i zaraz się nawet usunął. A gdy Buryata drugi jego ziomek zapytał, co doń mówił ów obcy, wtedy z niemałem zgorszeniem zagadnięty szepnął tamtemu do ucha: — Niechaj nas strzegą duchy „świętego morza“ przed głupotą owego człowieka, który wyrzekł coś nierozważnego.

Stary nasz spostrzegł, iż odtąd poczęli się usuwać od niego Buryaci, jakby od przeklętego, pozierając tylko nań z pod oka podejrzliwie. Nawet już teraz i od jego usuwano się towarzyszki.

Gdy się niebawem zaczęły mocniej nieco fale na wodzie poruszać, Buryaci z obawą poglądali na wodę, — a kiedy wzrok ich padł na towarzysza Sary, wówczas widoczną była niechęć ich ku niemu, i pewna nawet

nienawiść. Potem coś między sobą szeptali. Gdy zaś wiatr zaczął się ruszać, wtedy obawy one Buryatów udzieliły się widocznie również i ludności „russkiej". Sternik z posługaczami próbowali teraz częściej siłę lin okrętowych. Lecz wiatr, dotychczas nieznaczny, znowu się uciszył, ustało też również i szeptanie owo na pokładzie. Widać tylko było, że się ten i ów z Moskali żegnał. Buryaci znów odprawiali modły swoje, widocznie, jak gdyby zażegnać co usiłowali.

Tymczasem znikły zupełnie brzegi wschodnie, z południowej jeno strony bielała jeszcze czas niejaki owa chaotyczna grupa kłębiących się chmur, coraz już bardziej niewyraźna, aż nareszcie całkiem gdzieś przepadła... i podróżni zostali tylko wśród wody — bezbrzeżnej. Na prawo — na lewo — przed sobą — za sobą — nic nie widziano, tylko masę wody. Wszyscy uczuli, że teraz zostali oddani potędze żywiołu, w obec którego siły ich nikną.

Przeszedł tak czas niejaki. Powoli zabrano się do zwykłego zajęcia. Żołnierze zaczęli śmielej gwarzyć, kupcy rozprawiali o swoich interesach, z kabiny rozchodził się gwar i kłótnie grających w karty. Wędrowcy nasi byli lepszej myśli, stary gwarzył nawet weselej z kilkoma bliżej koło niego stojącymi. Spokój zdawał się teraz nad wszystkiem tu panować, a fale na wodzie ledwo się marszczyły. Tylko od strony północnej pokazywały się czasem chmurki, małe, nikłe, nieco ciemniejszej barwy... Sternicy poglądali ku tej stronie, a gdy chmurek tych więcej napływało, zdawały się one być nieco im podejrzanemi. Lecz inni nie zwracali na to uwagi.

Po niejakim czasie, ni stąd ni zowąd, nieznacznie zebrała się na północy chmura, ogromna, czarna — i za-

częła się coraz bliżej posuwać. Cisza była w powietrzu wielka — najmniejszego nie dosłyszałby wiatru. Ludzie zaczęli się już żegnać... Powoli fale po falach coraz większe napływały, okręt mocniej się kołysał — wszystkich opanował przestrach i trwoga. Między Buryatami nastało teraz poruszenie, pomruk i szeptanie coraz tam stawało się głośniejszem, gwałtowniejszem: z gniewem i nienawiścią wskazywali na wędrowca naszego, który tego nie mógł pojąć... Mimo to trwoga go jakaś niepewna objęła i jego towarzyszkę, jakby się co stać im miało złego.

Tymczasem okręt mocniej się zakołysał, sklepienie niebios było całe czarne — jakaś okropna godzina zdawała się przybliżać. Teraz już i między załogą moskiewską nastało poruszenie. Wszystko spoglądało ze strachem na wędrowca naszego — i głosy dawały się już słyszeć: „To on przyczyną, że się Bajkał teraz gniewa, święte nasze „morze!...“ On to, on, który obraził je nazwą... *Gaspadine Boże!* nie daj to wypowiedzieć!...“

Teraz było dopiero jasnem staremu, że on niebacznie Bajkał nazwał „jeziorem“, co już nieraz pomściło się na ludziach. Bajkał żąda ofiary! duchy jego straszne nasyłają teraz burzę... Jeśli ofiary tej nie damy „świętemu morzu naszemu“, to przez winę obcego człowieka wszyscy dziś zginiemy!

I coraz głośniej wołając ściągali się do komendanta załogi, żądając, ażeby im wydał człowieka tego dla przebłagania Bajkału.

Komendant zaś kazał im wrócić na swoje miejsce. Odchodzili niechętni, mrucząc, lecz uspokoić się nie mogli.

Wędrowcy nasi w okropnej byli trwodze a niepewności, gdyż wielkie groziło im niebezpieczeństwo. Kobieta zbladła, i krew zdawała się jej zastygać. Bo oni tu sami wśród tego okropnego ludu, który choć się niby uciszył, lecz zawsze poziera ku nim z ponurą jakąś nienawiścią.

W tem wicher zaryczał mocniejszy, okręt się gwałtowniej zakołysał... Okrzyk trwogi powstał straszliwy na statku... Bałwany ogromne podniosły się rzucając na okręt, jakby go usiłowały rozszarpać z całą załogą. Krzyk nastał ogromny — wszystko się zbiegło do starca chcąc go pochwycić i wrzucić w morze... On zaczął się z wysiłkiem bronić, kobieta przerażona ostatnich sił dobywała, by przebłagać rozpasanych namiętnością i uchronić towarzysza; lecz Buryaty byli jak wściekli, żołnierze moskiewscy widoczny bunt już podnieśli, wołając: „Wrzucić w morze! wrzucić! bo zginiemy wszyscy!...“ Roznamiętnienie opanowało wszystkich. Na nic niepomni pochwycili już starca... Lecz wraz zjawił się komendant, a zobaczywszy, co się dzieje, i że tu bunt nastał widoczny, grożący rozwolnieniem dyscypliny — krzyknął tylko: „Paszoł! do swojego! Puszczać!“... Żołnierze stanęli, jak wryci. On dołożył jeszcze surowym głosem: „Pałki! Sukisyny!...“

I wszystko struchlało. Burza huczała coraz groźniej... okręt trzeszczał... Komendant wnet zawołał: „Paszoł! Do lin!... Pomagać sternikom! sukisyny!...“ Posłuszni zabierali się do pomocy sternikom. Teraz kazał starego z kobietą zaprowadzić do wnętrza kajuty. A widząc jeszcze niektórych, oglądających się za tamtymi z mrukiem, przeznaczył ich na pałki, gdy się burza uśmierzy.

Jak pierwej złość i zuchwałość wszystkich objęła Buryatów i Moskali, tak teraz spuściwszy uszy zabierali się wszyscy do ratunku, do przymocowywania tego, co się w statku rozluźniło, raz po raz naprawiając. Moskale żegnali się tylko w strachu potrójnym krzyżem, a Buryaty szeptali jakieś słowa swoje rytualne, aby zażegnać nieszczęście... Chcieli bowiem uprosić duchów Bajkału, usprawiedliwiając się przed „świętem morzem", że tu nic oni sami nie poradzą: gdyż im nie pozwala zastępca na okręcie cara samego. Widoczną musi być wola cara, ażeby ten człowiek żył jeszcze. Skoro zaś tak, wszyscy muszą woli tej być posłusznymi.

I Bajkał nawet uszanował widocznie wolę cara: po paru godzinach okropnych, pełnych grozy i rozpaczy, uspokoił się powoli, puściwszy statek swobodnie. Buryaci i Moskale poznali tutaj wolę, potęgę ich cara, który nie pozwolił oddać człowieka, poddanego swego, Bajkałowi, — a mimo to upokorzyło się nawet i samo ich „święte morze" przed wolą imperatora.

Dalsze chwile przechodziły już w spokoju — i na drugi dzień przypłynął statek do brzegu skalistego.

Zadowolenie było ogólne, bo Bajkał nie tak zawsze przepuszcza statki. Zdarzało się nieraz, że w czasie burzy i niepokojów wyprawianych przez duchy mściwe statek błąkał się dni kilkanaście, zanim go duchy uwolniwszy puściły do brzegu.

Wylądowano w Listwiennicy. Wszystko odetchnęło, czując ziemię pod nogami. I nasi dwoje również byli radzi, że się już skończyła ta podróż morska. A choć teraz mieli przed sobą znowu świat górski granitów i trachytów, wyższy i straszniejszy, niżeli przedtem, jednak

się im zdawało, że się już obyli z tym światem. Przynajmniej teraz ich siła brutalna wody nie pochłonie, ani brutalniejsza ludzi, silących się ratować śmiercią drugich.

Kiedy się drapali w górę, drogą, zasypaną złomami głazów stoczonych ze zboczy granitowych, to założoną zwaliskami drzew poobalanych siłą wichrów i piorunów: wtedy zdawało się im jeszcze od chwili do chwili, jak gdyby się wszystko do koła chwiało, ruchome, jak ta woda, na której przeżyli okropne chwile. Kobiecie w dniu onym, straszliwym, włos na głowie ze zgrozy i przerażenia na prawdę pobielał. Na myśl samę teraz jeszcze mróz ją przechodził... Bo coby ona robiła, gdyby starzec, dobrodziej jej dzisiejszy, przez nią zginął był śmiercią gwałtowną... Ona wtedy sama jedna zostałaby wśród obcych na rozhukanej wodzie z wyrzutem sumienia — zdala od męża, jęczącego w katordze, i syna, narzekającego na matkę, która go na zawsze opuściła.

Dni po dniach przechodziły, nowe, zanim zesłabnięci, z okrwawionemi stopami, dobili się do Irkucka.

Serce w piersiach matki mocniej bić zaczęło, kiedy się pokazały pierwsze domy miasta. Tu ruch był większy, niżeli gdzieindziej. Buryaty, Tatary, to mużyki moskiewskie nieśli produkta swoje na sprzedaż. Maszerowały całe oddziały wojska. Przechodzili oficerowie i w uniformach czynownicy — a nawet zdybywano spacerujących, jakby w jakiem europejskiem mieście. Na rynku zaś rozlegał się hałas i swary kupujących a sprzedających.

Kobieta była ruchem tym całym oszołomiona, lecz wzrok jej padał tylko na twierdzę miasta, ogromną, mocno obwarowaną.

A więc tam będzie jej dziecko?... W takiem miejscu, zdala od swoich, tam młodość dziś swoją przebywa?... I ręce załamała zalana łzami.

XII.

Wędrowcy nasi weszli niebawem do gospody, w której znajdywało się więcej ludzi, może z takich, coby im o twierdzy dali jakie takie wskazówki. Matka była niespokojna o to, co się dowie. Towarzysz zaś jej usiadł i zapalił sobie lulkę.

Ten i ów w gospodzie, ujrzawszy obcego człowieka, chętnego do rozgoworu, próbował wszcząć z nim rozmowę. Stary gwarzył z różnymi — nareszcie natrafił na starego kaprala gadułę. To mu było na rękę. Kazał wtedy, jak zwykle, podać flaszę wódki lepszej, „russkiemu“ żołnierzowi na taki widok zaiskrzyło w ślepiach. Kobieta była jak na szpilkach, lecz stary dawał jej do poznania, że tu trzeba cierpliwości.

Prawiąc o tem i o owem, zapytał się stary nareszcie, czy tam dużo dziś mają wojska w twierdzy...

— Ano jak? — odrzekł kapral. — Ta jakby to było, żeby w twierdzy nie było wojska? To przecie Irkuck, całej gubernii stolica...

— Ja wiem-ci, że tam jest wojsko — mruknął stary — bo go niemało w mieście widziałem... ale czy

w twierdzy irkuckiej będzie i szkoła, gdzieby dzieci na przyszłych żołnierzy ćwiczono?...

Słuchając z natężeniem drżała matka, w nadziei i obawie.

— A jakby inaczej? — odmruknął kapral.

Po chwili dodał:

— O! jest wam tego dosyć... ale nie z każdego będzie bo sałdat, jak się patrzy... He! he! To basałygi, ta drań buryacka, a i Owruczany nie lepsze. Bij to, smaruj po plecach, a to, byle jeno co zwędzić...

— Albo tam jest co do kradzenia? — zagadnął stary. — Przecie z twierdzy nie wolno im wychodzić?

— A tożby było — odmruknął kapral — żeby temu było wolno wychodzić na miasto! Wy bo Lach, toż nie wiecie, co to regulamin nasz. U nas regulamin, co się zwie... A choć to jeszcze nie wojsko, jeno szkolary, to i dla tego jest regulamin. Kradną wam — no, jak się uda... Lecz nie w mieście, ani po siołach. Ono tylko praktykuje w domu... ot! tak, jeden drugiemu co zwędzi. Ale za to rózgi. Bo jeśli umiałeś zwędzić, umiejże i ukryć, abyś wstydu nie robił drugim!... Jeśli teraz cię złapią... no, to i później jako żołnierza będą łapali... a tobo zawżdy wstyd jest dla żołnierza, jeśli go złapią... Umiał zwędzić, a nie umiał-ci ukryć?... Za to należy mu się podwójna kara. Nasz kapitan, to on zawżdy mawia: „Ty sukisyn, psiapara, potrafił zwędzić, a nie umiał schować... Paszoł teraz! sto pałek, że ukradł, a dwieście, że nie umiał schować, i narobił wstydu całej kompanii...“

— A bodaj was! To macie mądrego kapitana, co się zwie, zucha? — rzekł weselej nasz stary.

— Ano pewnie, że mądry on, taj sprawiedliwy, i dba o wojsko, nie tak, jak inni, co sami... no, to... Wy mnie rozumiecie?... Żołnierzowi zaś prawią kazanie, jakby pop na spowiedzi. Sałdat przecie żyć musi... Jemu nikt nie da bumaszki...

Stary, postrzegłszy, że towarzyszka jego dręczy się niepewnością o dziecko swoje, gdy kapral na dobre się rozgadał o czem innem, zagadnął teraz tego w inny sposób:

— No! to wy umiecie na dobrych żołnierzy wyprowadzać młodą czerń buryacką i tatarską... Ale car batyuszka nie z samych Buryatów, ani Tunguzów, urobi wojsko dla siebie?... Musicie mieć i inne chłopięta?...

— Ano jakby ich nie było! — odrzekł kapral. To wy chcielibyście, żeby się człek paskudził tam z pogańskiem jeno bydłem?... Ho! ho! Tam mamy i dzieci mużyków, dostatnich, jak się patrzy... są tam nawet i dzieci podoficerskie, co się wychowują na koszt carski, z łaski dla rodziców... Tak, tak, przyjacielu...

Stary wtrącił teraz od niechcenia: — Słychać, że tam być mają nawet poniewoli dzieci żydów sybirskich, które car każe zabierać?...

Matka siliła się panować nad sobą.

— Czemuby nie miał zabierać?... Czy tylko sybirskich?... Pamiętam, jak bo tego drobiazgu przypędzono tu het aż z Polszczy waszej...

— Z Polski? — powtórzył ciekawiej stary. A kapral dodał:

— No, tak, a jakie to wam było wynędzniałe! Połowa tego nie wytrzymała nawet drogi... Ale to bo niedobre do półku...

— A dla czego car zabiera? — zagadnął stary.

— Ha! taki jego rozkaz... Żydy muszą oddawać, bo to własność carska.

— A onychże z Sybiru jest tam wielu w tej szkole? — wtrącił stary.

— Ta, jakby nie było? — odmruknął kapral.

Kobieta zatrzymywała oddech, on dalej prawił:

— Zrazu to wrzeszczy, płacze, a potem pozna, że inaczej nie będzie. I musi słuchać, bo inaczej rózgi...

Matka drgnęła na te słowa, i łzy stanęły jej w oczach. Kapral na nią popatrzył. Stary nasz wtrącił teraz:

— A czy tam nie będzie chłopiec jaki... syn... Nuchima z Czyty?

— W moim oddziale niema — odrzekł kapral — żydowskie dzieci będą w oddziale mego kamrada...

— Ale tam nas puszczą? — próbowała się odezwać Sara. — Matce... pozwolą widzieć się z dzieckiem?...

Kapral patrzał na nią. Po chwili rzekł poważnie: — To twierdza.

— Ale... — zagadnęła kobieta — tam są dzieci... a jeśli... które ma rodziców?... Ojcu... matce... pozwolą...

Kapral pozierał po obojgu, szukając w mózgownicy swej na to odpowiedzi. Matka była, jak na torturze. Po dłuższej pauzie, odezwał się kapral:

— Ta, czy ja wiem?... Ale ja tam nie widział żadnego ojca, ni matkę.

— Ale w razie, jeśli matka przychodzi zdaleka — wmieszał się stary chcąc pomódz kobiecie — no, aby syna zobaczyć, czy żyje, czy zdrów?...

— Oho! czy zdrów — odmruknął kapral. — Tam każdy musi być zdrów... Już to o to niech się nie boi... A jeśliby zasłabł... no, to w fortecy jest doktor, jest i szpital. Ale wierzcie mi, pal dyabeł doktora i szpital! między nami powiedziawszy...

— Lecz jeśli kapitan przekona się, że matka niczego więcej nie pragnie, jak tylko zobaczyć dziecko swoje, którego dawno nie widziała... no, i dziękować im za łaskę, że będzie kiedyś carskim żołnierzem, sługą? — zapytał stary.

— Jak to, kapitan? — wtrącił kapral zdziwiony.

— Jeśli nie kapitan, to możeby major? — pytał stary niezbity z toru.

— Ani nawet major nie ma tam do tego rozkazu — rzekł poważnie kapral.

— Ale sam komendant, mógłby pozwolić? — wtrącił stary.

— Komendant? — odpowiedział kapral bardzo poważnie. — Komendant? — To on wszystko może. Ale co ty myślisz, Lachu? To przecie generał, i generał carski.

— Ja też rozumiem — dodał stary. — Ale jakby się do niego dostać?

— Na! czy ja wiem-ci? — odmruknął kapral. — To generał! Na piersiach chresty! A jakie?... Czy ty widział kiedy, Lachu, takie chresty?... Jemu chresty dali w Petersburgu. Sam car batyuszka własną ręką mu przypiął.

— Ale, wy nam poradzicie, jakby to się dostać do samego komendanta — rzekł stary.

— Na! ja tego już nie wiem — odpowiedział kapral.

— No, no, pomyślimy! — dodał stary i wskazał ręką, żeby podano flaszę, a z mocniejszą.

Gdy „russki“ kapral zoczył przed sobą flaszę, zabrał się do niej. Wypiwszy zaś szukał w mózgownicy swej sposobu, jakby im na to powiedzieć — nareszcie odezwał się:

— Tu trzeba dobrze pomyśleć i nie z jednym pogadać i poradzić się, bo generał, to nie kapral, ani feldfebel... On nawet kapitany i majory w gębę bije, jeśli mu się co nie podoba. Ale kobietę... no! to on za wielki, ażeby się nad tobą pastwił...

Nareszcie na tem się skończyło, że kazał przyjść staremu nazajutrz do gospody; obiecał bowiem dowiedzieć się od swego kamrada, w którego oddziale najwięcej jest Buryatów, Tunguzów, a i żydowskich dzieci — czy w samej rzeczy taki a taki chłopiec z Czyty, jak go opisano, tamże się znajduje.

XIII.

Przez całą noc potem matka nie zmrużyła oka.

Gdy się nazajutrz zeszedł towarzysz Sary z kapralem swoim, otrzymał pewną wiadomość — że chłopiec dawny Nuchimów w samej rzeczy jest w oddziale. Matka usłyszawszy drżała na całem ciele — a w uniesieniu dziękowała Bogu, że jej przecie dozwolił odszukać syna.

Jakżeż tu teraz począć, aby jej pozwolono zejść się z nim?... Ale kapral wiedział od swego kamrada, że to mógłby uczynić jeden tylko oficer będący adju-

tantem generała, ażeby ten ostatni pozwolił widzieć się matce z synem. Ale kto tu dostąpi do adjutanta komenderującego, który jest dla kaprala niedostępnym! Adjutant ten bowiem jest to panicz znakomitego rodu, i żyje nie z lada kim. Lecz po dłuższem namyśleniu podał kapral sposób następujący. W skutek instancyi kaprala nicby nie uczynił taki panicz... Jest jednak pewien kupiec bogaty, który zostaje z nim w stosunkach pieniężnych — bo panicz potrzebuje zawsze wiele pieniędzy, zanim mu nadeszlą z domu... Kupiec ów bardzo ma być dla biedniejszych uczynnym, a nawet często hojnym. Żadnej ofiary nie skąpi dla monasterów, wspomaga biednych, a że jest litościwego serca, nie opuściłby w nieszczęściu nawet Lacha, a tem bardziej kobietę, która została sama jedna na świecie.

Po kilku dniach wielkiej niepewności udało się kupca tego uprosić, ażeby przez litość dla matki wyrobił przez adjutanta wstęp do generała. Kobieta czekała z największą niecierpliwością.

Nareszcie dano jej znać, że będzie mogła stanąć przed komendantem z najuniżeńszą prośbą widzenia się z synem. Kobieta wtedy zadrżała, bo jak ona stanie przed człowiekiem, przed którym drżą tutaj wszyscy? Błagała, aby jej pozwolono wziąć z sobą towarzysza wędrówki... Lecz jej na to odpowiedziano, że kto nie ma „czynu“, taki nie jest człowiekiem przed generałem, — a kto ma nizki „czyn“, może tylko stanąć chyba do raportu, i odejść, kiedy da znak namiestnik carski. Lach zaś każdy dla komendanta fortecy jest tylko skazańcem. Ona zaś — co innego, ona jest kobietą i matką, a takiej w drodze łaski

będzie wolno paść na kolana przed obliczem namiestnika carskiego. Kobieta drżała z trwogi a niepewności, ale jako matka była dziś na wszystko zrezygnowaną.

XIV.

Nadszedł nareszcie dzień, w którym miała stanąć matka dziecka przed surowem obliczem komendanta.

Gdy wśród innych czekających przyszła na nią kolej, zebrała wszystkie siły, aby wejść do sali: tam był potentat, od którego los jej dziecka dziś zależy.

W samych zaś drzwiach do sali pociemniało jej w oczach, że ledwie utrzymać się mogła na nogach.

Ujrzawszy groźną postać namiestnika carskiego zadrżała z razu, lecz zebrawszy wszystkie siły dowlekła się parę kroków — i padła mu do nóg. On się cofnął, i mruknąwszy surowo kazał jej zdala się trzymać.

Kobieta się nieco podniosła, a ujrzawszy zimne, surowe oblicze człowieka, straciła z razu mowę.

— Kto ty? I czego chcesz tutaj? — odezwał się zmarszczywszy lice.

Rozpacz matki dodała jej siły, że się odezwać mogła:

— Nieszczęśliwa... przyszłam tu... przed twoje oblicze... Jasny, wszechmocny, panie...

— Czego chcesz? Mów prędzej! Kto ty? — powtórzył niecierpliwie.

— Ja nieszczęśliwa!... ja bardzo nieszczęśliwa. Mąż mój siedzi zamknięty...

— No, skoro siedzi — przerwał jej krótko generał — to niech siedzi. Daremna twoja prośba.

— Ale, to nie o niego tu chodzi, Jasny panie! On już siedzi cztery lata.

— I długo jeszcze ma siedzieć? — zapytał z przekąsem. — I za co siedzi?

— Że ukrył dziecko swoje, jedyne, które mu zabrano. Ono tutaj.

— I ty się ważysz tutaj przychodzić, błagać może łaski jakiej dla zbrodniarza takiego? To przestępstwo ciężkie, bardzo ciężkie, gorzej niż gdyby zabił, podpalił. Dziękuj Bogu, że on tutaj. On powinien był pójść w katorgi, a nie siedzieć w twierdzy... A ty jego żona...

— O! nie, panie Jasny. Nie o niego tu chodzi. On w Nerczyńsku. Ja przychodzę za synem, który jest tutaj.

— Kto ty? I co za syn?

— Ja żona Nuchima, jestem z Czyty, sama tam dziś jedna, bez nikogo, jakby wdowa i sierota...

I zalała się łzami.

— Tu trzeba owczej cierpliwości — tupnął nogą generał — aby słuchać brednie i szlochy wasze głupie. Mów prędzej! Bo zawołam takiego, który cię prędko sprowadzi. Rozumiesz? Tam, na dół. A już nie moja to rzecz — dodał złośliwie — czy się tam podniesiesz cała...

Kobieta się wstrzęsła, lecz siląc się, jak mogła, zawołała:

— Litości! Ja nieszczęśliwa matka, wlekłam się aż tu, z Czyty, pieszo, upadając. Ja nie wiem, ile ja dni

szła: tutaj jest syn mój i jego, Nuchima, który nie mógł iść ze mną...

— Syn twój? — zapytał się nieco spokojniej generał, widząc przed sobą kobietę dość nikłą i słabą, która tyle wiorst przeszła przez takie okolice, i dodał: — No, zapewne w półku? żołnierz? służy dziś Najmiłościwszemu panu. Jakże on się nazywa? w której kompanii? No, no, z tem się udasz do kapitana, jeśli chcesz się widzieć z synem. A jeśli nie będzie przeciw regulaminowi, to on ci pozwoli z nim się widzieć. Ale z tem nie przychodź do generała, bo on się takiemi rzeczami nie zajmuje.

— Jasny panie, litościwy! Ale... mnie bo wszyscy mówili, że pan kapitan nie może, ani nawet major nie ma prawa...

— Dlaczego? — rzekł surowiej zmarszczywszy oblicze.

— Bo on, mój syn, nie jest żołnierzem. To dziecko jeszcze... tak, on tu niby w szkole...

— W szkole? — zapytał ostrzej generał.

— Tak, miłościwy panie. On był wzięty nam dawno. Już temu cztery lata. Ach! długie lata...

— Jak się nazywa? — mruknął niecierpliwiej.

— Dziecko dziś jedyne moje. Dawid, syn Nuchima z Czyty, miał wtedy dziewięć lat zaledwie...

Komendant popatrzywszy na kobietę przenikliwiej zapytał:

— Wy, żydowskiego szczepu?

— Tak, Jasny panie, i on jest żydem.

Komendant ostro spojrzał i rzekł z naciskiem:

— On nie jest żydem, ani waszym dziś synem. Kto tobie powiedział, że on jest żydem? On jest dziś

carskim. Rozumiesz? Imperator jest ich wszystkich teraz ojcem. A wy się pożegnajcie z nim na zawsze! Bo już nie macie do niego prawa. Rozumiesz?... A teraz już tobie odejść.

Kobieta się wstrzęsła. Siliła się utrzymać na nogach, lecz bez sił padła.

Komendant zawołał na ludzi, żeby omdlałą wynieśli.

I kazał wołać innych, co czekają w antykamerze po kolei.

XV.

Matka była w rozpaczy. Tyle przeszła drogi, za ciężkiej na jej siły — tyle wycierpiała, aby módz odszukać syna, — a teraz, gdy go nareszcie odnalazła, i wie, że on tutaj, w tej warowni: teraz musiała usłyszeć straszne słowa, że już do niego na zawsze straciła prawo. On dziś nie j e j — on c a r s k i. Dlaczego carski? Jakie ma car do niego prawo? Zali dzieci zabrane do wojska, nie należą już do rodziców?... Nie, to niepodobna! Car tak chcieć nie może! To tylko jego sługi, te carskie sługi i namiestniki oszukują ludność w imieniu cara. I skoro ona tutaj nic wskórać nie może, uda się do samego cara, padnie mu do nóg... Car uczyni jej sprawiedliwość!

Towarzysz zaś jej stary wiedział, że to tylko jest marzeniem. Po wszystkiem poznał, że to daremne. Kiedy szedł z nią do Irkucka, miał wtedy jeszcze nadzieję... Lecz tutaj słyszał od wszystkich, że które dziś z dzieci buryackich, tunguskich, żydowskich, zabiorą dla armii

carskiej, takie nie na to mustrują w szkole, aby potem oddawać Buryatom, Tunguzom, Żydom. Staraniem ich jest usilnem, zerwać ze wszystkiem łańcuch, który jeszcze wiąże dzieci z rodzicami innoplemiennemi.

To samo mówili kobiecie wszyscy jej współwyznawcy, których zdybywała w Irkucku. Żaden nie czynił jej nadziei. Dla nich i dla dzieci żydowskich car „russki" jest tylko Herodem. Bo zali niejednemu z nich nie zabrano chłopca — a kto go potem kiedy widział?... Za dawniejszego cara, za Aleksandra, było jeszcze inaczej, ale dzisiaj jest na stolicy M i k o ł a j. Groźny, bezwzględny, takie wydał prawo na ród męzki, żydowski, zrodzony w Syberyi. Rodzicom wolno mieć córki, ale nie synów. Tak przeznaczył samodzierżca dzisiejszy wszech Rosyi.

Dzisiejszy towarzysz Sary uczynił, co mógł, — towarzyszył matce w długiej, uciążliwej podróży, narażony był nawet na śmierć w Bajkale. Ona to wszystko widziała — i teraz już więcej wymagać od niego nie może. Stary musi wracać w strony swoje, to jest, te, które mu los przeznaczył dziś na pobyt, i gdzie go ludzie więcej znają i z którymi on żyje.

Ona mimo to postanowiła zostać tu w Irkucku, w pobliżu syna. Bo on tutaj — w tej warowni, na którą dzień w dzień choćby patrzeć się będzie mogła. Gdyby stąd odeszła i opuściła Irkuck, zdawałoby się jej, że on już umarł i przepadł dla niej na wieki, — a tak będzie się choć w dzień zdala patrzyła na te mury, w których on się znajduje. Przecież muszą choć raz kiedy prowadzić ich przez miasto, a może na błonie jakie na mustrę: wówczas po drodze zobaczy on matkę swoją. Albo może duch jaki dobroczynny powie mu we śnie, że on nie jest

dziś opuszczony... Tu w pobliżu jest jego matka, która czuwa nad nim, i wszystko uczyni, ażeby on kiedyś do niej mógł powrócić.

Kobieta znalazła w tem miejscu niejaką opiekę u swoich współwyznawców, których tu było więcej, choć bezprawnie: bo Mikołaj zakazał żydom pobyt w mieście, lecz Mikołajowi słudzy potrafią obejść niejeden paragraf, jeśli się szturm właściwy do nich umie przypuścić. Sara też mogła pozostać w domu u którego ze swoich, jeśli się temu za to czem wysługiwała, skubaniem przynajmniej pierza, lub i noszeniem wody, choć się wlec ledwie mogła. Ale biedny za darmo nie daje jałmużny.

Ze łzami w oczach dziękowała towarzyszowi swej wędrówki, że tyle dla niej, obcej kobiety, poniósł trudów, on, sam starzec — i więcej od niego wymagać nie może. Ona ma męża, który dziś jeszcze w zamknięciu — ale już wkrótce więzienie jego skończy się: wtedy przybędzie, i razem oboje, wspólnemi siłami pracować nad tem będą, aby syna wydostać z niewoli. Ma bowiem zawsze nadzieję, że gdy mąż wyjdzie z więzienia, zawiąże przecież stosunki z innymi — i znajdzie drogę do cesarza. Ona, kobieta, nie znajdzie, ale on — co innego. Choć oni dziś całkiem podupadli, i mąż, kiedy powróci, będzie żebrakiem — lecz dola chodzi po ludziach, a nie po lesie. Ileż to razy słyszała, że człowiek zapadłszy w nędzę ostatnią, nic już nie miał, potem zaś jeszcze wydrapał się jakoś i znalazł środki i przyjaciół: mógł zatem nowe nawiązać stosunki. A on jest przecież żydem? Przez ludzi drugich znajdzie zatem drogę do cara?

Nie miała przeto teraz nic pilniejszego, jak uwiadomić męża, że miejsce pobytu syna już odnalazła; ale

zabiegi wszelkie, aby się dostać do niego, spełzły na niczem. Lecz ona postanowiła zostać dziś w Irkucku — gdzie i Nuchim po opuszczeniu więzienia swego szukać jej będzie. W Czycie bowiem nie dowiedziałby się, gdyż tam wiedzą, iż ona wyszła, ale gdzie teraz przebywa, o tem wiedzieć oni nie mogą. Zresztą o niej, dziś żebraczce, każdy łatwo zapomniał.

Jak uradzono, tak wnet po tej naradzie ze współwyznawcami, odszedł od żony list donoszący o wszystkiem do męża — do Nerczyńska.

XVI.

Kobieta nie wiedziała, że list jej, zamiast do męża, w ręce tylko dostać się mógł komendanta więzienia. Skazańcom bowiem nie wolno korespondować z najbliższymi nawet krewnymi: listy tych nie dochodzą, których prawo nie uważa jako należących do społeczeństwa ludzkiego.

Nuchim nie wiedział też dziś o niczem, co się działo z żoną jego, tem bardziej, gdy ona teraz była w Irkucku.

Na wszystkie pytania jego o żonę, o syna, na wszelkie prośby, aby mu powiedziano, co się dzieje w domu jego — otrzymywał jednę i tę samę odpowiedź, że jest skazańcem. Co się zaś dzieje po za celą jego więzienną — to do niego nie należy; własność znów skazańca jest pod opieką rządu. Żyd drżał przed tą opieką.

Nie mając żadnej wieści od żony, musiał o nią się trwożyć. Ciągle myślał nad tem, czy ona da sobie radę w domu, ona, kobieta w walce niejednej z współzapaśnikami w handlu — z Buryatem, to z „russkim“ człowiekiem, z urzędnikiem gminy, to rządowym. Więzień wystawiał sobie, że tam w Czycie dom jeszcze jego pozostał, i że są jakie sprawy, coby mogły dziś obchodzić czynownika lub przynajmniej Buryata. A Nuchim znał opiekunów gminy, doznawał nieraz opieki rządu, znał i współmieszkańców swoich: dlatego też dziś się dręczył myślami, rozbierając raz po raz, jak tamże sobie daje radę żona z tem wszystkiem. Noce znów dla więźnia stawały się coraz dłuższemi, częściej nie mógł oka zmrużyć, a kiedy zasnął, sen miewał pełen niepokoju. Zdawało mu się wtedy, że nawet wraca już do domu, że już nawet jest tam niedaleko... jednak domu swego dopaść nie może: zawsze coś jakby stawało na przeszkodzie. Czasami znów jest pewny, że już znachodzi syna swego, ale syn — coś go nie poznaje, i on sam dziecka swego poznać nie może... A gdy się zastanawia, czyli to syn jego, niespodzianie widzi się gdzieindziej między innymi ludźmi, których się pyta o syna swego... On ich błaga, żeby mu powiedziano, gdzie dziecko jego się znajduje — ale nikt mu na to nie daje odpowiedzi... Budząc się widzi tylko te same szare ściany swego więzienia.

Dzień po dniu przechodzi, syn daleko, a ojciec tutaj skrępowany. Rok... ach! dwa lata... ma jeszcze siedzieć?... A może jeszcze dłużej? Wszak i żonę dłużej trzymano? Tymczasem zaś, co się z dzieckiem jego dzieje?

Były chwile, w których wszelką tracił cierpliwość i moc nad sobą, rwał wtedy włosy, i chciał kląć już Niebu.

Czemu go opuściło? Bo gdyby był wolnym, odszukałby dziecka. Carskie zakłady, w których tresują i męczą młodzież, nie mogą być przecież pod ziemią?... Atoli jakie oni mają prawo do jego dziecka? Ono ze krwi innej, niżeli ta, z której car ma wierne dla siebie poddane? Zali we krwi jego płynie krew russka, albo może tatarska, żeby się dał wytresować na żołnierza dla cara? Przecież w żyłach jego nie inna płynie krew, jak niegdyś w tych, o których „pismo“ mówi, że się borykali na zabój na pustyni z Edomitami, z zagonami filistyńskimi?... A car chce mieć z niego „russkiego“ żołnierza? Czy Gideon, może Jephta, albo czy to Machabeusze słuchali kiedy „russkiego“ cara? Może on im kazał ostrzydz głowy, taj jeść barany i wieprze, podawszy w ręce karabin? Nigdzie o tem „pismo“ nie mówi, żeby oni nosić mieli szynel carski. A car myśli, że z synów żydowskich porobi dla siebie żołnierzy?... Nu, syn Nuchimów, Dawid mój, dodał w myśli, nie będzie carskim saldatem! Żeby mu kazano przysięgać na wierność carowi — on... on nie przysięgnie!

Tak nawet mawiał głośno Nuchim — a współtowarzysze więzienni słuchali słów tych, wtorując mu, inni zaś się z pod oka jeno patrzali.

— Ba! żebyć to się jego pytać mieli! — odezwał się na podobne słowa jeden ze skazańców, który za kradzież dzielił losy z Nuchimem — Jeśli przysiądz nie zechce, to-ci mają na to pałki, nieboże?

— Co? pałki? — krzyknął rozzłoszczony ojciec. — A kto pod pałkami przysięga? Toby był gwałt, to przymus! To nie przysięga Bogu naszemu, ani waszemu. Nu, kiedy cię złodziej, kiedy rabuś napadnie w lesie, taj pod-

niesie pałkę, żeby ty mu oddał kaletę swoją — nu, kiedy ci on przysięgać każe, że pójdziesz z nim, i będziesz kradł i rabował: to ty się związęsz tą przysięgą... i będziesz kradł, rabował?... Ty jemu przysiągł, inaczej byłby cię ubił...

Ale Nuchim miał za towarzyszy niedoli ludzi, którzy się wcale nie namyślali, gdy kradli i podkładali ogień — a jeśliby była sposobność, toby i przed mordem nie wzdrygnęli się. A gdyby się dziś ratować mogli poświęceniem towarzysza, to czemuby tego mieli zaniechać? Dlategoż stało się tak, iż namiętne mowy Nuchimowe doszły do uszu władzy więziennej. Nuchim winien był wiedzieć, że siedzi między pospolitymi zbrodniarzami.

Powołano go przeto wkrótce przed sędziego, i powołano innych na świadków.

Rozpoczęły się indagacye. Nuchim oskarżony został o bunt, o namawianie do krzywoprzysięstwa.

Spisywano z nim protokoły, i spisywano ze świadkami. Każde słowo buntownicze, które w gwałtowności swojej wymówił do drugich, torturą z niego i z innych wydobywano.

Nareszcie wypadł wyrok. Nuchim został skazany na sześć lat katorgi w kopalniach.

Zarzucono nań kajdany — i w kilka dni, pod eskortą kozaków odstawiony został do kopalni złota.

XVII.

Gdy przybył na miejsce przeznaczenia, roztoczyła się przed oczyma jego okolica strasznie pusta i strasznie posępna. Ni lasu, ni łąki nigdzie widać nie było, nagie tylko, tchnące martwotą, krew mrożącą, szarzało dokoła pogórze, tu i ówdzie nikłym, karłowatym krzewem czerniejące.

U stóp zaś pogórza, rozciągała się przestrzeń piaszczysta i moczarowata, poryta rowami i jamami. Pochyleni, posępni, w szarem odzieniu, snuli się robotnicy z rydlem i łopatą w ręku, podobni raczej potępieńcom w krainie, gdzie już niema nadziei. Ten i ów pochylony rył się coraz głębiej w ziemię, to zapadał w głąb i znikał, zanim się na wierzch wydobył. Chwilami się który wychylał z głębi, pchając z wysiłkiem taczki. Taczki posuwały się w prawo, w lewo, krzyżując się wzajem zdybywały się czasem i znów rozchodziły.

Dłuższym szeregiem z jednego i drugiego końca błyszczała broń kozaków. Tam było to miejsce dla katorżnych robotników w ciężkich okowach. A gdzie nie było żołnierzy, pracowali rydlem na tem polu posępnem potomkowie ojców i dziadów, skazanych niegdyś na katorgę — dziś jako górnicy syberyjscy, niby wolni — lecz również poddani i niewolnicy ziemi, odbywający pańszczyznę przez trzydzieści pięć lat za winy ojców lub dziadów *).

Zdala zaś ciągnęły taczki za taczkami, napełnione gruzem i piaskiem złotym, a gdzie najwięcej błyszczało broni kozackiej, tam odbywały się wypłuczyny złota.

---

*) Autentyczne dosłownie za Mikołaja I.

Złoto ono mocno musi być strzeżonem, pójdzie bowiem stąd na ordery i chresty dla sług carskich, to na opłacanie szalbierzy i fałszerzy opinii publicznej w Europie.

Nuchim będzie tu musiał poznać, że to nie z handlu, ni z spekulacyj, rodzi się złoto, lecz wydobywa je z ziemi potem swym i krwią swą człowiek, skazany na długoletnią śmierć powolną.

Teraz poznał, że ci, których tu widzi, będą dziś jego towarzysze.

Tymczasem oddano go zawiadowcy więzienia, co po formie wystawił kwit, iż odebrał katorżnego. Więzień zdziwił się, że przez tyle przeszedł teraz kancelaryj, przez tylu urzędników górniczych, zanim go wsadzono do jednej z cel na kilkudniowy wypoczynek, póki nie pogonią na pole kopalniane.

W celi zastał kilku więźniów. Jedni ciekawiej na niego spojrzeli, jak gdyby wzrokiem chcieli wybadać, jakiego tu dostają towarzysza, lecz z nich żaden nie zbliżył się do przybyłego. Żyd poznał, iż nie bardzo korzystne zrobił na nich wrażenie; nie wiedział, czy to odrębność krwi, czy też odmienna natura przestępstw mogła tu być przyczyną. Inni znów niewiele na niego zwracali uwagi. Poznał tylko tyle, że nie jednakie będą te przestępstwa, które ich tutaj zawiodły.

W parę dni zaprowadzono go wraz z innymi pod eskortą kozaków na pole posępne, gdzie snuły się z rydlem i taczką roje smutnych pracowników.

Nuchimowi dano również rydel i taczkę, i naznaczono, gdzie ma kopać piasek ów złotonośny. Żyd zabrał się do roboty, patrząc na innych, jak ci się do tego brali. Przymuszał się, jak mógł, by nie okazać niezręcz-

ności w nowej dla siebie robocie, i nie wywołać przez to brutalności dozorców.

W pierwszych dniach trzymał się żyd bardziej gromad katorżników, jako tych, do których i on należy — nie śmiejąc zbliżyć się na polu złotodajnem do „wolnych“ ludzi, za jakich uważano górników „służytieli“, zarówno pracujących z innymi, ale nie w okowach, ani pod strażą. Później poznał, że tutaj w pracy niema tak ścisłego rozdziału. I na tak obszernem polu kopią jedni obok drugich, a często schodzą się razem i rozchodzą pchając taczki do płuczek; przy płuczkach zaś gęściejsze są roje i większe jest zamieszanie. A choć tam straż jest gęściejsza, na dalszych jednak odstępach szerokiego pola nie bronią się zbliżyć do siebie katorżnym i „służytielom“, nie obawiając się wcale ucieczki pierwszych, gdyż ona byłaby niepodobną. Kozacy są przecież piesi i konni, a obszar cały zdala widny, bezdrzewny.

Nuchim zrazu nie zbliżał się do górników „służytieli“, których dola jako „wolnych“ była odmienną. Dziwił się jeno, iż wielu z nich widzi bladych, wynędzniałych, jak gdyby oni żyli w murach więzienia, do tego pełnych niechęci i zobojętnienia ponurego. A wszak to są syny i wnuki zesłanych do kopalń, dziś jako górnicy „służytiele“ na glebie, żyjący z roli i handlu, a tylko podatek rządowi płacący pracą górniczą?

Ośmieliwszy się po niejakim czasie, zagadnął z nich jednego, który przy kopaniu z nim się zetknął:

— Nu, co to wam za bieda? Wy bo nie idziecie na noc do nory, jak ja. Nu, wy macie dom swój, taj rodzinę...

— A! jest — mruknął zagadnięty — ta jest dom, ano i rodzina. Tylko-ci, że ono jeść woła. A to czem nakarmić, taj jak? Człowiek musi tu gorzej katorżnego ryć w piasku i brnąć w błocie, taj dzień w dzień... a to dla cudzego złota.

— Nu, przecie wam za to płacą? To wasz zarobek — dodał Nuchim.

— A płacą! Dwa ruble na miesiąc, taj garść mąki, a teraz żyj z tego*).

Nu, jak to? — zapytał zdziwiony więzień — dwa ruble i garść mąki, za cały miesiąc?

— Czy inaczej? — odmruknął „służytiel".

— A tamte inne? Nu, czy oni także tyle ino zarabiają? — rzekł Nuchim.

— Wy widać nie dawno tutaj, skoro się tak pytacie...

— A przecie i tu ludzie handel prowadzą, tać orzą i sieją...

— A! tak — odrzekł górnik — żeby-ci był człowiekiem, a nie taki „służytjel".

— Wy przecie nie katorżny? — dodał żyd.

— Ja, gorzej, niżeli katorżny. Jaby chciał być katorżnym. Człowieka bo czasem myśli nachodzą: Ot! weź topór, taj ubij kogo, albo przynajmniej gdzie podpal... to cię zasądzą na katorgę, na dziesięć, a choćby piętnaście lat? To potem pójdziesz „na posielenie", taj osiędziesz na roli, no, to możesz zarabiać w handlu, a nikt ci tu nie każe brnąć w piasku i błocie.

---

*) Autentyczne.

— E, co wy gadacie! Co wam się równać z katorżnym! Katorżny, nu, to on zabity! Nuchim, gdyby był na waszem miejscu, toby go tutaj pole to wasze ani zobaczyło!

I westchnął głęboko.

— Ta bo... jak to nie zobaczyło, skoro człowiek tutaj przykuty lat trzydzieści i pięć?... Trzydzieści i pięć lat niewoli za to, że mój dziad niegdyś zesłany był w katorgi do tego kraju.

— Nu, jak bo ono? To waszego dziada na tę ziemię zesłano? A jakże tu zaszedł ojciec wasz, taj wy po ojcu? — zapytał zdziwiony więzień.

— A czy my tu-ci zachodzili? — odrzekł górnik. My się tu już porodzili. Że naszego dziada do tej ziemi zagnali, i że żaden z nas nie zabił nikogo, aby już poszedł w katorgi — no, to-ci za to batyuszka mój musiał ryć ziemię trzydzieści i pięć lat, taj doczekał się, ano czego?... Dwa lata pożył jeszcze, gdy już prawa do niego nie mieli, no, a potem umarł. A ja dopiero lat mam niewoli tej trzynaście, a jeszcze mi... ot, dwadzieścia i dwa nie dostaje. No, czy nie gorzej mnie, niż katorżnemu?

— Et, co wy gadacie! — odezwał się żyd — Przecie was za darmo tutaj nie trzymają?... Przecież nie za ojca waszego, ani dziada?

— Wy chyba nie tutejszy? — rzekł tamten zdziwiony — Pytajcie ich tu wszystkich, naszych górników, czy oni na innem prawie tutaj siedzą?...*)

Nuchim zrazu nie chciał temu wierzyć, myśląc, że go górnik zwodzi, bo przecież za to, że dziad popełnił

*) Co do słowa — autentyczne.

coś przeciw prawu, wnuk nie może odsiadywać w Sybirze i być przykutym do gleby?

Atoli wkrótce dowiedział się, iż wszyscy tutejsi górnicy na tem samem żyją prawie — i że tu istotnie w Sybirze jest osobne społeczeństwo niewolne, i do ciężkich robót skazane za przestępstwa ojców lub dziadów. Żyd nie wiedział, co już o tem myśleć. Zdawało mu się, że go zapędzono w świat zatracony, w którym niema Boga.

W więzieniu znów musiał Nuchim niejednego jeszcze doświadczyć, poznając różnych towarzyszy niedoli. W katordze tej byli bowiem nie sami tylko skazańcy, co odsiadywali za kradzież i rabunki, nie tylko czynowniki carskie za oszustwa i przeniewierstwa, ani kupcy za kontrabandy; w kopalni tej byli i inni ludzie za przestępstwa niewiele dotąd znane żydowi. Byli tam bowiem i „dekabryści“ rosyjscy, co niegdyś wstępującego na tron Mikołaja w r. 1825. z tronu zrzucić usiłowali; byli i towarzysze ich ówcześni z nad Dniepru i Donu, należący do spisku „południowego“, będącego w związku z „północnym“. Znajdowali się podobnież i polscy bojownicy, co przed kilkunastu laty bohaterskie podnieśli powstanie, wygnawszy brata carskiego, — a nawet i skazańcy za późniejsze patryotyczne usiłowania i związki ku podniesieniu ludu.

Ale żyd nasz niewiele wiedział o ich ideach, tem mniej rozumieć mógł, żeby ludzie sami dobrowolnie taką dolę sobie obierali. Towarzysze też dzisiejsi więzienni do Nuchima nie zbliżali się, ani on do nich, przed którymi miał tylko strach jakiś instynktowy, nie mogąc pojąć takich ludzi. Oni znów wiedzieli, że z żydów najwięcej odsiaduje karę za kontrabandę i oszustwa, za przestęp-

stwa pospolitej natury. Nuchima za takiego też również uważali.

Skoro zaś później dowiedzieli się, iż on skazany został wprawdzie za przestępstwo, ale jeno takie, które według kodeksu carskiego nazywa się oszustwem, i to większem — gdyż chciał podejść i oszukać cara, usiłowaniem ukrycia syna swego: inaczej się zaczęli na niego patrzeć. Poznano w nim tylko ofiarę okrutnego despotyzmu, depcącego w ojcu prawa człowieka.

Mimo to nie mogli przecież dowierzać żydowi. Bo choć on nie był winnym, jednak przestępstwo jego zawsze od ich różniło się przestępstw. Co bowiem on uczynił, uczynił nie w interesie publicznym, jak oni, poświęcający się za sprawę publiczną — lecz z miłości ojcowskiej, w interesie zatem prywatnym.

Że żydzi miłują swe rodziny, że są dobrymi ojcami i mężami — o tem wiedziano; ale czy kosztem nie-żydów nie chcieliby sobie pomódz... w tem mogły być różne zdania między towarzyszami niedoli. I gdyby tu szło o interes własny którego z żydów, a nie była obawa, żeby innych narazić towarzyszy — możeby się wówczas i do niego zbliżono. W tem położeniu mógł być właśnie Nuchim, jako nieszczęśliwy mąż i ojciec.

XVIII.

W sąsiedniej celi, większej, obszerniejszej, siedzieli sami skazańcy polityczni za różne sprawy. Niektórzy z nich energiczniejsi i żywszego usposobienia próbowali zbliżyć się do żyda naszego, kiedy razem schodzili się na polu posępnem, złotodajnem; wówczas wypytywali się nieraz, o jego dawniejsze stosunki a dzisiejsze nieszczęście.

Zdarzyło się potem, że jednego z tych wsadzono do celi, w której siedział Nuchim. Pewnej zaś nocy, gdy w celi Nuchimowej spali inni towarzysze, a on sam rzucał się na tapczanie posępnym myślom oddany — zbliżył się ów nowy towarzysz niedawny do Nuchima, z pytaniem, o ile on rad z tego, iż go może wypuszczą z katorgi za lat sześć, jeśli nie więcej. Na co żyd się żachnął odezwawszy: — Sześć lat? Nu, panu to łatwo mówić, ale nie czekać Nuchimowi. Rok jeden, dwa, może mi na zawsze odebrać żonę moją, syna. Gdyby ja mógł, tobym rozwalił te ściany, i uchodził. Takie to czasem myśli przychodzą człowiekowi... Ot! co to gadać! — I dodał z goryczą: — Człowiekowi głupie myśli zawsze przychodzą, taj zdaje mu się, że jest... nu, może Samson... a on tylko skazaniec, ta, deptany nogą niewolnik.

— Ale, jeśliby te głupie myśli — wycedził tamten z naciskiem — nie zawsze były tylko głupiemi? Jeśliby tu nie potrzeba wcale do tego siły Samsona, ani żadnego cudu?...

I tu się zatrzymał znacząco. Żyd się wypatrzył, ale tylko westchnął głęboko.

Była chwila milczenia, przez który to czas chrześcijanin uważał żyda. Żyd zrazu nie rozumiał, potem popatrzył się ciekawie mruknąwszy:

— Pan mi chce coś mówić?... Ale pan uważa mnie... ino za żyda — dodał z goryczą. Nu, prawda, że żydzi nie zawsze zasługują na wiarę — dopowiedział z boleścią.

Była nowa chwila milczenia.

Potem odezwał się znów towarzysz głosem znaczącym:

— Żydzi łamią... nawet przysięgę, złożoną chrześcijaninowi?

— Ale, Nuchim nie złamał jej jeszcze... chyba złamałby ją carowi i jego sługom, gdyby go przymusili. Nu, to prawda, sumienie moje nie uważa takiej za przysięgę, ino za gwałt człowiekowi zadany. I mój syn, mój biedny syn, jeśli mu każą przysięgać, że w imię cara będzie bił swoich, mordował — nie złoży takiej przysięgi! Chyba ją z niego wydrą! Nu, ale to będzie gwałt, napaść, a nie przysięga złożona Bogu. On się taką wiązać nie będzie.

Chrześcijanin uważał żyda. Po chwili dodał:

— Ale, jeśliby nie gwałt miał tu miejsce, jeno dobra wola? Ktoby też kogo zmuszał, żeby się chciał ratować!... I ktoby znów chcąc ratować drugiego — wszystkich narażał na zemstę?

Żyd silił się wydobyć z mówiącego, co on myśli, i odezwał się drżący:

— O! powiedz, panie, ach! nie dręcz żyda. Ty coś masz powiedzieć?... Może wy co macie dla żyda, nu, dla mnie. Jeśliby tu był ratunek — żądaj od Nuchima wszystkiego, a on uczyni... co chcesz, uczyni, aby się stąd wyrwać! Ot! to nie dla mnie, to dla żony i dziecka mojego!

I zaczął gorzko płakać.

— No, ja ci już wierzę, nieszczęśliwy człowieku, ale czy będziesz miał tyle odwagi, żeby się stąd wydobyć? Już teraz nie możesz się opanować, a co będzie potem?... Tu trzeba rozwagi i spokoju.

— Ja już będę spokojny! Nie bójcie się o mnie... Nu, ja już jestem spokojny. Mówcie, co każecie, ja będę was słuchał.

Tamten rozglądał się po innych, czyli oni spią, a przysunąwszy się bliżej do żyda, szepnął ostrożnie:

— Cela ta, twoja... widzisz... przytyka do krańcowego muru. O tem wiedzą tam wszyscy w sąsiedniej celi.

— Nu, prawda — rzekł z drżeniem żyd — ale tu w oknie są kraty, i to jakie! Ja nie raz na nie patrzał...

— Tu nie o kraty chodzi, żelaza nie przetniesz palcami. I ktoby się przez nie przedarł? Moskal osadził je nie dla światła, ani dla naszych zamiarów. .

— Nu, prawda. Ale co my zrobimy? — dodał niecierpliwy — Tam dokoła katorgi stoją straże...

— Właśnie dlatego, że w tym rogu ich niema. Już od dawna uważaliśmy to z tamtej celi. Z żadnej z cel tych nie uszedłby, skoro między więźniami a ostrokołem wszędzie wolne jest miejsce, którędy chodzą straże z ostro nabitą bronią. To pewna! jednak ta cela przytyka do samego ostrokołu. Straże są wprawdzie. Ale można tak ułożyć, ażeby tych, którzy stąd wyjdą, one nie spostrzegły.

— Nu, jak to zrobić, mów panie! — rzekł żyd dygocący cały. — Jak bo my stąd wyjdziemy? Drzwi na klucz zamknięte. Na korytarzu straż. Cały gmach, nu, on zamknięty. A przed bramą główną odwach. Ach! tyle tam pik, karabinów!

— Ono pewna — rzekł towarzysz — że wychodzić nie będziemy ani drzwiami, ani główną bramą... Ale my wyjdziemy podkopem.

— Nu, to jak? — mruknął żyd zdziwiony.

— Ot, tędy, pod ziemią — dodał tamten — i wyjdziemy na zbocze wzgórza, na którym rozsiadł się gmach nasz więzienny. Tu właśnie jest sam koniec wzgórza.

Żyd siląc się zrozumieć, odezwał się bardziej zdziwiony:

— To jak? My mamy... nu, pod ziemią kopać?...

— Nie inaczej, tam bo grunt jest kamienisty i spojny, niby skała, że się utrzyma... ale skała ta krucha, toż my temu damy radę. I będzie podkop, którym wyjdziemy.

— Aj, żeby to! — odrzekł żyd. — Ale, nas tu czterech tylko w celi. Nu, co my znaczymy? Kto tu i którędy wyniesie tyle ziemi? Oni nas pierwszego dnia wyłapią...

— A czy Nuchim sądzi — rzekł tamtem — że ja i ty, i oni dwaj, co teraz spią nie wciągnieni jeszcze, ziemię tę wydobywać mamy?... No, i czem? Czy my mamy takie narzędzia?... Nie, człowieku! To nie jest robota dla nas tylko. W sąsiedniej celi tam nas było kilkunastu wtedy, i tam jeszcze są ci sami. Tylko, że mnie tu na szczęście do was dano, toż jam tu ninie rozglądnął się lepiej. Wiem, jak ono pójdzie. Bo my nie mamy narzędzi, dostaliśmy tylko kawał zardzewiałego żelaza. Ot, jak więźniowie musimy tem skrobać zmudnie, z wielkim trudem, wcale nie czyniąc hałasu. Ale nas będzie skrobało kilkunastu, i to na przemian całemi nocami...

— A jak tamci tutaj wchodzić będą? — zapytał żyd.

— Ściana ta, co od nich przedziela, jest stara, spróchniała, otynkowana tylko, a pod tapczanem dobrze przegniła. Już tam da się wyjąć tyle u dołu, ażeby przejść można, i zaraz nazad założymy. Tapczan to zakryje, jak i ten drugi z naszej strony. Tamtędy przechodzić się będzie*).

— Nu, skąd będzie się robić ów podkop?

— A stąd? — dodał wskazując ręką na miejsce, gdzie chrapie skazaniec na szerokim, jakby dla trzech, tapczanie.

— Aj! żeby się to udało! — zawołał żyd — O! jaby dzień taki... jaby was wszystkich błogosławił... ach! póki życia!...

— Tylko wytrwale nam począć, nie ustawać!... jeno rozważnie!... A wtedy będziemy wszyscy — po za katorgą.

Żyd zaczął się modlić, gorąco. Lecz raz po raz urywał, zadając różne pytania, na które tamten gotową miał odpowiedź: bo spisek ten w celu ucieczki powstał w celi sąsiedniej. Do wykonania zaś była im niezbędną cela Nuchima i jego współdziałanie.

Nocy następującej wciągnięto do zmowy również i dwóch towarzyszy, obecnie w śnie pogrążonych — z których jeden był oficerem moskiewskim pochodzącym od murzów tatarskich, i za nieudałą dezercyę dwukrotną popadł w katorgę. Temu wierzyć można było, gdyż ucieczka i tak była gorącem jego pragnieniem. Drugim znów był dawny chłop litewski, należący do wojska listopadowego, który wraz z innymi na Sybir został wywieziony.

*) Oparte na prawdziwem zdarzeniu.

XIX.

Katorga cała z więzieniem obwarowaną była wysokim ostrokołem, przez który nie łatwo kto przelazł, nawet choćby tam nie przechadzały się dzień i noc straże. Nie było zaś obawy, ażeby który z więźniów mógł się wymknąć korytarzem, przekupiwszy dozorcę od cel więziennych, albo straż przy głównej bramie więzienia: było to zupełnem niepodobieństwem, bo ani więzień nie posiadał odpowiednich środków, ani też byłoby to dla straży w ogóle możliwem. Ucieczka więźnia narażała zawsze każdego dozorcę i sługę katorżnego, na degradacyę, pałki, a nawet na skazanie w katorgi. I czemby nareszcie mógł więzień skusić człowieka carskiego?... Złoto wydobywa on wprawdzie z łona ziemi, lecz nie dla siebie, — a nawet każdego w kopalni pracownika ściśle co wieczora na odchodnem zrewidują, czy się go jaka blaszka nie uczepiła.

Wskutek tego niekoniecznie ostrą bywała w celach pojedyńczych rewizya. Bo czegoż mianoby nareszcie tam szukać? W celach prócz kubłów z wodą i drugich z kałem, prócz tapczanów, ciężkich, niezgrabnych, nic więcej nie było. Jeśli wstąpił dozorca, jednym rzutem oka mógł zobaczyć, co się znajdywało w celi, i czy żyją jeszcze skazańcy. Bo czy tam który z nich zdrów, czy chory, to carskich sług nie wiele obchodzić mogło; zresztą jest w katordze szpital, to jest, inna jeszcze cela, większa i zarówno zaduszna, na cel podobny służąca, gdzie chory również mógłby przed czasem spokojnie umrzeć.

Człowiek znów, obsługujący część gmachu, w której była cela Nuchimowa i owa większa sąsiednia, był to sobie z tego rodzaju ludzi, co zajęci tak ważną sprawą,

jak wnoszenie i wynoszenie kubłów i misek, mogą wszystkiego innego wcale nie widzieć. Przy tym słudze możnaby nawet o wszystkiem mówić i wszystko czynić, a nie rozumiałby on nic, zajęty swoją robotą, która cały zasób jego mózgownicy zupełnie wtedy absorbowała.

Gdy zatem nocy następnej więźniowie sąsiedniej celi ostrożnie część już ściany wyjęli pod szlabanami, z obu stron przytykającymi, przekonali się, że sługa ich codzienny nic tu nie widział, — mimo że przez niedokładne zatkanie otworu nieco za głośno słyszano szmer z sąsiedniej celi. Było to właśnie dla nich wskazówką, aby temu zaradzić, bo nie każdy, co potem wejdzie, mieć będzie podobne jemu objęcie mózgowe. Zaraz też temu zaradzili, tak, że żaden potem głos stamtąd nie dochodził, chyba wtedy, gdy właśnie porozumienie więźniów przez ten otwór odbywać się miało.

W następujących nocach rozpoczęła się już robota około podkopu. Gdy się jeden robotnik zmęczył, wracał do swojej celi, a natomiast wysuwał się powoli drugi, zajmując miejsce pierwszego. I tak szła dalej robota. Lecz nader powoli musiała ona postępować; nie tak spiesznie iść dalej mogła, jak się spodziewano. Nie tylko bowiem szła tępo, przy podobnem, jaki oni posiadali narzędziu, lecz i tę niewielką ilość gruzu trzeba było przecież gdzieś wynieść. Wynosili go ostrożnie, w małych częściach, to jest, zabierali nieznacznie wtedy z sobą, kiedy szli do kopalni na pole — i tam zrzucali, mieszając z gruzem i piaskiem kopalnianym. Było to możliwem, gdyż więźniów nie rewidowano, kiedy szli do kopalni, lecz właśnie z opuszczającymi pole złotodajne odbywała się ścisła rewizya, ażeby jaka blaszka złota do którego

z nich się nie przyczepiła. O skarby, jakieby mogli z cel swoich wynosić, nikt się nie obawiał.

Przy takiej tutaj manipulacyi, nie prędko postępowała robota spiskowych. Prócz tego pokazywało się, iż nie wszędzie skała była jednakowej spoistości; gdzieindziej mocno się usuwała, co we dwójnasób zabierało czasu.

Mimo to wszyscy byli dobrej myśli. A żyd, który przedtem gryzł się tylko w sobie rozpaczając, nabrał energii, i pracował tak szczerze a z taką gwałtownością, iż go nawet wstrzymywać nieraz musiano. Zapał jego obecny, i myśl, co w nim teraz nurtowała, tak się widocznie na twarzy malowała, że nieco przenikliwszy fizyognomista, niźli ich sługa kazienny, byłby się już czego domyślił. Ale człowiek ten rad był zawsze, że mu nikt w celi nie kazał meldować dozorcy, iż tu który zachorował albo może i umarł, bo toby nieco musiało przerwać codzienne jego zajęcie.

Razu jednego trafił się więźniom przypadek, iż Nuchim w swej gorliwości dłużej zatrzymał się w podkopie, tak, że przybywający w swoim czasie po kubeł sługa nieco zaczął się zastanawiać, iż za mało coś widzi w celi mieszkańców... Więźniowie spostrzegli, że on na prawdę w tej chwili głową swoją za wiele pracuje, rozbierając, czy ich tu widzi trzech, czy, jak być powinno, czterech... Nie czekając przeto, zanim on dojdzie w swej mózgownicy do jakiego rezultatu arytmetycznego, czemprędzej oświecili go więźniowie, że i żyd znajduje się zarówno... tylko leży przykryty spiąc teraz, bo w nocy stękał, a teraz się poci. Lud zaś „russki“ niemałą ma wiarę w skuteczność potów na różne choroby. Przekonany tem ich

sługa rad był z tego, gdyż w razie większej choroby kazanoby mu jeszcze żyda dźwigać do szpitala. Nie potrzebował się przeto Nuchim teraz za nadto spieszyć z pracą swoją podziemną, i mógł dnia tego dłużej w podkopie pozostać.

Więcej się jednakże przestraszono, kiedy innego dnia wejść miała po formie rewizya. Wpadł nagle dozorca więzienny, popatrzywszy z pospiechem, czy wszystko jest w porządku — mianowicie, czy wszyscy skazańcy zdrowi i żywi, a szczególnie, czy nie są przypadkiem zajęci czem niedozwolonem, albo czy im nie dano jakich po nad przepis wygód: nadejdzie bowiem wkrótce sam kapitan. Jak też wszedł dozorca nasz, tak i z pospiechem wyszedł: widocznie chciał obejść wszystkie cele, myśląc nie tyle o więźniach, ile o własnej skórze.

Żyd tak się tem przeraził, w mniemaniu, że już wszystko stracone, i tylko się teraz stanie coś okropnego, iż naraz zbladłszy, zaczął się trząść jakby w febrze. Ale i drudzy byli potrwożeni. Nie tracąc jednak przytomności, zabrali się czemprędzej do uporządkowania tego w celi, coby mogło zwrócić uwagę jaką, — sami zaś wzięli się z wielkiem nabożeństwem do czytania książek danych im dla zbudowania. Żydowi znów, dygocącemu jeszcze z przerażenia, kazali udawać chorego, — i położyć się na tapczanie, który przylegał do ściany, w skutek ich przechodów za wiele obdrapanej.

Kiedy już dawały się słyszeć kroki na korytarzu, było teraz wszystko w sytuacyi odpowiednej dla skazańców.

Niebawem drzwi się otworzyły — i weszła rewizya więzienna, składająca się z kapitana, jednego z podrzęd-

niejszych czynowników i dozorcy więziennego, za drzwiami zaś zostały dwa kozaki w wyprostowanej postawie.

Kapitan, gruby, o czerwonych policzkach a małem świdrującem oczku, stanął na środku, rozglądając się, czy wszystko zastaje w porządku. Zobaczywszy zaś żyda stękającego na tapczanie, zapytał stojącego obok siebie w pokornej pozycyi dozorcy, co to za jeden ów chory. Otrzymał czemprędzej uniżoną odpowiedź, że to żyd, co tu siedzi blizko dwa lata, a któremu zostaje jeszcze cztery do siedzenia; lecz dodał zaraz do tego, iż nie wiedzieć, czy on to przetrwa, bo ciągle słabuje — i wiele ma z nim dozorca kłopotu, gdyż jadła musi dobierać — a wszystko to idzie na koszta Skarbu.

— Na co? — zapytał brwi zmarszczywszy kapitan. Więźniowie zaś zdziwili się, gdyż dozorca więzienny tylko kłamał, boć ani żyd chorował, ani na niego nie wydawano więcej: widocznie chciano tu liczyć wydatek sfingowany na koszta Skarbu, z którego, z patryotyzmu swego, wierni słudzy carscy pełną czerpią garścią.

Tymczasem na zapytanie kapitana odpowiedział dozorca:

— On jeść tego nie może, co inni zdrowi, Wasze Błagorodje. Ot, i teraz coś znowu mocniej zapadł...

— No, to niech zdycha sukisyn! — rzekł otwarcie kapitan. Potem zaś dodał łagodniej: — Jeśliby zaś miał zdechnąć tu w celi, no, to w razie, jeśliby się bestya nie podniosła, wziąć do szpitala. Niech tam już...

I dokończył znaczącą mimiką.

— Według rozkazu, Wasze Błagorodje.

Żyd zaś, usłyszawszy łaskawą staranność o jego zdrowie, tak się tem przestraszył, by go na prawdę nie

wzięto do szpitala — iż ledwie co nie powstał na proste nogi, na dowód, że zdrów. Ale na szczęście jeden z obecnych więźniów wyratował sytuacyę, dodawszy, że żyd ten od czasu tylko do czasu nieco zapada, lecz że mu to żadnem nie grozi niebezpieczeństwem.

— No, to ktoby się z nim tam certował! — mruknął kapitan zwrócony do dozorcy. — Żaden nie może być wybrednym, ażeby mu chora jaka bestya nie zatruła w celi powietrza. Potem dodał: — No, ale... czy go tam oddasz do szpitala, czy nie, złożysz raport o tem na piśmie.

— Według rozkazu, Wasze Błagorodje.

Dozorca wiedział, że raport jego napisany pójdzie spocząć do kancelaryi kapitańskiej, wcale nieczytany: wtedy zaś obaj wypełnili już swój obowiązek co do kwestyi sanitarnej.

Kapitan popatrzył jeszcze po obecnych, i rzekł zmarszczywszy brwi:

— Jeden, dwa... Tu tylko czterech siedzi? Mogłoby więcej się pomieścić. Dodać jeszcze dwóch z celi sąsiedniej.

— Według rozkazu, Wasze Błagorodje.

I wyszli z tem. Więźniowie odetchnęli, szczególnie Nuchim, któremu groziła izba szpitalna, ale dziś pozostaje. Do tego jeszcze dwóch więcej otrzymają teraz pracowników dla swojego podkopu, z łaski kapitana.

XX.

Robota około podkopu, chociaż zmudna, z niemałym prowadzona trudem, dalej jednak postępowała. Myśl sama, że się wydobędą na wolność, dodawała wszystkim ochoty i siły. Nuchim przestał już teraz płakać i narzekać. Zamiast narzekania brał się do roboty, zmudnej, niebezpiecznej, ale ta praca wydobyć go miała z katorgi i zbliżyć do rodziny.

Dlatego i noce jego były dziś spokojniejszemi, bo kiedy nie pracował w podkopie, spał w celi pracą nad siły swoje strudzony. A wtedy mu się śniło, że był razem z żoną, i oboje szukali syna. Czasem nawet we śnie znalazł już syna, a wtedy dziwił się, jak mały Dawidek przez ten czas wyrósł i odmienił się. Ach! co za piękny i rozumny zrobił się z niego młodzian! Nuchim sam w obec niego stawał się dziwnie nieśmiałym, jakby nawet dziś nie wart był syna takiego. Zbudziwszy się potem, myślał dłużej nad tem, czemu to był sen tylko? Ależ jaki cudny! Biedny ojciec ciągle przywoływał w pamięci swej postacie senne: on naprawdę widział syna swego...

To mu dodawało ochoty, że nie ustawał w pracy dla siebie ciężkiej: dziś mu na prawdę sił i zdrowia przybywało.

I wszyscy w obudwu celach dobrej byli myśli. Marzyli już nawet o tem, że gdy się przekop uda, i będzie już blizkim otworu na przeciwną stronę, a wyjdzie właśnie już wkrótce na zbocze skaliste, po za ostrokół: wówczas również i innych w dalszych celach wciągną do spisku.

Potem jednak przekonywali się, iż to nie tak prędko się stanie, bo przekop podziemny będzie musiał być dłuż-

szym, aniżeli pierwotnie sądzili. Ponieważ zaś czuli się ninie bezpieczniejszymi, i mniej ich dziś pilnowano — odważali się nawet dla przyspieszenia dzieła czasami i w dzień dalszą prowadzić robotę. Ale też i ściana między obu celami przez ciągłe przechody pracowników coraz się bardziej rysowała, a nawet i tynk mocno odleciał. To było powodem, iż razu pewnego, wszedłszy do celi dozorca więzienny, dłużej się wzrokiem na niej zatrzymał — jak gdyby badał okiem, czy tu nie potrzeba będzie reparacyi. Spiskowi to poznali... Ażeby zaś nie dopuścić do podobnej roboty, a pokazać, że ściana dobra, próbowali sami z ostrożnością tynk odpadający przyczepić — i tak zakryć rysy znaczniejsze.

Atoli przy tej właśnie manipulacyi zawaliła się nagle część ściany. Powstał ruch niezwykły... I przybył dozorca, ażeby ratować przedział między obu izbami. A wtedy — między obydwiema celami — odkryto zakrywany z obu stron tapczanami przechód, którym porozumiewali się więźniowie.

Spiskowi zadrżeli. Lecz dozorca wziął to tylko za sprawkę więźniów z obu cel sąsiednich, w tym celu, ażeby mogli się razem komunikować — jak gdyby dla przerywania jeno nudów więzienia. Tem się nawet przy indagacyi tłómaczyli. Wypadnie za to wprawdzie kara, ale mniejsza: gdy podkopu jeszcze nie wykryto, do którego otwór prowadzony z pod innego tapczana obecnie dobrze założono. Choć wszyscy pocierpali, mieli jednak nadzieję, że jeszcze minie tym razem niebezpieczeństwo.

Atoli gdy dozorca więzienny zaczął się lepiej nad tem zastanawiać, pocoby tutaj z dwóch cel schodzić się mieli — wydała mu się rzecz cała więcej podejrzaną. Zabrał

się przeto do ściślejszego zrewidowania, niżeli pierwej, nie tylko większej celi, ale i drugiej mniejszej.

Wówczas odkryto miejsce tapczanem zamaskowane — i pokazał się otwór wiodący do podziemnego przekopu.

Rzecz się wykryła — zamiar ucieczki stał się widocznym.

Rozpoczęły się teraz indagacye.

Dozorca więzienny był przerażony, iż to się stać mogło pod jego dozorem — a kapitan, również o siebie zaniepokojony, usiłował odbić to na podwładnym za jego niedbalstwo, więcej zaś na więźniach, których oddał jemu w ręce los nieubłagany. Zabrał się przeto z całą energią i mściwością czynownika do wykrycia winnych, aby pokazać władzy, że on czuwa nad więźniami; właśnie też mimo niezdolności podwładnego, którego za to skaże się na ciężką karę, wielki i bardzo niebezpieczny wykrył dziś spisek, — a ten przy niezdolności podwładnych, jakich mu dano, wszystkie mógł był objąć cele.

Lecz również i główny komendant nie myślał wcale całą zasługę pozostawić kapitanowi, którego wynagrodzonoby chrestem i awansem — sam zaś nie pomógłby sobie żadnym nowym orderem, ani żadną nową gażą. Zabrał się zatem sam do roboty — a chciał mieć tutaj jak najwięcej winnych, szczególniej zaś wykryć kierowników spisku; jeśli zaś się da, to może również i zaplątać niejednego z dozorujących, a może wykazałaby się nawet i niezdolność kapitana.

Indagowani więźniowie twardo się trzymali. Żaden z dekabrystów, ani z polskich skazańców nie chciał wykryć winy towarzyszy, — nawet i Nuchim, choć był

zdesperowany, nie myślał ratować się zdradzeniem towarzyszy, którzy chcieli wydobyć go z katorgi.

Nie można zatem było wykryć głównych przewódców, jak i tych, co pierwsi myśl podawszy podkopu, innych do tego poruszyli. Więźniowie postanowili wspólnie dźwigać winę i karę. Nuchimowi, gdy wspomniał na żonę i syna, przychodziła nieraz myśl, że mu bliższą rodzina, którą stracił, niżeli towarzysze więzienia; lecz na myśl taką wnet go oblał rumieniec: on nie chciał być gorszym od innych, zwłaszcza, gdy i tak drudzy widocznie bali się o niego najwięcej, aby nie dał wszystkiego ze siebie wydusić.

Indagacye ciągnęły się po indagacyach — spisywano protokoły z pojedyńczymi. Próbowano zamykać podejrzanych o większy udział w gorszych, ciemniejszych celach, głodzono, i cięższe, bardziej dolegające, zarzucano na nich okowy. Torturowano nawet dla wydobywania zeznań.

Nareszcie po niejakim czasie pokazało się, że już wykryto najbardziej winnych — i mógł już komendant oznaczyć stopień winy u swoich podwładnych. Wszystkie okoliczności były już w posiadaniu władzy, która znała dziś wszelkie każdego z więźniów zabiegi, jak i współudział pojedyńczych, — a nawet i słowa, wyrzeczone kiedy przez którego z więźniów, były jej nieobcemi.

Widocznie miała tu miejsce zdrada. Kto jednak mógł zdradzić?...

Oburzenie nastało ogromne na Nuchima. Wzajemnie winowano się, że żyda wciągnięto do spisku.

Byli nawet tacy, co zaprzysięgli sobie w duchu, że jeśli kiedy wyjdą jeszcze z tej katorgi, a żyd będzie wol-

nym: wówczas go wyszukają, choćby nie wiedzieć jak był daleko i — wykonają nad nim karę.

Nareszcie wypadł wyrok. Jedni byli skazani na lat pięć dłuższej katorgi, niżeli przedtem, inni na dziesięć, piętnaście lat, — a ci, których pierwotnie skazano na lat dwadzieścia, zostali w dodatku jeszcze przykuci łańcuchem do taczek na pierwsze trzy lata. Nuchim zaś, który za cztery lata miał opuścić katorgę, został teraz skazany na lat dwanaście cięższej katorgi, a potem na osiedlenie w miejscu najdalej ku mroźnej północy położonem, jeśli przetrwa karę.

Wszystkich ninie zdziwiło, dlaczego człowiek ten tak srogiej podpadł karze? Wszak należał pierwej do mniej winnych skazańców, gdy pierwotnie skazanym był na sześć lat katorgi, którą już za cztery lata miał opuścić?

Atoli niebawem pokazało się, że niewinnie posądzali go towarzysze, ponieważ tym, który wydał wszystko, wcale był kto inny. Tak, nie żyd, lecz rolę tę odegrał potomek murzów, tatarski oficer, który ze służby carskiej trzy razy już uciekał, i trzy razy był schwytany: trzy razy zatem otrzymywał karę, stopniowaną. Teraz zaś po raz czwarty, zamiast katorgi na całe życie, odbędzie karę inną, lżejszą a niedługą, i zostanie wolnym; okazał bowiem dziś poprawę, złożywszy dowody wierności batyuszce-carowi. I tak potomek, którego poprzednicy walczyli na zabój z caratem, będzie dziś służył wiernie nowemu panu i nowej ojczyźnie — jeśli mu pozwolą okradać skarb i łupić wojsko własne.

XXI.

Dola skazanych stała się gorszą. Włożywszy cięższe kajdany pozamykano ich w norach ciemnych, mocniej obwarowanych. Innych czekał również los nielepszy; nie mieli bowiem pozostać w katordze, w której podczas kopania piasku złotego a płuczki choćby część dnia przebyć mogli na wolnem powietrzu. Dwóch zaś, jako głównych sprawców spisku, przykuto łańcuchem do taczek. Spali z niemi i wstawali; razem z taczkami mogli się tylko poruszać. Wielu znów przeznaczono w inne miejsca, aby tych, co się porozumiewali, na zawsze rozdzielić. Los ten spotkał również i Nuchima.

W dzień chmurny, posępny, wraz z kilku innymi, wyprowadzono nieszczęśliwego w ciężkich okowach. Przed bramą więziennną stały wozy, otoczone konną eskortą kozaków. Więźniowie smutni, z wyrazem zwątpienia na twarzy, siedli na wozy, głucho pobrzękując kajdanami.

Oficer konwojujący dał znak — i smutny orszak ruszył.

Wozy biegły ze zgrzytem a hałasem po nierównej, kamienistej drodze, konwój kozacki pędził — katorga niebawem z oczu znikła.

Na prawo, na lewo, bliżej, to dalej, rozbiegały się wzgórza, nizkie, kamieniste, tu i ówdzie ciemniejące tarniną lub głogiem; miejscami jeno zaczernił się większy szmat lasu. A chociaż przed ich oczyma roztaczał się świat, pełen martwoty i posępny, gdzie się nic jeszcze do życia nie rozbudzało, mimo to wiejące ku nim powietrze zdawało się ich upajać, jakby narkotykiem. Łoskotem drogi, impetem wiatru, byli niejako zbici, odurzeni.

Dzień pierwszy skończył się. Na nocleg zamknięto ich w ostrogu przydrożnym, ciemnym, pełnym wilgoci i pełzającego robactwa. Ten i ów próbował zasnąć, lecz raz w raz rzucał się tylko w niewygodnem miejscu.

Nuchimowi nie lepiej się działo. Turkot całodzienny i nawoływanie kozactwa szumiało mu jeszcze w głowie. Po niejakim czasie gwar ów chaotyczny zrobił miejsce innym, posępniejszym myślom. Wszystkie nieszczęścia, jakich on po opuszczeniu domu rodzinnego doznał, zeszły się teraz tłumnie, w tej ponurej nocy, w której oka nie mógł zmrużyć. To stawał mu przed oczy syn, o którym już ninie zwątpił, czy go kiedy zobaczy, stawała żona, która dziś bez podpory bije się tylko z dolą swoją ciężką — gdy on dziś skazany na długie lata, albo raczej na śmierć powolną za życia... I za co on właściwie skazany? Że się ratował i chciał drugich ratować? Najlichszy robak usiłuje się wydobyć, jeśli go chcą przydeptać, a on człowiek?... Chwytała go rozpacz. A gdy się zagłębił w położenie swoje bez wyjścia, zdało mu się, iż go już chwyta obłęd. Od czasu do czasu mróz go przejmował nocy wilgotnej, dokuczając ciału, wtedy przynajmniej przerywały się choć na chwilę myśli dręczące, z których nie było wyjścia.

Całą noc nie zmrużył oka — nie spali i drudzy skazańcy, posępnym oddani myślom beznadziejnym.

Ranek zastał wszystkich bardziej jeszcze osłabionych. Lecz gdy ich zabrano z tej nory, mogli przynajmniej świeższem odetchnąć powietrzem.

Dzień drugi i trzeci nie był innym. Wieziono spętanych przez okolice, strasznie nudne, jednostajne, pełne dzikiej dokoła pustoszy. Przez całą drogę nie widzieli

nieszczęśliwi, jak tylko poczty przydrożne, albo ostrogi ze skazanymi, zdala zaś szarzały katorgi, to porzucone przed laty kopalnie. Jeśli zaś gdzie wóz jaki przy drodze zdybano, to tylko taki, co wiózł żywność dla tych katorg i pilnującej w nich straży. Tu i ówdzie zdybywane osady ludzkie, składające się z nor samych, nie więcej dodawały jasności posępnej okolicy.

Po paru nowych dniach pokazały się już góry wysokie Jabłońskie, kamieniste, pełne czerniejących borów. Panorama teraz z wyższych wzgórzy i kopców roztaczała się, bardziej rozległa i bardziej groźna. Ku południowi zaś siniała jakaś ogromna zbita masa kopców i grzbietów, owinięta chmurami, tu i ówdzie bielejąca plamami śniegu. Bliżej pokazywały się gdzieniegdzie po drogach wsie z osadników moskiewskich, to ułusy Buryatów, — ale kiedy już górskie zabłyszczały jeziora, znikły osady ludzkie, a wozy zaczęły się wznosić z wielkim jeno trudem po kamienistej drodze często zawalonej załomami świerków i modrzewi.

Lecz gdy minąwszy dzicz górską stoczono się niżej, pokazała się większa między górami dolina, w której zamajaczyła Czyta.

Wtedy mocniej zabiło serce w skazańcu, gdyż tam miała być żona jego nieszczęśliwa. Ach! tam syn się jego rodził, którego mu dziś zabrano. Serce więźnia rwało się ku miejscu temu, pełne rozpaczliwej tęsknoty. W łańcuchach najcięższych przyczołgałby się, ażeby zobaczyć, co się tam dzieje. A może tam rozdrapano jego mienie? Wszak po to są przecież urzędnicy gminni i rządowi.

Lecz gdy Czyta znikła za wzgórzem, zdało mu się, że sen jego cały znika, na zawsze, — a kiedy się znów

pokazywała chwilami, tak mu było, jakby się znowu sen dobry wracał. Wtedy w zapomnieniu próbował błagać, żeby go tam choć na chwilę pod strażą najmocniejszą puszczono, skrępowanego, aby strzechę swoją zobaczył. Ale na to szorstką jedynie otrzymał odpowiedź, że tam nic niema dziś jego, tak samo, jak nigdzie, gdyż on — katorżnik, a katorżnik nie ma domu ani rodziny.

Skazaniec musiał zaznać, co jest piekło na ziemi. Tak blizko był miasta... i musiał je przejechać, jakby tam nic już nie było dla niego.

XXII.

Przejechawszy góry i skały, jeziora i lasy, i ogromne pustosze gór Jabłońskich, wjechano w dolinę Chiloku, bardziej zieloną i bardziej szeroką.

Tu świat był odmienny, prawie uśmiechnięty. Rozciągały się pola z zagonami zboża, to łąki zielone. Widać było już i pracę ludzką, a nawet pokazywały się wsie ludniejsze starowierców, to osiadłych Buryatów, góry zaś wyższe i dziksze odbiegły teraz dalej ku południowi.

Pasy zboża rozciągały się po niższych a łagodniejszych zboczach, na wyższych znów, trawą tylko zieleniejących, tłumiły się stada bydła i koni.

Lecz niebawem zaczęła się zwolna zmieniać okolica. Wznosiła się droga i pokazywały się dzikse wzgórza. Wozy ze skazańcami gramoliły się z trudem w poboczne,

wyżej położone doliny, węższe, bardziej nagie i bardziej ponure, a nareszcie przeciskać się musiały przez jary i rozwory w wiecznych mrokach dyszące. Coraz okropniejsza zewsząd wiała pustosz, w powietrzu było coś strasznie posępnego i pełnego bezgranicznej grozy. Zamiast drzewa zielonego, zamiast zboczy pokrytych trawą żyjącą, czerniły się tu i ówdzie żużle i popioły rudy żelaznej; gdzieniegdzie sterczały rudery opuszczonych pieców, na znak, że ziemia tu nie wydaje żadnego innego plonu, prócz żelaza na broń śmiertelną i na okowy dla skazanych.

W takich stronach, mrożących krew i kości człowieka — pokazała się nareszcie, jak gdyby za światem żyjących, osada Piotrowska, o nizkich, poczerniałych domkach... Z tych gdzieniegdzie wychylał się jaki mieszkaniec senny o posępnem licu, poniewoli tu przybywający, albo też nastawnik carski, wiodący do pieców niewolniki carskie.

Przejechawszy tę smutną, ukazem jeno carskim do życia pozornego powołaną osadę, zatrzymały się niebawem wozy w miejscu strasznie samotnem i strasznie ponurem... Tu dokoła rozchodził się czad węglowy, a chmury dymu w górze wisiały gęste, gryzące, jak gdyby usiłowały hutę całą wraz z jej pochłonąć niewolnikami.

Wozy się zatrzymały — skazańców przeszło mrowie na myśl, że tutaj ninie pozostaną, i w takiem miejscu pędzić odtąd będą długie lata, bez słońca promieni, bez iskry nadziei.

A gdy tuż ujrzeli twarze pracowników w tej hucie katorżnej, wychudłych, wynędzniałych, podobniejszych raczej do potępieńców, niżeli do ludzi żyjących — tak im się

zrobiło marnie na duszy, tak okropnie, jakby już wszelkie z nich zaczęło uchodzić życie, i tylko na śmierć czekali jak najprędzej. Ale tutaj nawet nie dadzą ludziom skonać od razu, lecz konać każą zwolna, z dnia na dzień czuć mękę konania.

Nuchim patrzał ninie w zupełnem o wszystkiem zwątpieniu; ściemniało mu w oczach, nic prawie nie widział dokoła, słyszał tylko pobrzęki kajdan, zmieszane z tupotem kroczących, przerywane od czasu do czasu głosem surowym nastawników.

W poprzedniej katordze wychodził on przynajmniej z zamknięcia do robót około kopania i płuczki piasku, miewał przeto nieco ruchu na wolniejszem powietrzu, — a dzisiaj zdało mu się, jak gdyby jakaś siła piekielna, okropna, bezwzględna, zagnała go na miejsce potępienia. Zdało mu się, jak gdyby już za nim zatrząśnięto bramę, która go przedziela od świata żyjących.

Sprowadzonym dzisiaj skazańcom dano dwa dni wypoczynku. Na trzeci dzień zapędzono ich do pieców.

Nuchim nigdy podobnej nie widział pracy, on nie był nigdy w takich ogniach. Żar z pieców, w których gorzały węgle z rudą rozpaloną, walił płomieniem w lice, zaducha zgorzelizny i zgęszczonego swędu buchała z otchłani piecowej, oddech zatrzymując ludziom.

Zdawało się ciągle nieszczęsnemu, że go te żary coraz bardziej obejmują, tłumiąc w nim oddech, — ciągle też czuł straszną w gardle suchość, męcząc się nieustannem pragnieniem. Pot go oblewał, obezsilający, odzież lepła do ciała, paliło go w wnętrzu, jakby wrzątkiem.

Z osłabienia raz po raz kłonił się, lecz musiał się trzymać, aby go nie oddano dla przyjścia do sił do ja-

kiej nory ciemnej pod ziemią, gdzieby tylko sam ze sobą i z własnemi pozostawał myślami.

To samo doświadczali również i jego towarzysze niedoli, z którymi przybył, i których tu zastał. A byli to wygnańcy z nad Wisły, z nad Bugu, silni niegdyś i zdrowi, jak sosny borów ojczystych, kiedy jeszcze odbywali mustry na Saskim placu, zanim ich po powstaniu listopadowem na Sybir nie zawleczono; byli również i inni, ze spisków niedawnych Konarskiego, to księdza Ściegiennego. Przebywali tu jeszcze i dekabryści rosyjscy ze spisku Mikołajowskiego, a nawet i potomkowie mołojców z nad Dniepru i Dońca, marzący o sławie Mazepy a Pugaczewa. Wszyscy oni dziś znękani, wynędzniali — ruiny tylko dawnych ludzi.

I bojownicy, walczący niegdyś w imię idei, muszą dziś wieść posępny żywot w hucie katorżnej wraz z przestępcami z nad Wołgi i Oki, których wyroki sądowe posłały tu za zbrodnie pospolite, za morderstwa i rabunki. A nawet lepiej bywał traktowany czynownik-skazaniec, posłany za kradzież i oszustwa pospolitego rodzaju, niżeli ludzie, co nie rabowali, ani okradali drugich, lecz życie swoje za nich kładli. Bo gdy kapitan i major, okradający Skarb i własnych żołnierzy, lekarz półkowy, tyjący na koszt chorych, isprawnik, wysysający powierzony sobie powiat — zostawali tu za karę na urzędzie, jako tylko zdegradowani, ale mimo to dzierżący jeszcze władzę: ludzie, żyjący zawsze dla idei i za nią aż tu zagnani, wiedli dziś jeno życie dręczonych i deptanych.

Nuchim nie działał wprawdzie dla idei, nie żył nigdy życiem publicznem, i nie za sprawę wielką, publiczną, dziś jest w tem miejscu — jednak zawsze on zaszedł

tutaj za miłość swoją, miłość świętą ku dziecku, którego nie chciał porzucić na pastwę despotyzmu. I dzisiaj on musi dźwigać tę samę dolę, co inni, odważający się na śmielsze zamiary.

I tak dzień w dzień budził się nieszczęsny w ciemnej, ociekającej wilgocią norze swojej, aby iść do roboty niewolniczej w hucie, wystawiony na żar spiekoty; wieczorem zaś wracał, a wtedy snuły mu się ciągle przed zbolałemi oczyma czarne plamy w przestrzeni, które biegały tu i tam, mieniły się ciągle go prześladując. Na noc zdejmowano wprawdzie z niego okowy, ale plam tych czarnych uparcie się zjawiających, ani myśli czarniejszych, nikt z niego zdjąć nie mógł. Gdy zupełnie osłabion padł na tapczan, słyszał jeszcze ciągle głuchy ten, ponury syk żarzących się węgli.

Po niejakim czasie zaczynał już nawet chwilami miewać przywidzenia, dręczące zchorowany jego umysł. Wtedy mu się nieraz zdawało, jak gdyby burza ruszała się na dworze, straszna, syberyjska, to znowu jakby gromy gęste waliły w ściany, a zdaleka dochodził głuchy odgłos piorunów — kiedy na dworze straszna w on czas była nawet cisza i martwota w przyrodzie. Innym znów razem zdawało mu się w nocy, ze zgiełk jakiś nastał i roje wojska poczęły zapełniać całą przestrzeń z hutą i jej budowlami — kiedy wówczas wszystko spało, a tylko w piecach jednych hutniczych gorzały ognie i po cichu gwarzyły gasnące w piecach żary. Ludzie zaś przy nich poruszali się, milczący, senni, a tylko gwar był głośniejszy w izbach czynowników, grających w karty i kłócących się o wygraną.

Więzień nasz często noc całą nie zmrużył nawet oka, znękany i zbity wrażeniami dnia całego, albo też zasypiając ciągle się budził, nie wiedząc, czy już ranek na dworze, czyli jeszcze północ. Czasami zdawało mu się, iż widzi na prawdę żonę swoją, którą również przywleczono do huty, zakutą w okowy, a wtedy zrywał się przerażony, wołając, iż ona niewinna; obudzony zaś rad był, że to sen tylko, i ona, tak dziś słaba, zapewne i zbiedzona, przynajmniej choć sama nie potrzebuje dźwigać tu żelaza, poniewierana, podobnie jak mąż, w hucie.

Chwilami długo rozbierał w myśli, gdzie też ona ninie być może?... Czyli tam w Czycie, w mieszkaniu jego dawnem, pasując się z dolą swoją ciężką — czy poszła szukać syna? A może już się znaleźli oboje, matka z synem?... Ale ojciec tutaj? I nie chcą go puścić!... Dlaczego nie chcą go puścić? Jakie mają oni do tego prawo?

Tak bijąc się z myślami, padał bezsilny.

XXIII.

Ale daremne twoje marzenia, nieszczęśliwy ojcze! Żona twoja ani jest w Czycie, ani też ze synem — ona ciągle jeszcze dręczy się w Irkucku, sama jedna, przy pomocy tylko litościwych ludzi, wiodąc nędzny żywot. Mimo to nie chce porzucić miasta, w którego warowni syn jej przebywa, dla niej niewidzialny.

Lecz ona o tem nie chce wiedzieć, zawsze ma jeszcze nadzieję, iż go zobaczy i wpłynie na dolę jego. Ze łzami błagani wojskowi i ich komendant nie mieli litości dla sierocej matki i żony, ale dziś ona podała prośbę do cara wzywając jego łaski. Prośba już pocztą odeszła. Wszak car prośby nieszczęśliwych przyjmuje? Car nie może być tak srogim, żeby chciał na zawsze zabić jej dziecko?... Nie, to niepodobna! On o tem nie wie. Ale gdy się dowie, co słudzy jego robią, to każe im oddać, co matce zabrali. Wszak car musi mieć własne dzieci?... Żeby tylko mąż wyszedł z więzienia! Wówczas i ona wróci do zdrowia i do dawnej siły... Lecz czemu on na listy jej nie odpowiada? Po pierwszym przecież wysłała list drugi? Ale i na ten niema dotychczas żadnej odpowiedzi. Może mu nie oddano? Bo mówią tutaj, że tym, którzy są w więzieniu, do rąk ich nie dają? Ależ gdy komendant więzienia, przeczytawszy, pozna, że tam niema nic złego, żadnego w liście podstępu, aby go na nich podburzyć — to przecież wtedy odda?... Czemużby nie miał oddać?... Wszak Nuchim już i tak wkrótce wyjdzie z więzienia? A gdy wróci — pozna, że żona jego daremnie nie siedziała — ona pieszo przywędrowała z Czyty aż tu do Irkucka, czyniąc, jakie mogła, zabiegi o syna.

Długo też czekała nieszczęśliwa matka na skutek swej prośby. Mijały jednak dni, mijały miesiące, a żadna nie nadchodziła odpowiedź.

Większa część znajomych dziś nowych zdawała się jej wyperswadować, że car próśb tych ani nawet czyta... że one raczej gdzieś giną w kancelaryach czynowników, — a jeśliby on dostał kiedy co w ręce, ukarałby jeszcze tych, co mu prośbę przedłożyli o oddanie żołnierza. On bowiem

strasznie ma być groźnym. Kiedy rozkazuje, wówczas tysiące ludzi do ziemi się korzą — a jeśli się gniewa, tysiące bledną z trwogi. Lecz tu nie o żołnierza chodzi, jeno o dziecko, które jeszcze nie jest żołnierzem? Na co carowi takich żołnierzy?

I gdy tak biedna matka czekała na wynik zabiegów swoich — usłyszała dnia pewnego, iż niedawno temu któregoś ranka o świcie wyjeżdżać miał z twierdzy szereg wozów pod konwojem kozaków. Mówiono, że tam była w mundurach młodzież. Może ich wysyłano w inne strony?... Matka mocno się zatrwożyła, bo tam między nimi mógł być i jej syn, a wtedy jużby go ona nigdy nie zobaczyła.

Zaniepokojona, starała się prawdy wywiedzieć. Było to niełatwem, gdyż wstęp do twierdzy wzbroniony. Jednak oficerowie i podoficerowie z twierdzy pokazywali się w mieście, mając różne stosunki z kupiectwem moskiewskiem, ale i żydowskiem. W skutek tego, nieszczęsna matka wkrótce całej prawdy się dowiedziała, mianowicie, że syna jej dawno już niema w warowni. Dokąd zaś go powieźli, nie wiedzieć, gdyż młodzież, ćwiczona dla wojska, ma również stopnie swoje i klasy. Jednych ćwiczą na podoficerów, ale większą część tresują na szeregowców. Bo nie tylko przyjmują tam dzieci popów i czynowników w skutek protekcyi, ale zabierają poniewoli potomstwo Buryatów, Tatarów, jak i dzieci żydowskie. Z tych nie będą robili kadrów. Zrazu jeszcze młodsze trzymane są razem, potem ich dzielą. Prócz tego inne są szkoły w twierdzy Irkuckiej, a inne w Krasnojarsku lub Tomsku, ale największa być ma, daleko, w straszliwej twierdzy Omskiej. Tak tłómaczyli rzecz tę podoficerowie,

z którymi znosili się współwyznawcy nieszczęsnej matki. Nie mogła ona nawet wyrozumieć całej tej organizacyi a manipulacyi wojskowej, wiedziała tylko tyle, że już nie zobaczy syna. Nie jej bowiem dziś siły, ażeby mogła dopaść go i wyrwać z rąk, które go porwały jak w kleszcze. Kiedy szła z Czyty, choć przy niemałem jeno wysileniu i z narażeniem życia, mogła dojść do miasta, w którem dziś pozostaje żebraczką. Atoli dzisiaj?... Dziś ona jest w takim stanie, iż uszedłszy zaledwo kroków kilkanaście, przystawać nawet musi, aby tchu nabrać. Kaszel jej nie opuszcza, lecz nie ten ostry, zapalny, który męczy chorego, ale i ustaje, lecz taki, który jest znakiem, że tam już płuc niema. Dzień w dzień była już w gorączce trawiącej, choć ani ona sama jej nie miarkowała, ani ci, co koło niej się znajdywali. Mówiła nawet, że jej nic wcale teraz w piersiach nie boli. Nawet jej się zdawało, iż wiele jeszcze przetrwać może. Wierzyła przeto, że skoro mąż tylko powróci z więzienia, wówczas oboje pójdą choćby do samego cara. Car może być głuchy na prośby piśmienne, które do niego mogą dochodzić, a mogą i nie dochodzić — ale, gdy sam, na własne oczy, zobaczy rozpacz ojca i matki, wtedy da się przebłagać. A Nuchim — to przecież nie ona sama? Co mężczyzna, toć nie kobieta. Nuchim znajdzie sposób, aby się dostać tam, gdzie potrzeba. Wszak wróci już wkrótce? Czas przecież skończył się jego kary?... Żeby teraz jak jeszcze ciągnęli tam z wypuszczeniem więźnia, zawsze już długo potrwać to nie może!

Tak pocieszała się kobieta. Atoli wypadki ostatnie, zabiegi chorej, w celu dowiedzenia się, czy syn jest jeszcze w twierdzy, wieść nareszcie, że jego już tam

niema — wstrzęsły już mocno nadwątlonym organizmem i coraz częściej przychodziły dziś wybuchy krwi.

Gdy jednak przeszły, kobieta widziała tylko, że ona jej nie zabiły — i że żyje jeszcze, jako dawniej, tylko że oddech miewa dziś krótszy a cichszy kaszel — ale nic jej w wnętrzu nie boli.

Dzień w dzień stawała się cierpliwszą, coraz mniej się skarżąc, zawsze bardzo cicha i bardzo łagodna... nareszcie razu pewnego, w jasny dzień przy obecnych usiadłszy, zasnęła, jak zwykle, spokojnie.

Ale już jej tym razem nie obudzono.

XXIV.

Mąż tymczasem, tyle razy zmuszony zmieniać miejsca poniewolne, ani wiedział, że jej już niema na świecie. A ktoby o tem miał donosić? Że tam kobieta jakaś, uboga, nieszczęśliwa, zmarła w Irkucku — tego w mieście onem nawet nie zauważano. Bo coby tam kogo obchodzić to mogło? Współwyznawcy byli zaś zanadto zajęci sprawami swojemi, to współzawodnictwem handlowem, z możniejszem od siebie, lecz nie mniej sprytnem a chciwem kupiectwem miejscowej rasy — ażeby się kobietą po skonie jej jeszcze zajmować mieli. No, skoro już niema jej na świecie, w takim razie niema tu i spraw żadnych. A on? a mąż? Ten, kiedy wróci, będzie miał dość czasu o tem się dowiedzieć. I ktoby się tam narażał, żeby za-

glądać do katorg? Kiedy się nawet jedzie obok miejsca, w którem czernią się więzienia, ostrogi, żyd każdy odwraca się z obawą, usiłując nie patrzeć, aby go się jeszcze co nie czepiło. Na tej bowiem ziemi sybirskiej trzeba wielu rzeczy unikać, więcej jeszcze wycierpieć, a przez niejedno nawet prześliznąć się: wówczas i żyd może żyć w sybirskiej atmosferze, a czasem nawet dostać i despotów tutejszych do żydowskiej kieszeni, choćby pomniejszych.

Tak sądzili współwyznawcy, wcale nie ciekawi, kiedy Nuchim wyjdzie z więzienia.

Tymczasem przechodziły skazańcowi dni po dniach, miesiące po miesiącach, koło pieców huty piotrowskiej. Żar tlejących bez przerwy węgli i rudy rozczerwienionej palił w lice nieszczęsnego, swąd węglowy i zagar obejmował mózg, tak, że się chwilami za głowę chwytał, czując ból świdrujący: zdawało mu się, że ją ból ten rozsadzi. Z bolu jęczał i płakał często z wielką gwałtownością, strasznie rozdrażniony. Dozorcy huty i pilnujące nastawniki wcale na to nie zważali. To znowu bywały chwile, w których stawał się obojętnym na wszystko, nic nie widząc, ani słysząc. W nocy zaś zrywał się, wołając, że go coś nachodzi... i na własne oczy widzi... A gdy go towarzysze niedoli zapewniali, iż w celi niema nikogo, był mimo to pewnym, że go złośliwe jakieś widma raz po raz nachodzą, jakby się z nim droczyły. Czasami znów przesiedział na tapczanie większą część nocy, bojąc się na chwilę położyć, bo gdy zasypia, zaraz się coś jawi... budzi go... i znika śmiejąc się złośliwie — a skoro chce nazad zasnąć, „złe“ z uporem powraca.

W innych znów nocach zdawało mu się, że widzi pełno żaru dokoła. Wtedy wołał na głos, że się pali, że cała katorga w płomieniach.

Trwało to nocy kilka. Potem miewał dalsze nocy spokojniejsze, w których zasypiał twardo — a kiedy wstał rano, zabierał się spokojnie do roboty.

Zdawało się nawet, jakby się pojednał z fatalizmem doli swojej, tak samo zgnębiony tylko i posępny. Wtedy z cichą skargą wspominał o swoich. Liczył jednak ciągle, ile to czasu przeszło, w którym wyróść musiał syn jego...

To znowu napadała go chęć nie do wykonania, ażeby mógł uciec z katorgi: wówczas bowiem mógłby żyć jeszcze. Przecież nie jest sam jeden na świecie? Ma żonę, która dziś z obawą o niego ciągle czeka i dręczy się, ma syna, który dziś narzeka, iż mu Bóg dał ojca, a ojciec go opuścił. Ale teraz, jeśliby on ojca tego zobaczył, i poznał, że żyje i o dziecku swojem nie zapomniał? Ach! gdyby taka nadeszła chwila!...

W myśli sobie nieraz nawet wystawiał, jakby już się obaj zeszli na prawdę. Wtedy widział go na własne oczy, w wyobraźni rozognionej. Lecz gdy spojrzał dokoła siebie, spuścił tylko głowę, rozpaczliwym myślom oddany.

XXV.

Dni po dniach przechodziły — lata po latach, a Nuchim ciągle był w hucie tej samej, katorżnej. Wielu to-

warzyszy legło tymczasem na cmentarzu niedalekim, bardzo samotnym, na tej pustoszy — a więzień nasz żył jeszcze. Choć nie liczył jeszcze lat tylu, mimo to włos jego, dawniej czarny, zupełnie dziś pobielał, oczy mu zapadły, twarz była cała staremi poorana zmarszczkami. Czasem zaś popatrzył na otaczających go takim wzrokiem, że ci musieli się odwrócić, nie mogąc wytrzymać wzroku tego. To znów trafiało się, że zapadał, jakby w sen na jawie, nic nie widząc, nic nie słysząc, co się koło niego działo: zupełnie nieprzytomny. Trwało to chwil parę, potem przychodził do siebie, lecz nic z tego nie pamiętał.

Tak przechodziły nowe dni po dniach, lata po latach. Ponieważ inni więźniowie zawsze się jednako zachowywali — a katorżnicy pospolici nawet byli oswojeni z położeniem swojem, nie myśląc wcale o żadnej ucieczce, gdy w dniach wolniejszych pili i grywali w karty z górnikami, to z dozorcami swymi, zgrywani i zgrywający: nie pilnowano ich teraz już tak ściśle, mniej się ich bowiem obawiano.

Dnia pewnego wypadło święto Spasa. Po dłuższej odprawie, dla której sprowadzono popa, zabrano się popołudniu do kart i samowarów. Lała się wódka i dymiły samowary. Nie tylko urzędnicy częstowali się nad miarę, lecz i górnicy byli dobrze spici. Dozorcy pijani — służba pijana — nawet i pilnujących kozaków za hojnie potraktowano. Czynownicy hałasowali i pili, inni kłócili się przy kartach, nieprzytomni wrzeszcząc i bredząc tylko — w późną noc większa połowa przy stołach chrapała.

W takiem zamieszaniu udało się niektórym skazańcom wyjść po za obejście mniej strzeżone. Nuchim, nie spuszczając tych z oka, postępował również z daleka

za nimi, ostrożnie, oddech przytrzymując a rozglądając się na wszystkie strony.

Nareszcie zobaczyli się razem ci, którzy wyszli, na miejscu bezpiecznem.

Spostrzegłszy Nuchima, zatrwożyli się drudzy, nie wierząc, iżby on mógł z nimi razem uchodzić. Lecz on cały przestraszony, dygocący, błagał ich, i zaklinał, że pójdzie wraz z nimi, zapewniając, iż we wszystkiem zastosuje się do nich, a czuje w sobie dosyć siły, aby wytrwać.

I w samej rzeczy, kiedy oni przemykali się jarami, to spadzistymi stoki, po nocy dzisiejszej, księżycowej, Nuchim okazał teraz jakąś gorączkową siłę, w obawie, żeby go nie pozostawiono.

Z niemałem wysileniem, przez całą noc drapali się wszyscy razem po dzikich wertepach przedzierając przez gąszcze głogów i tarniny, ażeby tej samej jeszcze nocy jak najwięcej ujść drogi — zanim się dozorcy ich rano nie przebudzą, a wytrzeźwieni nie zmiarkują, że kilkunastu więźniów brakuje.

Mocno pomęczeni musieli nad rankiem spocząć — w gąszczy większej lasowej — pewni, że już ich nie dobiegną tutaj piesi, a dla konnych niema drogi.

Po paru godzinach wstawszy, przemykali się znów ostrożnie. Nuchimowi ninie, jak gdyby przybyło sił i zdrowia. Zdało się, jak gdyby świeże powietrze ożywiło skazańca, świeższej mu krwi dodawszy.

Droga wypadała im stokami zarosłymi sośniną, to modrzewiem, miejscami bielały brzozy. Czasami nadybali cedr sybirski, a wtedy próbowali zerwać nieco jego orzechów, choć zielonych, ażeby choć dzień jeden wytrzymać:

wiedzieć jednak nie mogą, czy tu natrafią na jaką chatę lub szałas, w którym danoby im nieco pożywienia i gdzieby mogli być bezpiecznymi.

Następny dzień był dla nich bardziej uciążliwym. Wypadało się im o głodzie przedzierać przez gąszcze zarosłe głogiem, to tarniną — a gdy schodzili w wądoły, mokre, sapowate, musieli brodzić po wodzie, szarzejącej mchem i porostami, to przedzierać się przez zielsko błotne, albo gąszcz łoziny.

Gramoląc się z natężeniem, upadając i dźwigając się na zbocze poszarpane, osłabieni i zgłodzeni ujrzeli parę krów i owiec gryzących trawę samopas... myśleli przeto, że tu w pobliżu może będzie szałas...

I nie omylili się. To ich wyratowało, bo dalej dźwigać się już nie byli w stanie. Nuchim, z wielkim jeno wysiłkiem, raz po raz upadając, mógł za nimi podążać.

Nareszcie pokazał się szałas... Weszli do środka... A że było ich kilkunastu, siędzący tamże Buryat w kożuchu wywróconym popatrzył zalękniony, kobieta zaś i dzieci jego, bardziej od ojca czarne, osmalone, miały ochotę uciekać... Wygnańcy jednak czemprędzej dali im do poznania, że nie są wcale brodjagami, ani też przyszli w złej myśli, proszą jeno o nieco posiłku, a kiedy wypoczną, nazajutrz dalej podążą.

Dano im z obawą nieco mleka i dobrze już cuchnącego mięsa.

Wygnańcy zatem, posiliwszy się nieco, a nie myśląc w ciasnym, pełnym brudu i zaduchy kłaść się szałasie, wyszli na dwór, i tam się pokładli. Niektórzy z nich, wnet usnąwszy, spali jak zabici, inni zaś z wielkiego umęczenia nie mogąc zasnąć, wypoczywali tylko, jak

można było. Na drugi dzień pożywili się nieco podanem im mlekiem a plackiem twardym, jakby drewno — i pociągnęli dalej.

Lecz po chwili musieli doświadczyć, że im sił zabrakło... trzeba było znowu spocząć.

I tak, dni parę ciągnąc, to odpoczywając, przedzierali się przez jary i wądoły, to się gramolili na kamieniste zbocza, wstępując tu i ówdzie do jakiego buryackiego szałasu — zanim się oczom ich nie pokazała rozkoszniejsza i bardziej malownicza dolina „Czykoju".

Tu świat był inny, jakiś zieleńszy, cudne panoramy zaczęły się pokazywać... lecz oni, uciekający, oglądali się tylko, jakby tu przejść wszerz dolinę, w której widniały sioła z osadnikami. Przejść ją zawsze muszą, ażeby się potem módz dostać ku granicy wolnej Mongolszczyzny. Ach! żeby to przejść granicę carską! być po za ziemiami caratu! Oni tak tego pragnęli! Ale Nuchim przerażał się na samę myśl taką. On tego chcieć nie mógł: na ziemi sybirskiej, nieszczęsny, pozostawia swoich!

Błagał przeto, zaklinał towarzyszy — groził nawet, że nie pójdzie dalej krokiem... wolałby raczej głowę o pień drzewa roztrzaskać, niż żeby miał iść w świat jakiś, który go całkiem musi od swoich oddalić. Wpadał już nawet w dawniejsze rozdrażnienie, ciskając wzrokiem, który obecnych zaczął przerażać. Lecz go uspokoili, zapewniając, że granicy nie przejdą, przejść jeno muszą dolinę Czykoju, aby tą samą nie wracać drogą, którąby nazad do huty zawieść ich mogła. Oni go jednak tylko okłamywali, mieli bowiem zupełnie chęć najszczerszą znalezienia się po za granicą carską!

Ale i tak musieli tu przeczekać, będąc bardzo osłabieni. Pod noc zajdą przeto do jakiej wsi starowierców, których tu w tej dolinie jest więcej: muszą się o drogi różne wypytać. Starowiercy zaś ich nie zdradzą, gdy poznają, iż oni ani są przyjaciele prawosławia, ani brodjagi. U nich dowiedzą się, co dalej czynić i którędy się dalej udać.

Tak więc, kiedy już się miało ku wieczorowi, zaczęli się ostrożnie zbliżać ku osadom ludzkim w dolinie Czykoju. Nuchim uważał podejrzliwie, dokąd oni tu ciągną; lecz i on pojmował, iż wypada im koniecznie poprzód o drogi wszelakie się wypytać, zanim dalej ruszą. Unikać na każdy sposób muszą tutaj osad buryackich, jak i osiedleńców moskiewskich. Zbliżając się przeto do wsi zamieszkałej przez starowierców, posłali poprzód na przeszpiegi jednego z pośród siebie, sami zaś przeczekają tymczasem pod zasłoną gęstwiny.

Niebawem wrócił wysłany z wieścią pomyślną, że się zeszedł właśnie z jednym z osiedleńców polskich, który pochodził z powstania listopadowego. Ten go oświecił, że wieś zamieszkała jest przez starowierców, trudniących się gospodarstwem rolnem i chowaniem trzód, wielu jednak zajmują się handlem i kontrabandą, jak po większej części osady nad Czykojem. Mieszkają tam również pojedyńczo osiedleni wygnańcy polscy, a nawet poniewoli i posieleńcy tatarscy i czerkiewscy. Lecz unikać należy części wsi gęściej osiadłej — jeno ruszać dalej w górę rzeki. Tam wskazał on im chaty, w których mogą być zupełnie bezpiecznymi. Co zaś do granicy od mongolskiej strony — to mówił, że przejść jej nie podobna, naraziliby się na największe niebezpieczeństwo, gdyż ona

gęsto obsadzona jest kozakami i regularnem wojskiem; a zresztą, gdyby im nawet udało się ją przejść, w takim razie znaleźliby się wśród ludności nieprzyjaźnej, któraby ich w ręce Moskwy wydała.

Wygnańcy zafrasowali się tem niemało — Nuchim zaś teraz im wierzył, będąc rad, iż muszą na pewno odstąpić od wszelkiej myśli przechodzenia granicy. Lecz inni nie byli jeszcze pewni, jak ninie sobie postąpić. Ponieważ jednak koniecznie potrzebowali wypoczynku i posiłku dla przyjścia do sił, ciągnęli zatem, jak im powiedziano, ku górnej części doliny, węższej a dzikszej.

Kiedy doszli niebawem do chat im wskazanych, posłali najpierw dwóch z pośród siebie, aby się zabezpieczyć, czy też ich tam przyjmą.

Wkrótce wrócili wysłani, przynosząc wieść, ze zastali we dwóch wskazanych im chatach starowierców. Ci zrazu przyjęli ich z pewną obawą, a nawet i niechęcią, — ale gdy się dowiedzieli, co oni za jedni, i że nie są ani prawosławni, ani też brodjagi, lecz tylko nieszczęśliwi skazańcy, ratujący się ucieczką — zgodzili się na to, czego od nich wymagano. Żądali tylko, żeby ich przez nieostrożność jaką nie narażono na następne prześladowania, a przed świtem jeszcze obcy opuścili mieszkanie.

Wygnańcy, podzieliwszy się, weszli do dwóch chat, przyjmując gościnność gospodarzy. Ponieważ to były domy dostatnie, zagospodarowane, mogli się przeto dobrze posilić. Prócz tego ważniejsza, że się wywiedzieli o granicy i stosunkach istniejących w tych stronach. Potwierdzono im to samo, co dopiero słyszeli. Wygnańcy teraz musieli na prawdę zmienić swój zamiar. Nuchim, ciągle podejrzywający, i pełen obawy, by nie przeszli granicy, był

w jakimś stanie niezwykłym. Napadały go nawet chwile, w których prawie zaczynał majaczyć, wołając, iż otoczony ludźmi, którzy pragną jego nieszczęścia.

Wypocząwszy przez noc tę, zabrali się wygnańcy o zmroku jeszcze rannym do dalszego pochodu. Gościnni gospodarze obdarzyli ich na drogę, czem mogli — i ruszono niebawem dalej.

Nuchim zrazu mocno się przyglądał, którędy oni idą, zawsze jeszcze nie dowierzający. Ze słów bowiem gospodarzy poznał, w którym to kierunku wiedzie droga ku granicy, — dlatego nieraz przystawał zamyśliwając się, cały drżący, pełen strachu niewypowiedzianego, — lecz gdy już został pewnym, że towarzysze inną obrali drogę, dygocący cały, szedł w gorączkowym prawie stanie.

Dokąd zaś przyjdzie się dalej obrócić, nie wiedzieli oni jeszcze, oprócz tego, że muszą jak najprędzej opuścić strony, które dla pobliża granicy bardziej mogą być dla nich niebezpiecznemi. Bez zwłoki muszą zatem oddalić się, w przeciwnym od granicy kierunku — i to spiesznie, bo i tak może się rozejść pogłoska, iż uciekający właśnie katorżnicy pojawili się w dolinie Czykoju.

Wracać zaś w tym samym kierunku, w którym tu doszli, było teraz niepodobieństwem, gdyż mogła tędy właśnie nadybać ich pogoń, którą z pewnością za nimi wysłać musiano w różne strony. A zatem nie ku północy, lecz we wschodnim udali się kierunku, w okolicę dziksżą i bardziej niedostępną.

XXVI.

Przez dni kilkanaście walczyli z życiem i śmiercią w tej okropnej dziczy górskiej, z której wydobyć się nie mogli, ze sił padając, to błądząc. Nieraz byli już w takim stanie, że dalej iść nie mogli. Do tego niepokoił ich Nuchim, który z wielkiego wysilenia, a niemało będąc rozdrażnionym, wpadał chwilami w stan swój dawny, w jakim miewał niebezpieczne przywidzenia. Zdawało mu się wtedy, że widzi coś w przestrzeni, czego drudzy wcale nie widzieli, oczy zaś jego biły w tej chwili dziwnym blaskiem. Nieraz znów spieszył się, jakby go co goniło, i zdawał się być zalęknionym... Atoli przekonawszy się, że nic niema prócz lasu i dziczy i wielkiej głuszy — ciągnął dalej z gorączkowem wysileniem, z uporem, milczący, jak gdyby myśli jego były gdzieindziej...

Nareszcie wydobyli się z tej dziczy górskiej, przedzielającej doliny Czykoju a Ingody dążącej ku północnemu wschodowi. Kiedy się pod nimi w dole pokazała wązka i samotna dolina Ingody, odetchnęli, radzi, że teraz przynajmniej widząc, gdzie się znajdują, będą mogli zoryentować się w pochodzie. Wtedy i Nuchim, rozglądając się dokoła, przyszedł powoli do siebie i zaczął trząść się ze wzruszenia, bo dolina ta wiedzie w kierunku do jego Czyty. Zachowanie się jego było coraz gwałtowniejszem, chwilami zostawał jak gdyby na prawdę w ekstazie.

Wygnańcy posuwali się ostrożnie zboczami po nad głęboką, zapadłą doliną, ale teraz wiedzieli przynajmniej, gdzie są, i że już kierunku nie zmylą. Zamiarem ich było, oddalić się jak najwięcej od stron, z których uciekli,

i osiąść gdzie potem daleko, zanim któremu z nich nie uda się wrócić tam, dokąd zamierza.

Tymczasem posuwali się ostrożnie zboczami, choć tu dotąd osad żadnych nie było. Wszędzie samotność i pustosz. Chwilami musieli spoczywać, dłużej to krócej, choć Nuchim ich gonił błagając, by szli dalej, mimo że sam ciągnął tylko z wielkiem wysileniem, ale nie chciał tego wiedzieć.

Na trzeci dzień pokazywały się już samotne w wertepach szałasy, to na zboczach kamienistych na kształt gniazd jaskółczych, nader pierwotnej natury, w których nawet posiłku nie można było dostać. Później pokazały się ułusy buryackie, ale takie dzikie a wstrętne, że się tam bali do nich wstępować; zdybywani zaś mieszkańcy wyglądali raczej na zbójów, niż na osady z mieszkańcami.

Następnie pokazała się wieś z osiadłymi Buryatami. Tę mieliby ochotę również minąć, a Nuchim groził nawet, iż tam nie wejdzie, bo to rabusie, oczy zaś jego, dziwnym blaskiem świecące, wyrażały jeno przestrach. Lecz od dwóch dni zgłodzeni, musieli tamże wstąpić. Siedzieli tam Buryaci Buddhaiści. Miny ich tego były rodzaju, że wygnańcy, nieco się posiliwszy, mieli ochotę jak najprędzej osadę tę opuścić — Nuchima zaś zaledwie tu utrzymać zdołano. Zdawało się wygnańcom, jakby niektórzy nawet z tych Buddhaistów nie najlepsze mieli ku nim zamiary: widocznie się prawie zmawiali.

W drugiej napotkanej osadzie spostrzegli zdala błyszczące karabiny. Zrazu oniemieli z trwogi, poznawszy, że to będzie pogoń za zbiegami, rozesłana w różne strony. Odwrócili się też czemprędzej kierując ku stronom bardziej zarosłym. Lecz nie mogąc zwlekać, niepewni, czy

już ich nie ujrzano, postanowili czemprędzej, rozdzielić się, uchodząc w różne strony, ażeby ich wszystkich razem nie dopadnięto. I nie mogli inaczej postąpić... Jeśliby ich bowiem nie spostrzegli teraz żołnierze, w takim razie od mieszkańców się dowiedzą, że tu ciągnęli tędy tacy a tacy ludzie. Muszą się przeto teraz ukrywać rozdzieleni, a jak najprędzej od miejsca tego oddalić.

Nuchimowi przypadło właśnie uchodzić z dwoma towarzyszami. Musiał drapać się z pospiechem i wielkiem wysileniem, po wertepach, to stokach kamienistych, z sił upadając, popychany nieraz przez towarzyszy, — gdyż stan jego nie pozwalał, aby się sam mógł kierować, zwłaszcza, że trzeba było dążyć ku jakim gęstwinom.

Tak błąkając się i uchodząc doczekali nocy. Ponieważ z sił już opadli wszyscy trzej, musieli przycupnąć w wąwozie, wstrzymując prawie oddech, ciągle przez całą noc nasłuchując. Noc ta była straszna i pełna trwogi.

Lecz gdy nic nie słyszeli — i zdało się przechodzić już niebezpieczeństwo, wyszli wszyscy trzej ostrożnie z ukrycia, zwolna dalej się posuwając.

Aż tu... na jednym zakręcie... nagle zbledli... Nuchim stanął, jakby przykuty... Wyszło bowiem z za pnia dwóch żołnierzy z wymierzonemi do nich lufami...

W przestrachu wielkim dwaj towarzysze Nuchimowi, skoczywszy w bok, zaczęli czemprędzej uciekać... Jeden z żołnierzy wypalił za nimi — i zaczął gonić... Nuchim ruszył się chcąc również uciekać... Lecz drugi żołnierz, zmierzywszy lufą do niego, krzyknął: — *Pastoj!* bo wypalę!

Więzień stanął, nie mogąc się ruszyć... żołnierz, zbliżywszy się do niego, zawołał: — Mam cię!... Teraz

pójdziesz ze mną... a uważaj, żebyś nie próbował uciekać, bo cię ubiję, jak psa. Widzisz tamtego, jak gryzie ziemię?... drugiego dogoni mój kamrad. Ale ty mi nie wymkniesz się, bo mam na ciebie sposób...

Mówiąc to wyjmował sznur, i zaczął go wiązać. Nuchim poznał, że już się z rąk tych nie wyrwie.

Ciągnęli teraz razem w kierunku osady — żołnierz z bronią, i więzień w pętach, z wyrazem bezgranicznego zwątpienia na twarzy.

Droga wiodła przez wertepy i dzicz lasową.

Gdy się więcej już rozwidniało, a Nuchim mógł podnieść wzrok na żołnierza, wstrząsł się, jakby się przestraszył lica carskiego sałdata.

— Ha! boisz się, stary?... Chciałbyś mnie podejść... taj może przekupić?... O! ja-ci nie z tych, co się dają przekupywać... Ja wyszedł, nieboże, z innej szkoły... i znam moją powinność.

— I dokąd... mnie zawiedziesz... ty... żołnierzu? — odezwał się więzień drgający cały.

— Dokąd? — odmruknął żołnierz. — Do tego tam sioła, które widzisz, stary...

— A potem? — zapytał blady.

— Potem?... No, no, dźwigaj się prędzej, stary. A jeśli nie zmożesz, to ja ci kolbą pomogę... Bo niechno kamrad z tamtym wróci, to zajdziem jeszcze do Czyty.

— Do Czyty? — rzekł z dziwnem wzruszeniem spętany.

— A! tak... To cię zadziwia, stary?... Nie bój się, tam ci dadzą radę. Tam, niechaj piszą, kto ty i co za jeden... Moja — złapać i nie puścić.

Głos ten przejmował do głębi więźnia, który zaczął się żołnierzowi bliżej przypatrywać... Lecz cofnął się drżąc cały... Potem dodał:

— To ja pójdę... do Czyty?... Ach! żołnierzu mój... Powiedz mi, jeżeli ty znasz Czytę, kto tam jest?... Nu, czy tam jest... ona...

I tu urwał, jakby się lękał odpowiedzi.

— Czy ja znam Czytę? Ta, jakby ja nie znał?... Nie bój się! Ja tam trafię... Przecie gadają, że ja stamtąd miał być rodem?...

— Ty... mówisz? — zawołał więzień wzruszony.

— Ale co mnie to obchodzi! — odmruknął żołnierz. — Czy ja znał kiedy ich? Ja ich nie znał. Ta, na co mi oni!

Więzień zaczął się mocniej w niego wpatrywać dygocąc cały. Potem dodał drżącym głosem:

— Tobie... będzie... na imię... Słuchaj! na Boga! Tobie będzie na imię...

I nie mógł dokończyć, strasznie się trzęsący.

— A na co ci tego?... No, Aleksyj. Wiedz, że cię zawiedzie Aleksyj, z drugiej kompanii, trzeciego batalionu — dodał ze złośliwym sarkazmem.

— Ty — Aleksyj? — odezwał się więzień wpatrując w żołnierza. — Ty się nie nazywasz... Boże mój!... wcale nie... Dawid?...

— Co? Dawid? — zawołał z gniewem żołnierz. — I ty się ośmielasz przezywać mnie tem przeklętem „Dawid?“... Ha! dwom za to... toć ja zęby wybił... Rozumiesz?... Ale to byli kamrady, jeszcze ze szkoły naszej w Irkucku.... To ino dla nich tyle... Ale dla drugich...

— Ty byłeś w Irkucku?... Może i w Werchnoudyńsku?... I dodał łagodniej a z wielkiem uczuciem: — Nie prawda, żołnierzu... tyś z Czyty?... Twój ojciec... zwał się... Nuchim? — rzekł ciszej trzęsąc się cały.

— Co? I ty to gadasz?... Czy ty w zmowie z tamtym?... A choćby i z Czyty?... I co mi za to zrobisz?...

— Ach! to ty?... Synu mój! ty Dawid!... Nie poznajesz ojca?

I chciał się rzucić na niego ze wzruszeniem gwałtownem.

Żołnierz się zdziwił i cofnął.

— Co ty gadasz, stary? — rzekł ponuro i zamyślił się.

— Ja znalazłem syna — a ty ojca?...

Nastała chwila milczenia. Potem rzekł żołnierz:

— Ojca?... Ta, kto moim ojcem?

— Ja to, synu, którego widzisz, kochanie moje! Ty wiedziesz dziś ojca własnego. Boże, co za wypadek! Nie! to dopuszczenie Twoje, Boże nasz!

— O! ty mnie nie oszukasz, stary... Chciałbyś się może wymknąć?... Ale ojciec, nie-ojciec, ja carski sałdat...

— Boże! ciebie wzięli wtedy i wydarli ojcu...

— No, co z tego!... To nie do mnie należy — mruknął żołnierz. — Ja cię tam zaprowadzę, dokąd jest rozkaz.

— Ale synu! mój Dawid! wierz mi, że ja ten sam... Nuchim... twój ojciec!... Ja klnę się na wszystkie świętości! Na Boga Izraela!... Ja nie kłamię! O! Boże! Daj mu wiarę, by on uwierzył ojcu — zawołał z płaczem. — Gdyby mnie nie poznał, jaby go tu drugi raz stracił!

— No, no — rzekł zimno żołnierz — Nie klnij, i nie płacz, stary!... Ta, co mi do tego! Jeżeli ty naprawdę mój ojciec... co mi do tego!... No, każdy ma ojca...

— Ach! — jęknął z bolu nieszczęśliwy ojciec.

— No, toż i ja mieć musiał — mruczał dalej z niechęcią żołnierz. — Ale ja go nie znał... A zresztą, co mi tam w regimencie ojciec!... Ja — carski.

— Boże! zlituj się nad nami obydwoma! — zawołał w rozpaczy ojciec. — Daj jemu przejrzeć i pokochać ojca swego! Bo on mnie tem dobije... Ha! mnie się ćmi w oczach — wołał więzień zrozpaczony.

— No, no, nie gniewaj się, stary... Wiedz przecie, że służba po nad wszystko... A teraz musimy czekać na tamtego... Może go przywiedzie żywego... No, może obu zabije... A co mnie do tego!

— Ach! Boże! co oni z niego zrobili!... Co oni z dziecka mego zrobili!...

Potem się zwrócił do niego błagając rozpaczliwie:

— Ale... rozwiąż mnie, synu... z pęt tych!... One bardzo mnie bolą, bo mnie syn skrępował niemi... I uciekajmy obaj czemprędzej!

— Uciekać?... Po co uciekać?... Ja włożyłem na ciebie sznury, stary, ażeby ty nie uciekł... Gadasz, że ty ojciec?... Albo co ojciec?... Pokaże się... Ale co mi tam familia?... Car każe — saldat ma swoją komendę, nie ojca. Taj nie chowa karabin przed bratem, ni ojcem... No, każą skoczyć w ogień, w wodę... ta czemuby nie miał strzelać do drugiego?

Ojciec wpatrzył się w niego dziwnym wzrokiem i czuł już zamęt w głowie. Żołnierz prawił dalej:

— Każą... to czy sałdat może nie słuchać komendy? I ty rozumiesz, stary, że kazano was łapać, przecie nie na to, aby puszczać?... Ale teraz... zaczekamy jeszcze na kamrada. Może on i tamtego przywiedzie.

— Boże! Co oni z niego zrobili!... Ale... nie... To nie może być... syn mój... nie!... Potem dodał chwiejąc się: — Ćmi mi się... Co to jest!... Czy na prawdę... już wieczór nastaje... A tu drzewa... Ha! Czego one chcą?...

I wpatrzony w przestrzeń, wołał: — Uchodźmy! To bo się zbliża... Ach! po co? Czego chcą?... Co ja winien?... Ach! walą się na mnie... ha!... te kłody...

I chwiejąc się coraz bardziej... upadł na ziemię.

— Stary! daj pokój temu! i nie bredź!... Bo choć ty ojciec — ale ja carski sałdat... Taj na prawdę, gotów tu leżeć... Co ja bo z nim zrobię?... Jak go zaciągnąć... Ot, wraca kamrad...

Drugi żołnierz wracał w tej chwili ze spętanym a rannym więźniem, którego poganiał kolbą — trzeci więzień widocznie już nie powstał.

I zaczęły oba sałdaty ciągnąć swoich jeńców. Tamten wiódł obcego, a tu syn silił się ruszyć ojca.

Po dłuższej chwili ocucono nieszczęsnego ojca, lecz on teraz całkiem już od zmysłów odchodził.

Gdy już następnie i innych połapano, po niejakim wypoczynku pognano wszystkich dalej pod konwojem. Lecz nieszczęśliwy ojciec na dobre majaczył, błagając zawsze syna, żeby mu pęta rozwiązał... Chwilami rzucał się pod wpływem mar wylęgłych w mózgu rozstrojonym.

I dalej już na wozie przywieziono do śledztwa zupełnie teraz obłąkanego.

Musiano też go zamknąć w więzieniu pomiędzy skazańcami zostającymi w obłędzie.

Gdyby był wrócił do przytomności, poszedłby dalej w katorgę — lecz nieszczęśliwy nie powrócił już do przytomności. Umysł jego pozostał w wiecznym mroku.

I gdy go puszczono następnie na wolność, chodził jeszcze długo po Sybirze, żebrząc, a zawsze szukając syna swego. Każdemu zaś, którego zdybał, przyglądał się uparcie, czy to nie syn jego, nie tracąc nadziei, że go jeszcze odnajdzie.

BIBLIOTEKA
URZĘDN[illegible] UR. w KRAKOWIE
SE[illegible]A IV.
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Dawniejsze utwory Juliusza Turczyńskiego:

Nasza Golgota. Z martyrologii sybirskiej. Lwów 1901.
Dzieci puszczy. Powieść na tle życia huculów. Lwów 1900.
Nad Czeremoszem. Trzy nowele huculskie: Trofym Ołenyn, Taras z Worochty, Ostap z Perehińska. Kraków i Warszawa 1891.
Wygnańcy. Z życia więźniów naszych na Sybirze. Lwów 1894. (Drugie wydanie: Chicago Jll. 1896).
Czarna dola. Nowela z niedalekiej przeszłości. Lwów 1902.
Straszna Drużyna. Huculi w XVIII. wieku. Kraków 1892.
Nasza Odyseja. Na tle wychodźtwa ludu do Brazylii. Lwów 1895.
Po długiej nocy. Z niedalekiej przeszłości. Lwów 1899.
Sąd doraźny. Z niedalekiej przeszłości. Lwów 1896.
Praszczur Czemegów. Huculi w dawniejszych czasach. Kraków 1888.
Trzy doby. Na przełomie naszych czasów. Kraków 1891.
Niepoprawni. Powieść społeczna. Lwów 1885.
Mojmir. Dramat konkursowy uwieńczony jedyną nagrodą. Lwów 1882.
Rozbiór Dziadów Adama Mickiewicza. Lwów 1873.
Kiejstut. Poemat dramatyczny. Lwów 1861.

(Wszystkie powyżej wymienione książki — na wyczerpaniu albo zupełnie wyczerpane).

Niedawno zaś wyszły:

Powieści huculskie.

Tom I. **U stóp Czarnohory. Po latach.** Lwów 1905.
Tom II. **Straszna Drużyna. Skarb w borze. Roman z Porohów.** Lwów 1906.

Dramat bezprawia.

Powieść historyczna z drugiej połowy XVIII. wieku (z czasów przed pierwszym rozbiorem naszej Ojczyzny). Tom I. i II. Lwów 1904.

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 19447

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki